PISZĄ SZYMANOWSKI, WARZECHA, WIELOMSKI

Kim jest Péter Magyar, jak zmieni Węgry i co to znaczy dla Polski



Semka o Morawieckim, którego każdy o coś podejrzewa



TROCKI, MEKSYK, ŚMIERĆ OD CZEKANA
REPORTAŻ HISTORYCZNY PIOTRA WŁOCZYKA

Najlepsze kryminały w odpowiednim otoczeniu

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 17/677 20–26 KWIETNIA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Trump do Leona XIV:

Nie chcę takiego papieża

DLACZEGO PREZYDENT USA ATAKUJE KATOLIKÓW?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

REPUBLIKA

Zapraszamy na autorski program publicystyczny
Tomasza Sakiewicza dla widzów, którzy chcą wiedzieć więcej.
Polityka bez filtrów. Najważniejsze tematy. Mocne opinie. Analizy,
które mają znaczenie. Rozmowy, które wyznaczają kierunek debaty.



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 8823c38a33



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Dlaczego prezydent Trump atakuje NATO

Trudno przejść do porządku dziennego nad coraz większą uporczywością, z jaką Donald Trump krytykuje państwa NATO za to, że te nie udzieliły mu pomocy w rozgrywce z Iranem. Ostatnio prezydent USA mówił: „Nie otrzymaliśmy żadnej pomocy – absolutnie żadnej – od NATO. My jesteśmy gotowi im pomóc, ale oni nie są gotowi pomóc nam". I dodał: „Jeśli nie zamierzają stanąć po naszej stronie w sprawie Iranu, to nie staną po naszej stronie w znacznie ważniejszej sprawie". Wcześniej ten sam amerykański przywódca wielokrotnie sugerował, że USA mogą najzwyczajniej w świecie NATO opuścić.

Najpierw trzeba zadać pytanie o zasadność pretensji prezydenta USA. Otóż są one w najwyższym stopniu osobliwe. Po pierwsze, sojusz północnoatlantycki jest z definicji przymierzem obronnym. Dlaczego zatem miałby się angażować w konflikt z Iranem, który to jest klasycznym przykładem wojny napastniczej, z USA i Izraelem w roli głównej? Czyżby prezydent USA nie odróżniał agresji od obrony? Gdyby państwa NATO wyruszyły na wojnę z Iranem, to zanegowałyby przecież sam sens istnienia sojuszu.

Po drugie, kluczowym państwem odpowiadającym za wojnę jest Izrael. Nie jest on przecież częścią paktu. Jak zatem Donald Trump może domagać się w dobrej wierze pomocy państw NATO dla operacji wojennej, której głównym pomysłodawcą i aktorem jest państwo w ogóle do sojuszu nienależące?

Po trzecie, roszczenia wobec państw sojuszu są nie tylko sprzeczne z zasadą prawną, na której opiera się pakt. Dodatkowo trzeba powiedzieć, że żadne z państw NATO nie uczestniczyło w decyzji o ataku na Iran. Żadne nie było pytane o zdanie i z żadnym Donald Trump nie uzgodnił celów wojny – czy to zmiany reżimu, czy to usunięcia rzekomego zagrożenia bronią atomową. Jak zatem w takiej sytuacji można wymagać od państw sojuszu wsparcia? Jeśli nie jest to bezczelność, to jak to inaczej nazwać?

Po czwarte, powstaje bardzo proste, praktyczne pytanie: Czym takim dysponują państwa członkowskie NATO – mam tu na myśli uzbrojenie, siły morskie czy lotnicze – czego nie miałyby Stany Zjednoczone i Izrael? Jaka to cudowna broń miałaby przybyć USA z odsieczą? W oczywisty sposób żadne z państw członkowskich niczego takiego, czego nie miałyby już Stany Zjednoczone, nie ma.

Skąd się biorą zatem tyrady prezydenta USA? Co chce osiągnąć? Dlaczego mówi o czarnej niewdzięczności?

Po pierwsze, być może Donald Trump szuka naiwnych, z którymi mógłby się podzielić winą za nieudaną i bezsensowną wojnę. Od dłuższego czasu nie ma pomysłu, jak wywikłać się z pułapki, w której to znalazł się wskutek uległości wobec Izraela. Chce więc swoim błędem obciążyć maksymalnie dużą liczbę innych państw. Im więcej ich znajdzie, tym bardziej będzie mógł opowiadać, że to nie on sam pchnął USA ku katastrofie. Nazywa się to operacją przerzucania odpowiedzialności. Skądinąd to groteskowe: gdyby sam prezydent USA wierzył w swoje opowieści o „całkowitym i nieodwołalnym zniszczeniu Iranu, którego dokonała najwspanialsza na świecie armia amerykańska", to dlaczego tak bardzo zabiegałby o podzielenie się swoim sukcesem z innymi?

Po drugie, ostra retoryka skierowana przeciw dotychczasowym sojusznikom może stanowić formę przygotowania się na wypadek ostatecznego fiaska. Kiedy już okaże się, że fantastyczne amerykańskie sukcesy nie są takie fantastyczne, Donald Trump będzie mógł ogłosić, że on wszystko osiągnął i odniósłby druzgocące zwycięstwo, gdyby państwa europejskie nie rzucały mu kłód pod nogi. Nie wiem, ilu Amerykanów taką opowieść kupi, ale tonący brzytwy się chwyta.

Ale, po trzecie, może owo wyprowadzanie USA z NATO ma jeszcze jeden, na razie całkiem ukryty cel? Wspomniał o nim w jednym z wywiadów Joe Kent, były już szef Amerykańskiego Centrum Antyterrorystycznego, który to kilka tygodni temu na znak protestu przeciw wojnie złożył dymisję. Kent nie tylko mówił o tym, że Iran nie stanowił dla USA bezpośredniego niebezpieczeństwa, a decyzja o ataku została de facto podjęta przez Izrael. Zasugerował też, że USA chcą opuścić NATO, żeby w ten sposób otworzyć drogę Izraelowi do ewentualnego ataku na Turcję. Faktycznie, gdyby dziś Izrael zdecydował się na taką operację, USA i państwa europejskie byłyby związane paktem i przynajmniej teoretycznie musiałyby bronić Turcji. Gdyby jednak USA opuściły sojusz, Izrael mógłby uderzyć, a Waszyngton nie byłby związany obowiązkiem pomocy Ankarze.

Nie wiem, który z powyższych motywów jest prawdziwy. Pewne jest natomiast jedno: atakując partnerów z NATO, prezydent Trump kolejny raz podważa zaufanie do USA jako do rzetelnego i godnego zaufania sojusznika. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33



TEMAT TYGODNIA

14 PAWEŁ CHMIELEWSKI
DLACZEGO PREZYDENT USA ATAKUJE KATOLIKÓW
Konflikt Donalda Trumpa z papieżem

18 ROZMOWA Z GEN. LEONEM KOMORNICKIM
KONSORCJUM ŚMIERCI BEZ ŻADNEJ STRATEGII

21 JACEK PRZYBYLSKI
„RADIOAKTYWNY" DONALD TRUMP

RAPORT

24 MACIEJ SZYMANOWSKI
KAMIENNA TWARZ ZWYCIĘZCY
Co oznacza zmiana władzy na Węgrzech

27 ADAM WIELOMSKI
ŚWIAT PO VIKTORZE ORBÁNIE

30 ŁUKASZ WARZECHA
STRATEGICZNY OPÓR ODCHODZĄCEGO PREMIERA WĘGIER

KRAJ

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CZEGO SIĘ BOI TUSK?
Ślubowanie na przykrywkę

35 PIOTR SEMKA
MORAWIECKI – CZŁOWIEK, KTÓREGO WSZYSCY O COŚ PODEJRZEWAJĄ

38 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
JAK ZROBIONO Z POLAKÓW ŚMIECIARZY

KULTURA

40 JOANNA BOJAŃCZYK
Z MORDERSTWEM PRZEZ ŚWIAT
Najlepsze kryminały w odpowiednim otoczeniu

43 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BILET W JEDNĄ STRONĘ

44 PIOTR GOCIEK
JEDYNY TAKI RAMBO

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

50 JAN FIEDORCZUK
DMOWSKI BYŁ KOBIETĄ!
Na tropie wielkiej „tajemnicy"

54 FILIP MEMCHES
ALIBI DLA „ŻYDOKOMUNY"

HISTORIA



56 PIOTR WŁOCZYK
TROCKI, MEKSYK, ŚMIERĆ OD CZEKANA
Egzotyczne wygnanie demona rewolucji

60 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM DROZDOWSKIM
TWARDA RĘKA WACŁAWA KOSTKA-BIERNACKIEGO

ŚWIAT

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
BRUNATNE ZIARNO Z ROSJI
Rosyjski neonazista po stronie Ukrainy

64 JAN BOGATKO
KIM SĄ LIDERZY ALTERNATYWY DLA NIEMIEC

67 TERESA STYLIŃSKA
MEGAMETROPOLIE NOWEGO ŚWIATA

EKONOMIA

72 TOMASZ CUKIERNIK
ŚLEPA TRANSFORMACJA
Pułapki odnawialnych źródeł energii

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (70), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 8823c38a33

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **obraz wygenerowany przez AI, oprac. graf. 12 kredek**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Polowanie z nagonką

Z zainteresowaniem przyglądałem się ostatnim wydarzeniom w Sali Kolumnowej Sejmu RP, gdzie miało miejsce zdarzenie, dla którego trudno znaleźć odpowiednią nazwę. Patrząc na uczestników tego spotkania, przypomniała mi się pewna historyjka z czasów PRL, którą warto zapamiętać.

Prominentni działacze PZPR uwielbiali polowania. Uważali je prawdopodobnie za formę nobilitacji i leczyli w ten sposób wiele swoich kompleksów. Pewnego razu wybrało się na taką imprezę prawie całe Biuro Polityczne, a organizator (jakiś lokalny kacyk) chcąc, aby wszystko wypadło jak najlepiej, do przygotowania i przeprowadzenia tego myśliwskiego święta zaangażował byłego nadleśniczego, który w okresie międzywojennym niejednokrotnie organizował polowania dla rządowych elit i polityków, i przemysłowców. Wspomniany pan X zjawił się w odpowiedniej porze, popatrzył z zainteresowaniem na zgromadzonych gości i ze zdziwieniem zapytał: „Widzę nagonkę. A gdzie są myśliwi?".

Tę krótką anegdotkę pozostawiam bez komentarza, będąc przekonany, że moi czytelnicy i życie go dopiszą.

Wojciech Starzyński

PS Osobiście uważam, że wszystkim zgromadzonym 9 kwietnia 2026 r. w Sali Kolumnowej Sejmu RP wydawało się, że są „myśliwymi", a byli jedynie „nagonką".

Tajny agent

Szanowni Państwo,
najtęższe umysły zachodzą w głowę nad przyczynami obłędnej decyzji prezydenta Trumpa, by wesprzeć Izrael w jego napaści na Iran 28 lutego tego roku. Wśród nich wymienia się potężne wpływy żydowskie na politykę USA, walkę o amerykańską hegemonię na świecie, zaburzenia psychiczne i mesjanizm pana Trumpa, strach przed ujawnieniem akt Epsteina itd.

Tymczasem sprawa może wyglądać dużo prościej. Otóż Komisja Europejska oświadczyła właśnie osiągnięcie zeroemisyjności tak szybko, że najstarsi Europejczycy mają szansę jej doczekać. Zamknięcie cieśniny Ormuz oraz groźba wyeliminowania transportu ropy przez Bab al-Mandab ukróci import znienawidzonego paliwa i po prostu trzeba będzie zdać się na wiatraki, fotowoltaikę i inne wynalazki. A zatem prezydent Trump okazuje się największym, choć zakamuflowanym, sojusznikiem zielonej polityki, udając dla niepoznaki agenta żydowskiego czy rosyjskiego.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Gratulacje

Chciałabym pogratulować i podziękować Panu Cezaremu Krysztopie za rysunek trzech biegnących diabłów (nr 16/2026).

Trafił Pan w sedno aktualnego problemu naszego Kościoła. Oby duszpasterze jak najszybciej też go dostrzegli.

Stała czytelniczka Barbara Świderska, Warszawa

„»List biskupów« obraża i utrudnia zbawienie", ks. prof. Dariusz Oko, „DRz" nr 16/2026

Szanowna Redakcjo,
pragnę serdecznie podziękować za opublikowanie artykułu poświęconego „Listowi biskupów". Z uznaniem przyjmuję odwagę Autora, który zdecydował się wyrazić stanowisko tak wyraźne i jednoznaczne […].

Szczególnie ważne wydaje mi się podkreślenie potrzeby zachowania właściwej hierarchii wartości: centralnego miejsca Chrystusa w wierze oraz szacunku dla każdego człowieka i narodu, w tym własnego. Doceniam również apel o rzeczywisty dialog – nie pozorny, lecz oparty na rzetelnych argumentach, wzajemnym słuchaniu oraz odpowiedzialności za słowo. Tylko w taki sposób można uniknąć dalszych podziałów i odbudować zaufanie, które zostało poważnie nadwyrężone.

Dziękuję Redakcji za stworzenie przestrzeni dla tego typu głosów.

Z wyrazami szacunku
Marcin Wawrzyniak

eprasa.pl 8823c38a33



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Gdzie są granice?

Izrael to nowa III Rzesza i jego flaga powinna wyglądać dokładnie tak" – tymi słowami Konrad Berkowicz, poseł Konfederacji, poprzedził zaprezentowanie na trybunie sejmowej swojej wersji flagi Izraela. Zamiast gwiazdy Dawida w jej centrum umieścił hitlerowską swastykę. Swoją „demonstrację" Berkowicz tłumaczył swoim sprzeciwem wobec brutalności ekipy Beniamina Netanjahu w konfrontacji z sąsiadami.

Zdjęcie z żydowską flagą ozdobioną swastyką obiegło świat.

Każda nacja bardzo nerwowo reaguje na obraźliwe transponowanie swych symboli narodowych. W wypadku Żydów, społeczności naznaczonej traumą eksterminacji w wykonaniu III Rzeszy, zastąpienie ich symbolu – gwiazdy Dawida – akurat swastyką musi wywoływać wstrząs i szok.

Berkowicz zapewnia, że chciał zaprotestować tylko przeciw polityce Izraela, ale profanacja symbolu gwiazdy Dawida oburzyć musiała Żydów na całym świecie. Ludzi, którzy w większości nie mają żadnego wpływu na to, co robi premier Netanjahu, a bardzo często gorąco potępiają to, co armia izraelska robi w Gazie, na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Libanie.

Flaga izraelska nie jest wyłącznie symbolem Państwa Izrael. Jest ona odwzorowaniem flagi syjonistycznej, która po raz pierwszy pojawiła się na I Kongresie Syjonistycznym w Bazylei w 1897 r. Dla Żydów religijnych z kolei jej kolorystyka i układ graficzny to nawiązanie do Talit – chusty modlitewnej pobożnych wyznawców judaizmu.

Na tle tej konstatacji zdumiewa reakcja obu liderów Konfederacji. Sławomir Mentzen nie tylko nie potępił wyskoku Berkowicza, lecz także wdał się w internetową pyskówkę z ambasadorem USA w Polsce, zakończoną pseudoefektownym pytaniem: Grozisz mi? Z kolei Krzysztof Bosak jak zwykle stanął w swojej ulubionej pozie – w rozkroku. Zaznaczył, że Berkowicz nie konsultował swego wyskoku z władzami klubu i on sam by tego nie zrobił, ale jednocześnie wyraził zrozumienie dla demonstracji swego kolegi z Sejmu. „To była krytyka zbrodni wojennych. [Berkowicz] dokonał prowokacji w celu nagłośnienia sprawy" – skomentował.

Dwaj liderzy partii aspirującej do władzy od roku 2027, mający ambicje przewodzenia, przyszłemu rządowi prawicy, nie widzą nic złego w demonstracji szkodzącej wizerunkowi Polski w świecie. Jeden z nich, Mentzen, bez wahania angażuje się w słowną pyskówkę z ambasadorem USA – państwa, które ma ogromny wpływ na bezpieczeństwo naszego regionu.

Co mówi to o kwalifikacjach Konfederacji do przyjęcia choćby części odpowiedzialności za rządzenie Polską od roku 2027? Gdzie są granice zrównywania Izraela z III Rzeszą? Czy za jakiś czas ktoś z którejś z Konfederacji wejdzie na sejmową mównicę w mundurze gestapowca, w jarmułce, z przyklejonymi pejsami? Czy wtedy też Mentzen i Bosak nie zauważą w tym niczego skandalicznego? ©℗



FOT. ADOBE STOCK

TSUE W SPRAWIE FRANKOWICZÓW

W trzech orzeczeniach Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) opowiedział się w czwartek za równowagą rozliczeń nieważnych kredytów frankowych. Potwierdził tym samym kierunek korzystny dla sektora bankowego. „W praktyce oznacza to brak skrajnie niesprawiedliwych wyroków, w których część klientów mogłaby uzyskać »darmowe mieszkania«" – ocenił Związek Banków Polskich, podkreślając, że po orzeczeniach TSUE szanse na „skuteczne podniesienie przez konsumenta zarzutu przedawnienia roszczenia banku są znikome". ***(jap)*** ©℗

WOJNA Z IRANEM PODBIŁA INFLACJĘ

Inflacja w marcu w ujęciu rok do roku wyniosła 3 proc. – ogłosił w ubiegłym tygodniu Główny Urząd Statystyczny. Miesiąc do miesiąca ceny wzrosły o 1,1 proc. – Wyższa inflacja w Polsce to w całości efekt tego, co widzimy na Bliskim Wschodzie – tłumaczył minister finansów Andrzej Domański. Ekonomiści zakładają, że w tym roku inflacja nadal będzie rosła. I to nie tylko w Polsce. Według najnowszych danych Eurostatu w marcu inflacja w strefie euro poszybowała do 2,6 proc., osiągając najwyższy poziom od lipca 2024 r. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 8823c38a33

dwaj panowie g

Miał być Budapeszt w Warszawie, a wyszła Warszawa w Budapeszcie i wujek Orbán przeszedł do opozycji. Nasze węgierskie wiewiórki są jednak nieustraszone i działają dalej. Będziemy więc relacjonować postępy w przerabianiu Węgier na WEUgry czy też – po angielsku pisząc – w przerabianiu Hungary na HUEngary. Na razie czekamy na to, kto pierwszy zacznie na ulicach Budapesztu skandować: „Kon-sty-tuc-ja! Kon-sty-tuc-ja!”.

Mamy już pierwsze insajderskie wieści zza kulis zmiany reżimów. Przyszły premier Péter Magyar spotkał się w minioną środę ze starym prezydentem Tamásem Sulyokiem. Oto relacja wiewiórek:

– Prezydent: Pan pamięta, co powiedział regent Horthy, jak przyszli do niego w 1939 r. w sprawie ustaw norymberskich?

– Magyar: Noo, pamiętam, ze szkoły jeszcze.

– Prezydent: (cytuje) „Uchwalajcie sobie, co chcecie, ale nie rozwalajcie państwa. W tym kraju kimś trzeba robić”.

–Magyar: (milczenie). Győztes lettem! (polska wersja: „To ja wygrałem wybory!”).

Dla mniej znających historię: ustawy norymberskie były podstawą do prześladowania Żydów, w tym wyrzucania z roboty. Węgry nie spieszyły się z wprowadzeniem ich w życie. W węgierskich urzędach centralnych 20 proc. pracowników do marca 1944 r. (czyli do początku okupacji niemieckiej) było pochodzenia żydowskiego.

A teraz kontekst. Otóż Magyar po wyborach jeszcze nie zdążył nikogo wskazać, np. na ministra, za to z szybkością karabinu maszynowego wymieniał przez cały zeszły tydzień w mediach i nawet trzygodzinnych konferencjach prasowych nazwiska osób, które w pierwszej kolejności zwolni z roboty. Prezydent Tamás Sulyok też zresztą jest, wedle Magyara, do natychmiastowego zwolnienia. Wracamy więc do pytania, kto pierwszy zacznie na ulicach Budapesztu skandować: „Kon-sty-tuc-ja! Kon-sty-tuc-ja!”.

Wątek polski. Wizyta prezydenta Karola Tadeusza na Węgrzech, gdzie przed wyborami wsparł



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Orbána, wywołała kontrowersje nie tylko po stronie rządzącej koalicji, lecz także wewnątrz Pałacu. Odpowiedzialny za politykę zagraniczną Marcin Przydacz nie jest wielbicielem Orbána. Nosem kręcił też Cenckiewicz. Jednak publiczności umknęło jedno wydarzenie, a konkretnie brak wydarzenia. Otóż nasze wiewiórki twierdzą, że ziobryści, a zwłaszcza jedna osoba z tego grona, zabiegali intensywnie, aby osoba głowy państwa spotkała się z Ziobrą i Romanowskim na wygnaniu. Tutaj już kontrowersji nie było. Odpowiedź ze wszystkich ust brzmiała: „Nie”.

Żadnych kontrowersji nie wywołała w Pałacu inna sprawa. Chodzi o ułaskawienie Weroniki Krawczyk skazanej za ujawnienie, że lekarz ginekolog namawiał ją do aborcji, twierdząc, że dziecko, które urodzi, będzie miało zespół Downa. Mimo tego Krawczyk zdecydowała się urodzić. Okazało się, że dziecko, choć wcześniak, było zdrowe. Wszystko, co o lekarzu napisała, było więc prawdą, ale wolne sądy uznały, że niedobrze jest mówić prawdę o aborterze. Prezydent uznał, że niedobrze jest skazywać ludzi za mówienie prawdy. W dodatku był tak o tym przekonany, że nie poprosił nawet o opinię sądu czy Prokuratora Generalnego, choć zazwyczaj to się robi.

Jeśli już jesteśmy przy sądach... Zapewne pamiętacie scenę, kiedy to dwumetrowy drab w czasie przejmowania TVP przytrzasnął pani poseł Borowiak ramię, wyłamując jej bark. Otóż nasze wolne sądy uznały, że nie ma sprawy, bo drab nie działał w zamiarze ewentualnym, ale nieumyślnie. Z prawniczego na nasze wykłada się to, że niechcący. Niech żyją WOLNE sądy. Czyżby od dziś można było katować kobiety?

Jedna z naszych wiewiórek twierdzi, że wbrew doniesieniom mediów reżimowych Jarosław Kaczyński wcale nie jest przerażony założeniem stowarzyszenia przez Morawieckiego i przyciągnięciem do niego licznych posłów. Według komentatorów może być to wstęp do rozbicia PiS. Kaczor już nie takie rozłamy przeżywał, a wiewiórki twierdzą, że może być mu to nawet na rękę przy ewentualnym szukaniu koalicjanta po wyborach. Ale jest inny problem. Otóż kroi się nowa, podobna inicjatywa, rozkręcana przez technokratów i biznesmenów. Na razie jej twarzą jest Maciej Wilk, inicjator akcji: „Tak dla CPK”. Jednak za inicjatywą stoją znacznie bardziej wpływowi ludzie. I co chyba ważniejsze – wielki pieniądz.

Ojciec Mateusz tymczasem w poniedziałek 13 kwietnia spotkał się ze studentami na uczelni Koźmińskiego w Warszawie. Doszło tam do interesującego incydentu. Otóż po godzinie wykładu byłego premiera na salę wparowała wyraźnie spóźniona „wiceministra” Maria Ejchart i doznała szoku.

Okazało się, że tłum wolał dyskutować z ojcem Mateuszem o przyszłości gospodarczej Europy, zamiast słuchać w sali obok opowieści Ejchart o „błędach wymiaru sprawiedliwości”. A przecież się Ejchart (dawniej: Dubois) na tym naprawdę zna. Tak czy inaczej, dawna pani Dubois wykonała ku uciesze studentów piruet w miejscu i wyszła tak zamaszyście, że chyba tylko obecność oficerów SOP powstrzymała ją od trzaśnięcia drzwiami.

Widzimy nieoczywistą pointę tej historii. Otóż Złonet zapowiedział, że Morawiecki będzie miał jednak zarzuty. Niby za co innego, ale wtajemniczeni w ministerstwie wiedzą już, w czym rzecz – to przecież była jawna obraza majestatu! Incydent miał miejsce 13 kwietnia, a przeciek do Złonetu – następnego dnia. Przypadek?
Nie sądzimy. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33



PŁYWANIE W KISIELU

Opłacalność wyłączalności

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Na wiosnę pogoda robi się bardziej słoneczna i bardziej wietrzna, więc trzeba częściej odłączać panele fotowoltaiczne i turbiny wiatrowe od sieci energetycznej, żeby jej nie przeciążyły i nie spowodowały blackoutu. Komu zechce się zajrzeć w komunikaty zamieszczane codziennie przez PSE, być może zdziwi się, że takie wyłączenia następują masowo prawie co drugi dzień. Na zdrowy rozum, skoro przy każdym powiewie wiatru i w każdym nieco bardziej słonecznym dniu tysiące megawatów idą się czochrać, to ewidentnie ekobadziewia mamy już w Polsce za dużo i jeśli już naprawdę musimy dalej w nie inwestować (bo Unia kazała), to raczej należałoby pakować te pieniądze w tzw. magazyny energii, a nie w kolejne „farmy".

Myk polega na tym, że właścicielowi takiej „farmy" – czy to wiatrowej, czy słonecznej – najbardziej opłaca się ona wtedy właśnie, gdy jest odłączona. Za każde wyłączenie PSE muszą mu bowiem zapłacić za „utracone korzyści". Ale nie za to, co faktycznie wyprodukował czy raczej mógłby wyprodukować odłączony panel albo wiatrak, gdyby był podłączony. Odszkodowanie za czas wyłączenia liczone jest od mocy znamionowej – której w realu tzw. OZE prawie nigdy nie osiągają, bo prawie nigdy nie zdarza się, żeby słońce świeciło z maksymalną mocą albo wiatr wiał bez przerwy równo i ani za mocno, ani za słabo.

Jeśli ktoś położył sobie kilka paneli na dachu, to może kokosów na tych wyłączeniach nie zrobi. Ale na rynku mamy przecież prawdziwych rekinów „odnawialnej" energii – i ci na idiotycznym prawie, wylobbowanym na fali ideologicznego szaleństwa, robią prawdziwe miliony. Najpierw Polska zadłuża się, żeby było na „transformację energetyczną", kupuje u Niemca stosowny szmelc, stawia go – jak pamiętamy, premier Tusk zapowiadał ostatnio, że przez najbliższych 10 lat będzie na to szło co najmniej 25 mld zł rocznie – a potem PSE płacą hojnie za odłączanie tego szmelcu od sieci, tym więcej, im bardziej jest niepotrzebny. Żaden Mrożek ani Bareja by tego nie wymyślił. ©℗



#WARTO

Zawłaszczenie Auschwitz

JAN POSPIESZALSKI

Środowiska byłych więźniów KL Auschwitz i działacze społeczni dbający o pamięć o Polakach – ofiarach niemieckiego obozu w Oświęcimiu – z niepokojem odnotowują stopniowe eliminowanie symboliki chrześcijańskiej i śladów obecności polskich więźniów z przestrzeni muzeum. Nie odbywa się to w tak spektakularny sposób, jak likwidacja klasztoru sióstr karmelitanek czy przeniesienie na żwirowisko krzyża z papieskiego ołtarza z 1979 r. Pamiętny konflikt o Karmel (1989–1993), a potem walka o krzyż zostały zażegnane wyprowadzeniem sióstr z budynku tzw. starego teatru, ale pozostawieniem na żwirowisku papieskiego krzyża. Aktywny w tamtym sporze rabin Weiss oskarżał Kościół i Polaków o „chrystianizację Zagłady", nazywając obecność krzyża „obelgą".

Trzy dekady po tamtych wydarzeniach, podczas prac remontowych, ze ściany sławnego bloku 15 zniknęły, obecne od dziesięcioleci, zawieszone przez byłych więźniów dwie kamienne tablice upamiętniające bohaterów AK i polskich harcerzy. Mimo zakończenia prac tablice nie wróciły na swoje miejsca. Z Birkenau zniknęła również tablica poświęcona Edycie Stein.

Bolesną dla żyjących więźniów zmianą jest też zaprzestanie odprawiania Mszy podczas upamiętnień pierwszego transportu, 14 czerwca. Od 1945 r. do 2015 r. koło bloku 11, pod ścianą straceń, odprawiana była zawsze Msza św. Zapytany przez środowiska kombatanckie ordynariusz diecezji bielsko-żywieckiej, bp Pindel, odpowiedział, że Msza św. została przeniesiona i odprawiana jest teraz w klasztorze w Harmężach. Ale skoro obecna szefowa rady Muzeum Auschwitz, Barbara Engelking, twierdzi, że w odróżnieniu od metafizycznego wydarzenia, którym była śmierć Żyda, śmierć chrześcijan jest faktem biologicznym, to i Msze św., i uroczyste upamiętnienia są – jak widać – niepotrzebne. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Po pierwsze ORMO



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Naczelny Sąd Administracyjny prawomocnie uznał, że cofnięcie przez szefa SKW gen. Jarosława Stróżyka poświadczeń bezpieczeństwa szefowi BBN Sławomirowi Cenckiewiczowi w 2024 r. było bezprawne. Stop. Wtedy wystąpił rzecznik służb Jacek Dobrzyński i powiedział, że wyrok, który można by interpretować, jakoby Cenckiewicz miał już dostęp do informacji niejawnych, oznacza w istocie, że nie ma. Stop. Dobrzyński był niegdyś funkcjonariuszem ORMO, a – jak wiadomo – ORMO zawsze było ważniejsze od jakichś tam sędziów, więc sprawa raczej zamknięta.

Co to będzie, co to będzie, Magyar wszędzie, Magyar wszędzie! Stop. Na Węgrzech wygrali Péter Magyar i jego partia TISZA z przewagą nad Viktorem Orbánem, czyli Fideszem, tak dużą, że dającą mu większość konstytucyjną i możliwość meblowania po swojemu prawie całego państwa. Stop. Jako człowiek nieznoszący niegdyś swojego szefa Orbána i będący w twardej opozycji ma taki sam program jak Orbán i Fidesz. No dobra, prawie taki sam. Stop. Ukrainy na razie w Unii Europejskiej nie widzi, z Rosją chce się dogadywać, brać od niej ropę i gaz (trochę nie ma wyjścia), po wojnie chce, żeby zniesiono sankcje wobec Rosji, migrantów nie chce przyjmować, a blokujący ich płot wzmacniać. Stop. Różnice jednak są: dużo ludzi chce wywalić, żeby wsadzić swoich. Stop. Poszedł np. do 70-letniego prezydenta Tamása Sulyoka i powiedział mu, żeby się pakował, ale tamten akurat nie miał naszykowanych walizek, więc na razie zostaje. Stop. Patrzę więc na Węgry, z zainteresowaniem konstatując, że radość europejskiego lewactwa z obalenia Orbána może być nieco przedwczesna. Zobaczymy. Stop.

Teraz trochę o Waldemarze Żurku, więc będzie zabawnie. Stop. Zaraz po wyborach na Węgrzech na fali antyorbanowskiej, minister Żurek zwrócił się do węgierskich ministrów o informacje, czy Ziobrze i Romanowskiemu przyznano status uchodźców lub prawo azylu. Stop. Po pierwsze, na co zwrócił uwagę mec. Lewandowski, takie informacje są w polskim sądzie od pół roku w sprawie Europejskiego Nakazu Aresztowania, a po drugie, panie ministrze, jeszcze przez prawie miesiąc na Węgrzech będą rządzić ministrowie Orbána...

W Trybunale Konstytucyjnym na razie spokój. Stop. Cztery osoby wybrane przez Sejm na sędziów TK, które nie złożyły ślubowania wobec prezydenta, przychodzą sobie do siedziby Trybunału, posiedzą w bibliotece, wypiją kawkę i idą do domu. Stop. Sąsiedzi nie skarżą się na nich policji. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

W DYDNI AŻ DUDNI

Hit, prawdziwy hit. Tuż po Wielkanocy media obiegła historia z podkarpackiej wsi Dydnia. To tam w 2024 r. ślub wzięła wokalistka Roksana „Roxie" Węgiel. Uroczystość odbyła się w rodzinnych stronach artystki, w Kościele św. Michała Archanioła i św. Anny. Niemal dwa lata po tamtym wydarzeniu zgromadzeni na wielkanocnej Mszy Świętej mieli usłyszeć zaskakujący komentarz księdza. Do serwisu Pudelek zgłosił się anonimowy uczestnik Mszy, który opowiada, że ksiądz proboszcz publicznie zwrócił Węgiel uwagę, że... nie rozliczyła się za ceremonię ślubu kościelnego. Udało się uzyskać komentarz duchownego.



FOT. VPHOTO/EAST NEWS

„Nie upominałem, tylko zwróciłem uwagę, ale to już nie ma znaczenia. Do widzenia" – odparł, potwierdzając tym samym wygłoszoną publicznie naganę. Wieś i okolice huczą tak, że echo niesie się aż po same Bieszczady.

KTOŚ TU KRĘCI

Należy odnotować, że sprawa wywołała zamieszanie nie tylko dlatego, że to, umówmy się, gorąca plotka, ale również z powodu znanego publicznie przywiązania „Roxie" do wiary. Młoda piosenkarka nigdy nie ukrywała, że jest praktykującą katoliczką. Mąż artystki, Kevin Mglej, opublikował oświadczenie w mediach społecznościowych. Podkreślił, że razem z żoną wspierają Kościół finansowo. „Wielu osobom postawienie mojej żony i mnie przeciwko Kościołowi byłoby bardzo na rękę. Niestety, tak się nie stanie. Kościół jest i będzie dla nas bardzo ważny, ponieważ jest ukochany przez Pana Jezusa. Wspieramy wspólnotę Kościoła słowem, ale też finansowo od dłuższego czasu i będziemy wspierać dalej" – zapewnia producent muzyczny. Dalej wskazał, że zobowiązania finansowe zostały uregulowane, a cała sprawa jest wynikiem medialnej prowokacji. „Co do ślubu jesteśmy z każdym rozliczeni. Szczerze mówiąc, aż nie chce mi się wierzyć, żeby w Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego jakikolwiek ksiądz rozmyślał o ślubie sprzed prawie dwóch lat. Jeżeli tak było, to ewidentnie pogubione zostały priorytety. Niemniej jednak moim zdaniem jest to kolejna prowokacja mediów, bo »nazwisko mojej żony się dobrze klika«, a klikanie to kasa... Straszne. Wystarczy przez chwilę nie dawać powodu do pisania i już trzeba sobie powód wymyślić" – podsumował Mglej. W takim razie albo ktoś miesza, albo ktoś kłamie. Ciąg dalszy – zapewne – nastąpi.

PSIA MAMA

W najnowszym wywiadzie pisarka Blanka Lipińska po raz kolejny postanowiła przypomnieć całemu światu, że nie chce mieć dzieci i nigdy ich mieć nie będzie. Jakby tego było mało, celebrytka obwieściła, że planuje poddać się zabiegowi sterylizacji, który będzie musiała wykonać za granicą. W podcaście Małgorzaty Rozenek-Majdan, kontynuując wątek macierzyństwa, przyznała, że już posiadanie psa uświadomiło jej, iż nie spełni się w roli matki. Blania wyznała, że przytłoczyły ją obowiązki związane z czworonogiem i ostatecznie pozbyła się psa Iwa. – Miałam kiedyś psa i to też mi udowodniło, że nie bardzo chcę mieć dzieci. To już było dawno temu. Yorka. To taki kotoszczur bardziej. I niestety nie miałam na niego czasu. Wzięłam go w takim momencie swojego życia, że myślałam, że to jest super. Byłam w relacji, chcieliśmy mieć wspólnie – opowiadała. – I po dwóch latach, jak widziałam, jak bardzo ten pies cierpi, bo nie mam dla niego czasu. Ile czasu spędza u moich rodziców, którzy nie chcą mieć psa. Ile siedział sam. Podjęłam najtrudniejszą decyzję, jeśli chodzi o żywą istotę. Oddałam go mamie mojej serdecznej koleżanki, u której ten pies żyje do dziś jak pączek w maśle i ma dużo lepiej, niż miał ze mną – stwierdziła Lipińska. Nie obyło się bez łez, Blanka przekonuje, że przepłakała pół roku. Dodała też, że teraz byłaby zdecydowanie bardziej przygotowana na to, by przyjąć nawet gromadkę psów. Pani Blanko, może z takim podejściem to ani dzieci, ani psów? Pod rozwagę.

KAMIENNA MIMIKA

Wokalista Ralph Kaminski promuje obecnie nową płytę i w ramach medialnego tournée odwiedził stację Chillizet. Opowiadając o tym, co działo się w jego życiu przez ostatnie 10 lat, muzyk stwierdził gorzko, że nie ciągnie go do świata showbiznesowego lansu. Jak ocenił, dominuje tam sztuczność – i w zachowaniu, i w wyglądzie. Kaminski przytoczył historię związaną ze sztuką „Człowiek z papieru. Antyopera na kredyt", w której występował dwa lata temu. – Jest taka okropna presja... Może nie powiem kto, ale moja koleżanka z branży – byliśmy na takich badaniach wysokościowych do spektaklu i też się chodziło do neurologa – taka medycyna pracy, i ona mi później mówi: „I ona [lekarz – przyp. red.] mi mówi: »Proszę unieść brwi, czoło«, a ja mówię: »Nie mogę, mam botoks«". Ona ma 25 lat. I mówię: OMG. To są takie czasy. Wszystko jest dla każdego, jednak myślę, że to jest rodzaj odwagi, żeby mieć swój wiek – podkreślił. „Mieć odwagę mieć 25 lat". Szaleństwo. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, śledzimy mainstreamowe media, iżbyśmy wiedzieli, co należy myśleć, i dostrzegamy euforyczne nastawienie wobec wyników wyborów na Węgrzech, w których Fidesz Orbána został tak stanowczo przepędzony, jak kiedyś my przepędzimy Kaczafiego. Trafiliśmy m.in. na rozmowę Anne Applebaum i Doroty Wysockiej-Schnepf, w której cieszyły się obie, iż na Węgrzech zwyciężyła demokracja.

Jeśli dobrze rozumiemy, to schemat jest wszędzie ten sam, co wskazuje na jedyną słuszną prawdę, iż demokracja to ustrój uniwersalny. Otósh demokracja zwycięża wtedy, kiedy wygrywają ci, których popieramy, a przegrywa, gdy przegrywają nasi. A więc gdyby Węgrzy zagłosowali na Fidesza, byłby to jaskrawy dowód na to, iż do demokracji nie dorośli i na nią nie zasługują.

Zupełnie jak u nas, co? W tym momencie zresztą, pomimo tego, iż mamy rządy pana premiera Tuska, to i tak demokracja przeżywa kryzys z powodu nieodpowiedzialnej opozycji, która utrudnia rządy i wciąż ma czelność być w Sejmie – co oznacza, iż Polacy do demokracji nie dorośli i niestety nie dorastają, iż jak patrzymy na sondaże i widzimy wyniki Brauna z Konfą, to ogarnia nas straszne przerażenie.

A poza tym wiecie… Sprawdziliśmy, gdzie leżą te całe Węgry, zobaczyliśmy, że są całkiem nieduże, kiedyś miały cesarza, OK, ale to było jeszcze w średniowieczu. No ale: kraj może mały, ale ludzie wiedzieli, co należy zrobić!

Pewnie zauważyliście, iż w całym tym kraju trwa jakaś niezrozumiała dla nas nagonka na osobodziki. Może pamiętacie, jak kilka lat temu celebryci stawali w obronie osobodzików, robili sobie nakładki na profilowe na fejsbuku? Teraz problem dzików rośnie i przybiera naprawdę nieoczywiste formy. Łącznie z tym, iż przerażone zwierzęta są ściągane przez humanoidalnego robota. To chyba jest ten cały transhumanizm, nie?



Humanoidalny robot, Edward Warchocki, goni dziki w Warszawie FOT. EDWARDWARCHOCKI/FACEBOOK

Natomiast jakby szczucia robota na dziki było mało, to widzieliśmy nagranie z Sejmu, na którym Jarosław Kaczyński w otoczeniu wianuszka dziennikarzy i dziennikarek imitował odgłosy wydawane przez dziki i… no powiedzmy sobie to wprost – Kaczafi publicznie zachrumkał.

Uważamy, iż jest to bardzo niełądne kulturowe zawłaszczenie, zwłaszcza w sytuacji, kiedy osobodziki są prześladowane, przeganiane z miast i uznawane za problem. A tymczasem lider największej partii opozycyjnej chrumka sobie jak gdyby nigdy nic, nie zachowując powagi w obliczu tych prześladowań. Zamiast podkreślić wiodącą rolę dzików w kształtowaniu nowoczesnej tkanki miejskiej, zamiast zaprosić do dialogu z rządem w sprawie udziału dzików w przestrzeni miejskiej (of kors bez wydzielania przestrzeni, bo nikt nie chciałby chyba gettyfikacji osobodziczej?), to mamy takie jawne zawłaszczenie sposobu komunikacji charakterystycznego dla tego gatunku.

Mamy nadzieję, iż sprawą się zajmie natychmiast jakaś sejmowa komisja, która najpierw Kaczafiego ukarze, a następnie uzupełni sejmowy regulamin o zapisy zabraniające naśladowania języka osobozwierząt – iż w tym wypadku naszym zdaniem w drodze wyjątku kara powinna iść przed przepisami, dla przykładu i dla zadośćuczynienia wszystkim, którzy poczuli się tym chrumkaniem obrażeni. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wybory nowego prezesa

Mateusz, chciałbym się zapisać.
Do czego, Jarku?

Do twojego stowarzyszenia.
Ale… że jak to?

Normalnie. Wiesz, że bardzo cię cenię. Chcę być w stowarzyszeniu.
No… tak, oczywiście, skoro koniecznie sobie życzysz.

Koniecznie sobie życzę. Dobrze byłoby też zrobić szybko wybory nowego prezesa. Mam zamiar wystartować.
Ale…

Głosowanie oczywiście będzie jawne. Bardzo liczę na twój głos! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„W sposób prosty można zaradzić temu niżowi demograficznemu, otwierając granice".

PROF. MAGDALENA ŚRODA, *filozof, na YouTube w programie „Monika Richardson zaprasza"*

eprasa.pl 8823c38a33



HISTORYCZNY REJS „DARU MŁODZIEŻY”

Polski żaglowiec szkolny „Dar Młodzieży” wyruszył w czwartek z portu w Gdyni w długi w rejs przez Atlantyk do Stanów Zjednoczonych. Do pokonania ma ponad 11 tys. mil morskich (czyli ponad 20 tys. km).

Głównym celem podzielonego na kilka etapów rejsu jest udział w wielkiej paradzie żaglowców w lipcu w Nowym Jorku „Sail4th 250” zorganizowanej z okazji 250-lecia niepodległości Stanów Zjednoczonych. W kilkudniowych obchodach ma wziąć udział ok. 15 tys. żeglarzy z 32 krajów.

Wyprawa do Stanów Zjednoczonych to także symboliczne nawiązanie do historycznej wyprawy „Daru Pomorza” sprzed pół wieku. Dokładnie 16 kwietnia 1976 r. „Dar Pomorza” wyruszył do Ameryki, by wziąć udział w regatach z okazji 200-lecia niepodległości USA.

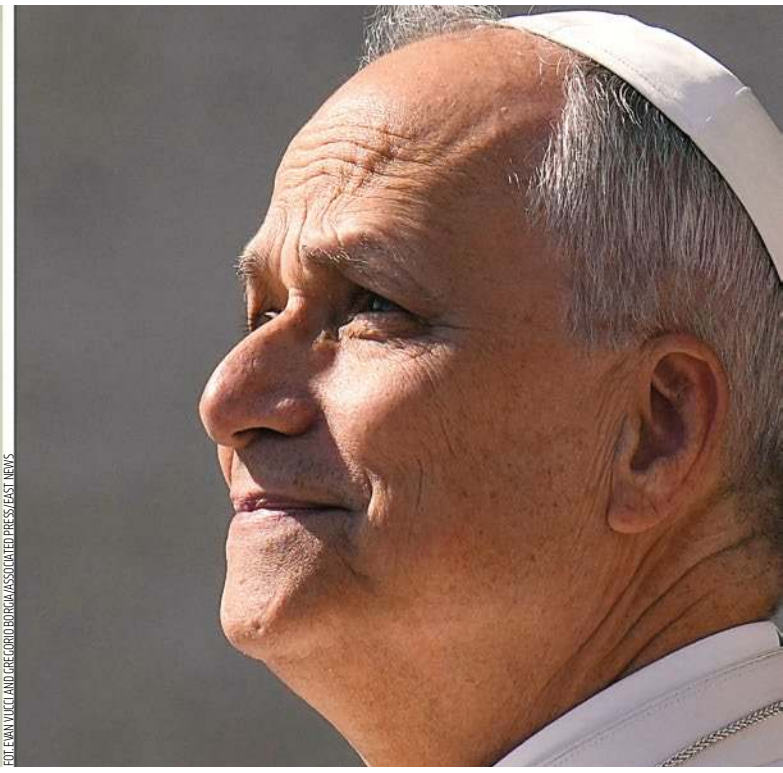
Powrót „Daru Młodzieży” do Gdyni zaplanowano na 24 sierpnia. Podczas wyprawy do USA i z powrotem jednostka zawinie do portów w Hiszpanii, na Bahamach, w Wielkiej Brytanii i w Niemczech.

To prawdopodobnie już ostatni tak długi rejs legendarnego żaglowca Uniwersytetu Morskiego w Gdyni. W przyszłości „Dar Młodzieży” ma zostać zastąpiony zupełnie nowym statkiem. ***(jap)*** ©℗



FOT. ADAM WARŻAWA/PAP





FOT. EVAN VUCCI AND GREGORIO BORGIA/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Antykatolicki jak… Trump



Paweł Chmielewski

Między Robertem Prevostem a Donaldem Trumpem dochodziło do napięć, jeszcze zanim ten pierwszy został papieżem Leonem XIV. Eskalacja napięcia wokół wojny z Iranem nie zaskakuje. Pytanie, jak daleko posunie się prezydent USA w swojej niechęci do Watykanu

Już w grudniu 2024 r. stało się jasne, że Donald Trump będzie chciał ustawić relacje ze Stolicą Apostolską na swój sposób. Trwał wtedy pontyfikat papieża Franciszka, ale Waszyngton zdecydował się na mocny krok. Jako ambasadora USA w Watykanie wskazano Briana Burcha, konserwatywnego katolika, który nie krył swoich relacji z jednym z najostrzejszych krytyków papieża z Argentyny, kard. Gerhardem Müllerem. Być może nominacja była zresztą tylko ciosem wyprzedzającym? Już w styczniu Watykan zakomunikował, że ma nowego arcybiskupa Waszyngtonu. Decyzji Franciszek nie podjął sam: razem z nim zrobił to ówczesny prefekt Dykasterii do spraw Biskupów, kard. Robert Prevost. W najbliższej wobec Białego Domu diecezji Ameryki postanowili osadzić skrajnie liberalnego Roberta McElroya, dotąd biskupa San Diego w Los Angeles…

Po śmierci Franciszka nazwisko Prevosta nie pojawiało się publicznie wśród kandydatów do papiestwa. Donald Trump zapytany o to, kogo widziałby na tronie św. Piotra, wskazał bez wahania na swojego znajomego, arcybiskupa Nowego Jorku – kard. Timothy'ego Dolana, człowieka bliskiego republikanom. Prevost, na poły peruwiański augustianin rodem z liberalnego Chicago, nie mógł być faworytem Trumpa. Jako kardynał wchodził nawet w drobne utarczki ze środowiskiem nowego prezydenta. Opublikował na X kilka postów krytykujących politykę migracyjną administracji nowego prezydenta, negatywnie ocenił np. jedno z wystąpień J.D. Vance'a, który powoływał się na zasadę porządku miłosierdzia w sprawie nielegalnych przybyszów. Kiedy 8 maja ogłoszono, że papieżem zostanie właśnie Prevost, amerykańscy zwolennicy Trumpa

eprasa.pl 8823c38a33

nie świętowali. Dominował sceptycyzm; powszechnie obawiano się, że nowy papież będzie kontynuować linię poprzednika i pomimo pochodzenia z USA nie będzie partnerem dla rządzącej administracji.

GROŹBA AWINIONU?

W pierwszych miesiącach pontyfikatu Leona XIV uniknięto poważniejszych sporów. Papież krytykował wprawdzie działania Izraela w Strefie Gazy, ale Biały Dom pozostawiał to bez reakcji. Ostatecznie Trump naciskał na rozejm, więc słowa papieża prawdopodobnie po prostu niewiele go obchodziły. W sprawie migracji konflikt toczył się na niższym poziomie, między Konferencją Episkopatu USA a niektórymi urzędnikami administracji Trumpa.

Prawdziwy problem zaczął się dopiero z nowym rokiem, kiedy Stany Zjednoczone zdecydowały się na przeprowadzenie operacji w Wenezueli. 4 stycznia podczas modlitwy Anioł Pański Leon XIV opowiedział się za suwerennością tego kraju i poszanowaniem rządów prawa, co zostało powszechnie odebrane jako krytyka porwania prezydenta Nicolása Maduro. Podobne słowa skierował też w przemówieniu 9 stycznia do korpusu dyplomatycznego Watykanu. Tym razem Waszyngton zdecydował się na interwencję. 22 stycznia nuncjusza apostolskiego w USA, kard. Christophe'a Pierre'a, odwiedzili reprezentanci Pentagonu pod kierunkiem wiceszefa Departamentu Wojny, Elbridge'a Colby'ego. Rozmowa była twarda. Na początku kwietnia portal The Free Press opisał przebieg spotkania, twierdząc, że Amerykanie mieli mówić o wielkiej potędze USA, która pozwala im robić, „co tylko chcą", w polityce zagranicznej. Przedstawiciele Pentagonu mieli też sugerować Watykanowi, że byłoby dla niego lepiej, gdyby stanął po stronie USA. Wreszcie jeden z Amerykanów miał przypomnieć o niewoli awiniońskiej, co sugerowałoby użycie przemocy wobec papieża Leona XIV…

Do tych rewelacji odniosły się szybko obie strony, zapewniając, że nikt nie formułował żadnych gróźb. Rozmowa – ogłosił kard. Pierre – była po prostu „szczera". „Szczera" oznacza oczywiście, że obie strony zamanifestowały znaczące różnice. Ambasador Brian Burch zapewnił, że podczas spotkania nie pojawiła się „groźba" Awinionu – a to oznacza z kolei milczące przyznanie, że o Awinionie jako takim



Donald Trump opublikował grafikę, na której został przedstawiony jako… Jezus Chrystus

FOT. DONALD J. TRUMP/X.COM

rzeczywiście mówiono, tylko „w innym charakterze" niż otwartej groźby. Amerykański portal watykanistyczny The Pillar, powołując się na jednego z uczestników spotkania, podał, że rozmowa była momentami „agresywna" i „wymuszająca".

Miesiąc później bardzo niemiły wobec katolików gest wykonał sam szef Departamentu Wojny, Pete Hegseth. Zaprosił do swojego resortu protestanckiego pastora Douga Wilsona, który wygłosił przemówienie transmitowane w wewnętrznej telewizji Pentagonu. Hegseth dobrze go zna, bo jest członkiem jego zboru. Problem w tym, że Wilson ma skrajnie antykatolickie poglądy. Niedawno głosił np., że w USA należałoby zakazać procesji ku czci Maryi, i przychylał się do zakazu procesji Bożego Ciała, które jego zdaniem nie różnią się wiele od procesji hinduistycznych – to wszystko jest po prostu „bałwochwalstwem".

Z kolei w marcu zagorzały zwolennik wojny z Iranem, wpływowy senator Ted Cruz, opublikował w Internecie obszerny artykuł, ostro krytykujący tradycyjnych katolików za to, że nie popierają awantury na Bliskim Wschodzie. Cruz zachęcił wszystkich obserwujących, by przeczytali ten tekst w całości.

ESKALACJA

Prawdziwa eskalacja przyszła na przełomie marca i kwietnia. W Niedzielę Palmową papież Leon XIV powiedział, że Pan Bóg nie wysłuchuje modlitw tych, którzy mają „ręce pełne krwi" oraz „prowadzą wojny". Jak podkreślił, Jezus Chrystus jest Księciem Pokoju i nikt nie może wykorzystywać Jego imienia, żeby usprawiedliwić bombardowania. Na początku marca cały świat komentował groteskowe nagranie z Gabinetu Owalnego: duża grupa protestanckich pastorów modliła się nad Donaldem Trumpem, życząc mu powodzenia w wojnie z Iranem. Słowa Leona XIV odebrano jako krytykę właśnie tego wydarzenia, a dodatkowo jako odrzucenie przekonania tych zwolenników ruchu MAGA, którzy chętnie powoływali się w marcu na wsparcie Boga w walce z władzą ajatollahów.

Wreszcie 7 kwietnia papież Leon XIV wprost skrytykował Donalda Trumpa. Nigdy wcześniej tego nie robił. Odniósł się do słów prezydenta USA, który zagroził zniszczeniem całej „cywilizacji" Iranu. Ojciec Święty stwierdził, że takie groźby są „nieakceptowalne" i ci, którzy je formułują, powinni pomyśleć o niewinnych ludziach, jacy mogliby zginąć z powodu zaostrzania przebiegu wojny.

Trump odpowiedział na to w niedzielę 12 kwietnia. Opublikował w Truth Social długi wpis, w którym nazwał Leona XIV „słabym" papieżem, nierozumiejącym polityki zagranicznej. Zarzucił mu, że ulega lewicowej narracji i nie ma rozeznania w sprawie broni atomowej Iranu. Stwierdził, że od Roberta Prevosta woli jego brata, Louisa, bo ten jest zdecydowanym zwolennikiem ruchu MAGA. Po obrażeniu papieża Trump poszedł jeszcze dalej. W tym samym serwisie opublikował grafikę, na której został przedstawiony jako… Jezus Chrystus. W charakterystycznych szatach „uzdrawiał" chorego, a przy łożu klęczeli modlący się ludzie. Na świetlistym niebie, które rozpościerało się ponad Trumpem Mesjaszem, widnieli amerykańscy żołnierze w roli aniołów. W centrum pojawiła się dziwaczna postać, która miała prawdopodobnie przypominać Statuę Wolności, ale AI przetworzyła ją tak, że wyglądała raczej jak jakiś demon.

To wszystko wywołało prawdziwy skandal. Wielu katolików domagało się od Trumpa kroku wstecz. Głos zabrał np. konserwatywny biskup Robert Barron, bliski ruchowi MAGA, wyraźnie wzywając Trumpa do tego, by przeprosił Leona XIV. Prezydent USA postanowił jednak iść w zaparte. Podczas rozmowy

eprasa.pl 8823c38a33

z prasą 13 kwietnia ogłosił, że papieża nie przeprosi, bo skoro Leon XIV publicznie go skrytykował, to on mu po prostu odpowiedział. Indagowany o bluźnierczy obrazek, który przedstawił go jako Jezusa, powiedział, że… to wymysł „fake mediów", jako że na obrazku został przedstawiony wyłącznie jako lekarz i pracownik Czerwonego Krzyża – co jest oczywistą bzdurą dla każdego, kto ten wizerunek widział. Sam wizerunek zniknął jednak z Truth Social Trumpa.

Sytuacja nieco się uspokoiła, ale jest daleka od ideału. Wiceprezydent J.D. Vance, komentując cały spór, powiedział, że Leon XIV… nie ma racji, bo istnieją przecież wojny sprawiedliwe. Jako przykład podał aliantów walczących z reżimem III Rzeszy. Vance ma słuszność: Kościół rzeczywiście uczy, że wojna może być sprawiedliwa. Jeżeli Leon XIV chciałby głosić pacyfizm, to niewątpliwie by się mylił. Problem w tym, że porównywanie izraelsko-amerykańskiego ataku na Iran z wyzwalaniem obozów koncentracyjnych Hitlera jest, delikatnie mówiąc, postawieniem sprawy na głowie. Nic dziwnego, że Leon nie chce symbolicznie pobłogosławić amerykańskich bombowców, które sieją spustoszenie wśród Persów. Administrację Trumpa to jednak dziwi.

POWTÓRKA Z HISTORII

Napięcia pomiędzy Waszyngtonem a Stolicą Apostolską nie są niczym nowym. W czasie Soboru Watykańskiego II amerykańska agencja wywiadowcza, CIA, prowadziła działania na rzecz przekonania ojców soborowych do przyjęcia wolności religijnej w duchu liberalizmu USA. Ta operacja w zasadzie całkowicie się powiodła. Dokumenty soborowe zostały napisane tak, by dało się je uzgodnić z zasadami amerykańskiej konstytucji. Watykan zaczął głosić na całym świecie wolność religijną, dość wyraźnie odchodząc od wcześniejszego nauczania. Co ciekawe, tę zmianę zauważają nie tylko konserwatyści. Czytałem niedawno książkę bardzo liberalnego niemieckojęzycznego autora, teologa Gregora Marii Hoffa. Hoff, omawiając nauczanie o wolności religijnej, przyznawał, że wersji przedsoborowej tak naprawdę nie da się pogodzić z posoborową. Tej sprzeczności prawdopodobnie nigdy by nie było, gdyby nie skuteczna operacja CIA.

Za prezydentury Baracka Obamy niejaki John Podesta, bliski współpracownik Hillary Clinton, w 2012 r. pisał w e-mailu o perspektywie zorganizowania „watykańskiej wiosny", która doprowadziłaby do lewicowych zmian w Watykanie – chodziło o zamianę Benedykta na bardziej liberalnego papieża. Na Benedykta wywarto wkrótce potężny nacisk finansowy: 1 stycznia 2013 r. Watykan został odcięty od systemu SWIFT. Represje zostały cofnięte dokładnie 11 lutego, w dniu, w którym Benedykt ogłosił, że rezygnuje z urzędu. Papież deklarował wielokrotnie, że podjął samodzielną decyzję, ale przyznawał zarazem, że czuł się zbyt słaby, by sprostać wyzwaniom. Wroga wobec Watykanu polityka amerykańska była niewątpliwie jednym z kluczowych elementów potęgujących tę trudność.

Benedykta XVI zastąpił Franciszek. Za jego kandydaturą lobbowało kilku wpływowych kardynałów z USA, w tym związany z Partią Demokratyczną Theodore McCarrick, później usunięty z grona kardynalskiego za ekscesy seksualne. Fakt, że wielkie liberalne media nigdy nie atakowały Franciszka, nie jest przecież przypadkowy: Jorge Mario Bergoglio zmienił nastawienie Watykanu względem progresywnych globalnych elit o 180 stopni. „Watykańska wiosna" rzeczywiście się dokonała. Po prawdzie chyba niedoskonale: Franciszek ewidentnie zawiódł Amerykę krytyką wojny w Strefie Gazy, odmową wsparcia zaangażowania Zachodu na Ukrainie przeciw Rosji oraz zawarciem dość trwałego porozumienia dyplomatycznego z Chinami.

To wszystko może nas gorszyć, ale nie powinno dziwić. Tron św. Piotra zawsze był przedmiotem gorących zabiegów możnych tego świata. To zbyt wielka potęga moralna, dyplomatyczna i finansowa, by przejść obok niej obojętnie. Donald Trump chciałby mieć Watykan po swojej stronie. Dla człowieka, który prowadzi liczne wojny, byłaby to po prostu kolejna religijna „podkładka" uzasadniająca w oczach wyborców podejmowane działania. To dobrze, że Leon XIV mówi kategoryczne „nie" perspektywie stania się pacynką w rękach Waszyngtonu. W tej sytuacji napięcia między nim a Trumpem są oczywiste. Problem tylko w tym, jak są komunikowane. Wszyscy wiedzą, że św. Jan Paweł II dzwonił do prezydenta George'a W. Busha i próbował odwieść go od wojny z Irakiem. Bush nie posłuchał, ale nie obrażał przy tym Ojca Świętego. Trump nie ma takich zahamowań. Niewykluczone, że w ten sposób… sam poważnie sobie zaszkodzi. Przecież katolicy to jeden z fundamentalnych trzonów jego zaplecza wyborczego. Nie byłoby ruchu MAGA bez poparcia członków Kościoła! Jeżeli Trump i jego protestanckie otoczenie nie powściągną emocji i będą nadal tak ostro krytykować katolików, papieża albo dokonywać „ubóstwienia" samego Trumpa, to może to doprowadzić do poważnej alienacji trumpistowskiej części MAGA od katolików. To nikomu nie pomoże. Wypchnie członków Kościoła z bazy wyborczej republikanów, potencjalnie torując drogę do zwycięstwa kandydata demokratów w kolejnych wyborach.

Jest jeszcze inne ryzyko, na które zwrócił niedawno uwagę znany socjolog religii, Massimo Faggioli. Wokół Trumpa nie brakuje reprezentantów tzw. technoprawicy, czyli pozornie konserwatywnych przedsiębiorców i teoretyków, którzy reprezentują idee republikańskie, ale łączą ją z pogardą dla prawa naturalnego i godności ludzkiej. To choćby Elon Musk, który uważa człowieka za „ogniwo przejściowe", prowadzące do wytworzenia cyfrowej superinteligencji; albo Peter Thiel, sponsor J.D. Vance'a i człowiek, który objeżdża świat z wykładem o Antychryście. Uważa, że przyjście Antychrysta może zatrzymać… gwałtowny rozwój technologiczny, dlatego musimy dokonać wielkiego „przyspieszenia" w tym obszarze, co oznacza oczywiście szybkie poszerzanie sfer rządzonych przez AI. Technoprawica jest niekompatybilna z katolicyzmem. Z amerykańskim, syjonistycznym protestantyzmem może się jednak dość łatwo pogodzić, tworząc wspólny front ideologicznego i bardzo niebezpiecznego pseudochrześcijaństwa. Za bp. Robertem Barronem można więc powiedzieć tylko jedno: oby prawdziwi katolicy wokół Trumpa potrafili okiełznać tę sytuację i powrócić na drogę poważnego dialogu, a nie inwektyw. O ile tacy jeszcze tam są…

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

CZYTAJ TAKŻE O KONFLIKCIE TRUMPA Z PAPIEŻEM LEONEM XIV NA STR. 80

eprasa.pl 8823c38a33

CAŁA POLSKA ŚWIĘTUJE 100-LECIE ZŁOTEGO!

TY TEŻ ODBIERZ SWÓJ BEZPŁATNY MEDAL!

Bez zobowiązań do zakupów!

Platerowany czystym złotem
(próby 999/1000)





Niepowtarzalne oznakowanie gwarantujące jakość

- Kolorowe zdobienia wykonane techniką tampondruku
- Ściśle limitowana edycja, wyprodukowano tylko 5000 sztuk na całym świecie!
- Najwyższa jakość mennicza – stempel lustrzany
- Medal dostępny wyłącznie w Mennica–Numizmaty

Dla Ciebie
za 0 zł*
(zamiast 185 zł)
*Koszty pakowania i wysyłki tylko 14,95 zł

Najniższa cena w ciągu ostatnich 30 dni przed wprowadzeniem obniżki: 0 zł.

Średnica medalu: ok. 33 mm
Waga medalu: 14,6 g

BEZ ZOBOWIĄZAŃ DO ZAKUPÓW!



Mennica–Numizmaty, marka Eldora World AG.
Administratorem danych osobowych i stroną umowy jest: Eldora World AG, Leubernstrasse 6, CH-8280 Kreuzlingen, Szwajcaria.

Ten medal z pewnością szybko się wyprzeda. Zamów już teraz!

☑ **TAK!** Chcę otrzymać medal „100 złotych – projekt 1924" **(nr art. 904-310-1)** za 0 zł* (zamiast 185 zł). Najniższa cena w ciągu ostatnich 30 dni przed wprowadzeniem obniżki: 0 zł. *Koszty pakowania i wysyłki tylko 14,95 zł.

Mam GWARANCJĘ, że zamawiając ten medal, nie zaciągam żadnych zobowiązań. Mam prawo do jego zwrotu w ciągu 60 dni. Płatność 14,95 zł (koszty pakowania i wysyłki) przy odbiorze przesyłki (za pobraniem).

Administratorem Twoich danych osobowych jest Eldora World AG, Leubernstrasse 6, CH-8280 Kreuzlingen, Szwajcaria – możesz się z nim skontaktować pod adresem bok@mennica-numizmaty.pl. Twoje dane osobowe (imię, nazwisko, adres) przetwarzane są w celu wysłania materiałów promocyjnych dotyczących monet i medali (art. 6 ust. 1 lit. f) RODO). Jeżeli nie życzysz sobie ich otrzymywania, możesz zgłosić sprzeciw wobec przetwarzania Twoich danych w celach reklamowych, wysyłając go pocztą (na adres: Mennica–Numizmaty, ul. Paderewskiego 167, 05-070 Sulejówek) lub e-mailem (na adres: bok@mennica-numizmaty.pl). Więcej informacji o sposobie przetwarzania danych osobowych znajdziesz na stronie www.mennica-numizmaty.pl/prywatnosc

Zamów szybko i wygodnie przez telefon:
22 211 65 99
(Biuro Obsługi Klienta czynne od poniedziałku do piątku w godzinach 8:00-17:00 oraz w sobotę w godzinach 9:00-15:00)
Stawka za połączenie z numerem stacjonarnym zgodna z taryfą operatora.

❑ Chcę otrzymywać drogą elektroniczną i telefoniczną informacje o promocjach i rabatach dotyczących produktów własnych Eldora World AG. Wiem, że mogę wycofać moją zgodę w dowolnym momencie, wystarczy że wyślę informację na adres MENNICA–NUMIZMATY, Biuro Obsługi Klienta, ul. Paderewskiego 167, 05-070 Sulejówek.

Mój adres: ❑ Pani ❑ Pan

586-05

Imię i nazwisko:

Ulica, numer domu i mieszkania:

Kod pocztowy Miejscowość

Nr telefonu (wymagany)

E-mail

Obowiązują *Ogólne warunki handlowe* Mennica–Numizmaty, dostępne na stronie www.mennica-numizmaty.pl lub (na żądanie) na piśmie. Stroną umowy jest Eldora World AG, Leubernstrasse 6, CH-8280 Kreuzlingen, Szwajcaria.

✔

Data Podpis

MENNICA NUMIZMATY™

Możesz też wypełnić kupon i wysłać go niezwłocznie na adres: Mennica–Numizmaty • ul. Paderewskiego 167, 05-070 Sulejówek • bok@mennica-numizmaty.pl

eprasa.pl 8823c38a33



Z gen. Leonem Komornickim, byłym wiceszefem Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, wiceprezesem Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego

rozmawia Ryszard Gromadzki

Konsorcjum śmierci bez żadnej strategii

FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

RYSZARD GROMADZKI: Panie generale, czy fiasko rokowań pokojowych między Iranem a USA w Islamabadzie oznacza powrót do pełnoskalowej wojny na Bliskim Wschodzie?

GEN. LEON KOMORNICKI: Ostateczne zerwanie rozejmu nastąpi wtedy, kiedy amerykańskie okręty podejmą próbę zablokowania cieśniny Ormuz i przystąpią do blokady irańskich portów. Tym samym naruszone zostaną wody terytorialne Iranu, bo trzeba pamiętać, że cieśnina Ormuz stanowi irańskie wody terytorialne. Siłą rzeczy więc porozumienie rozejmowe z 8 kwietnia przestanie działać i Stany Zjednoczone ponownie przystąpią do wojny, którą rozpoczęły z inicjatywy Izraela, której zresztą Izrael nie przerwał, bo ciągle prowadzi agresję w Libanie, uzasadniając to koniecznością rozbicia proirańskiego Hezbollahu i opanowania 30-kilometrowej strefy buforowej w południowym Libanie. De facto chodzi o aneksję przez Izrael tej części Libanu.

Prawdopodobnie będziemy zatem mieli do czynienia z kontynuacją wojny. Chociaż moim zdaniem Stany Zjednoczone zmienią taktykę prowadzonych przez siebie działań militarnych, bo trudno tu mówić o strategii, której w dalszym ciągu ze strony USA nie widzę. Nawet gdyby doszło do zablokowania cieśniny Ormuz i irańskich portów, połączonego z ograniczonymi uderzeniami z powietrza na Iran, jak zapowiada prezydent Trump.

Zmiana taktyki ze strony USA to efekt „wystrzelania się” Amerykanów wynikającego z ogromnego zużycia zasobów bojowych w ciągu pierwszych 40 dni wojny z Iranem?

Otóż to. Moim zdaniem zmiana taktyki wobec Iranu będzie podyktowana wysokim poziomem wykorzystania zasobów amerykańskiej armii. Uważam, choć oczywiście nie dysponuję dokładną wiedzą na ten temat, że w niektórych segmentach poziom zużycia tych zasobów przez amerykańskie wojsko mógł sięgnąć „czerwonej linii”, czyli nienaruszalnego poziomu zapasów rakiet, bomb czy innych systemów walki. Koszty zużycia zasobów militarnych przez amerykańską armię w ciągu 40 dni wojny z Iranem sięgają olbrzymich kwot.

eprasa.pl 8823c38a33

Szacunki przytaczane przez różne źródła mówią o sumie 280 mld dol.

Już na pierwszy rzut oka widać ogromny rozziew między kosztami amerykańsko-izraelskiej agresji na Iran a jej efektami. Uderza olbrzymia rozrzutność. Skutki działań amerykańskiego wojska w czasie tej wojny są niedostateczne. Nie udało się złamać oporu irańskiej armii, przeprowadzić zmian politycznych w tym kraju czy dokonać znaczącego osłabienia irańskiego potencjału o charakterze ofensywnym. Iran zdołał zachować zdolność do obrony swojego terytorium, którego Stany Zjednoczone, z wyjątkiem przestrzeni powietrznej nie odważyły się dotąd zaatakować. Jeśli chodzi o skuteczność uderzeń powietrznych na zasoby irańskich rakiet balistycznych, dronów, ich zdolności produkcyjne, to Stanom Zjednoczonym, nie udało się ich obezwładnić w stopniu, który pozwalałby na stwierdzenie, że Iran poniósł klęskę i złożył akt kapitulacji.

Negocjacje w Islamabadzie toczyły się na podstawie agendy, którą przygotował Iran. Państwo pokonane w wojnie nie stawia warunków.

Z tego, co wiadomo, sześć z 10 punktów przedstawionych przez Iran w Islamabadzie miało zostać uzgodnionych. Pozytywny finał rozmów uniemożliwił brak zgody co do czterech pozostałych punktów. Jeden z nich dotyczył zawieszenia przez Izrael agresji na Liban. Notabene Izrael, który miał przystąpić do tego porozumienia, złamał je już pierwszego dnia, dokonując masakry w Bejrucie, popełniając kolejną w tej wojnie zbrodnię wojenną, bo ofiarą ataku na stolicę Libanu była ludność cywilna.

Wracając do pana wcześniejszego pytania, w najbardziej prawdopodobnym scenariuszu Stany Zjednoczone będą w konsorcjum z Izraelem, które określam mianem „konsorcjum śmierci", kontynuować tę wojnę, bez żadnej strategii. Bo nie wiadomo, jaki strategiczny skutek miałaby przynieść blokada irańskich portów i cieśniny Ormuz. Nie spodziewam się, że Stany Zjednoczone poprzez te działania osiągną zamierzone cele militarne i polityczne, czyli załamanie się Iranu, irańskiej armii i ostateczny akt kapitulacji. A przecież strategicznym celem wojny jest zwycięstwo i podpisanie przez pokonane państwo aktu bezwarunkowej kapitulacji. Moim zdaniem to nie nastąpi.

Poza tym Pentagon nie przewidział właściwie skutków agresji przeciw Iranowi na gospodarkę światową, podchodząc do wywołanego przez siebie kryzysu skrajnie egoistycznie. Proszę zwrócić uwagę na sytuację amerykańskich sojuszników w regionie Zatoki Perskiej, znaczących producentów i eksporterów węglowodorów. Wszystkie te kraje zostały potraktowane przez Amerykanów jak państwa drugiej kategorii zarówno pod względem bezpieczeństwa militarnego, jak i ekonomicznego. Arabia Saudyjska przekierowała wprawdzie część swojego wydobycia ropy poprzez rurociąg do portów na zachodzie kraju, ale to nie rekompensuje jej strat, które są wynikiem blokady cieśniny Ormuz.

Poza tym eksport saudyjskiej ropy przez Morze Czerwone mogą zablokować sprzymierzeni z Iranem jemeńscy Huti.

No właśnie. Jeżeli zawieszenie broni zostanie ostatecznie złamane, to w mojej ocenie Huti przystąpią do tych działań i stworzą kolejny poważny dylemat dla Stanów Zjednoczonych i Izraela.

Amerykanie naciskają na państwa NATO, i nie tylko, żeby zaangażowały się w udrożnienie cieśniny Ormuz. Czy ten plan może się powieść przy bardzo dużej niechęci europejskich rządów i społeczeństw do angażowania się w wojnę z Iranem po stronie USA i Izraela?

Nie trzeba wyjaśniać, że zorganizowanie skutecznej blokady morskiej jest niezwykle kosztownym przedsięwzięciem. Iran nie pozostanie przecież bierny, będzie oddziaływał. Cieśninę trzeba rozminować, przeprowadzić przez nią trałowce, a, jak wiadomo, armia irańska czy Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej posiada potencjał w postaci dronów kamikaze czy rakiet, żeby ten proces poważnie zakłócić. Jeżeli dojdzie do strat, trafienia któregoś z okrętów uczestniczących w blokadzie, to w mojej ocenie będzie to miało daleko idące skutki dla taktyki obranej przez Trumpa i Pentagon. Działania przeciw Iranowi będą napotykały coraz większy opór społeczny w Stanach Zjednoczonych, co będzie rzutowało bardzo negatywnie na notowania samego Trumpa, jak i republikanów. A już w listopadzie odbędą się wybory „połówkowe" do Kongresu.

Czy ewentualne odcięcie Chin od dostaw irańskiej ropy może skutkować zaangażowaniem się Państwa Środka w wojnę na Bliskim Wschodzie?

Chiny już ostrzegły Stany Zjednoczone przed blokadą cieśniny Ormuz. To wcale nie musi się wiązać z wykorzystaniem siły. Pekin posiada dostatecznie dużo kart, których może użyć. Chiny są głównym dostawcą metali ziem rzadkich do amerykańskiego przemysłu, w tym przemysłu zbrojeniowego, niezbędnych do produkcji nowoczesnego uzbrojenia np. samolotów F-35, czy rakiet PAC-3. Chińskie władze już raz zagroziły wykorzystaniem tej karty przetargowej, kiedy Donald Trump straszył Pekin drastycznym podniesieniem ceł na chińskie samochody.

Chińczycy dysponują zatem atutem, który może istotnie zagrozić amerykańskiemu przemysłowi zbrojeniowemu, a także cywilnemu, bo np. w samochodach produkowanych w USA wykorzystywane są komponenty wytwarzane z metali ziem rzadkich. Chiny opanowały technologie w tym zakresie. Szacuje się, że Stany Zjednoczone potrzebują pięciu lat, żeby to osiągnąć. Idąc tym tropem myślenia, można powiedzieć, że angażując się za namową Izraela w wojnę z Iranem, Stany Zjednoczone biorą na siebie ogromne, irracjonalne ryzyko. To przejaw awanturnictwa militarno-politycznego, którego efekty będą niewielkie, a szkody niewspółmiernie duże wobec działań odwetowych podjętych przez Chiny i inne państwa, które ucierpiały z powodu agresji Stanów Zjednoczonych i Izraela na Iran. Mam na myśli również Europę.

Przecież Europa pogrążona jest w wielowarstwowym kryzysie, a w wymiarze globalnym pozbawiona politycznej i militarnej sprawczości.

Uważam, że Europa ma możliwości, żeby nie tylko werbalnie przeciwstawiać się kryzysowi rozpętanemu wspólnie przez USA i Izrael. Politycy europejscy mają coraz większą świadomość, że społeczeństwa ich krajów obdarzają coraz większą sympatią Iran, jednocześnie coraz silniejsze są nastroje antyamerykańskie i antyizraelskie.

Wynik wyborów na Węgrzech dobitnie pokazał ten trend. Demonstracyjne poparcie Trumpa dla premiera Orbána było dla niego „pocałunkiem śmierci".

eprasa.pl 8823c38a33

Z całą pewnością. Trzeba pamiętać, że w poparcie Orbána zaangażowany był także premier Izraela Netanjahu. Na „odcinku węgierskim” Rosja i Stany Zjednoczone działały w zmowie, Orbánowi to nie pomogło. To uboczny skutek wojny w Iranie. Zwracam uwagę, że konflikt na Bliskim Wschodzie załamuje także kurs obrany w narodowej strategii bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. W tym dokumencie zaistniały dwa bardzo ważne zapisy. My jako Polska powinniśmy na nie zwrócić baczną uwagę i trzymać rękę na pulsie. Jeden z tych zapisów mówi o potrzebie deeskalacji napięcia pomiędzy Rosją a NATO. Węgry Orbána, które utrzymywały dobre relacje zarówno z Moskwą, jak i z Waszyngtonem, miały odgrywać rolę forpoczty, która realizuje to zadanie. Miejscem, gdzie to napięcie się ogniskuje, jest oczywiście wschodnia flanka NATO, gdzie Polska odgrywa kluczową rolę. Drugi niezwykle istotny zapis amerykańskiej strategii bezpieczeństwa stanowi, że ma nastąpić strategiczna równowaga między Rosją a Stanami Zjednoczonymi, co wiąże się z gotowością do wspólnych interesów obydwu mocarstw.

Czy tzw. efekt Anchorage [w Anchorage na Alasce 15 sierpnia 2025 r. odbył się szczyt Trump-Putin], który znalazł odzwierciedlenie w amerykańskiej strategii bezpieczeństwa, oznacza nowy podział stref wpływów między USA a Rosją w Europie?

Jeśli Amerykanie zablokują cieśninę Ormuz, to Europa będzie musiała przeprosić się z Putinem i pójść „po prośbie” po ropę naftową i gaz do Rosji.

W scenariuszu, który pan kreśli, Polska, której zarówno rząd, jak i prezydent okopali się głęboko w pryncypialnej, bezwarunkowej antyrosyjskości, może na własne życzenie „wystrychnąć się na dudka”. Europa korzystając z „zielonego światła” ze strony Trumpa, wróci pełną parą do interesów z Rosją, a my zostaniemy sami na placu gry.

Dokładnie tak. Grozi nam „samotność strategiczna” ze wszystkimi jej złowrogimi skutkami.

To wszystko w czasie wojny na Bliskim Wschodzie, która – jak się wydaje – może ukształtować nowy skład „koncertu mocarstw” z pełnoprawnym udziałem Izraela, który nie kryje ambicji wykraczających daleko poza status wyłącznie regionalnego mocarstwa.

Państwo żydowskie, poprzez taktykę „spalonej ziemi” w Strefie Gazy, a teraz w Iranie i w południowym Libanie realizuje projekt „Wielkiego Izraela” od Nilu do Eufratu. Stany Zjednoczone są wyłącznie podwykonawcą tego projektu.

Grupa przywódcza Izraela, używam celowo tego określenia, bo dotyczy to zarówno koalicji rządzącej Netanjahu, jak i opozycji, deklaruje wprost, że celem państwa żydowskiego jest nie tylko dominacja militarna na Bliskim Wschodzie, lecz także w dłuższej perspektywie kontrola szlaku handlowego IMEC z Indii do Europy (India-Middle East-Europe Economic Corridor) oraz nad przesyłem ropy naftowej z państw Zatoki Perskiej do Europy.

Izrael jest jednym z niewielu państw na Bliskim Wschodzie, które nie mają złóż ropy naftowej i gazu. Oni są gotowi zrobić wszystko, żeby po nie sięgnąć. Dlatego budują imperium, odwołując się do obietnicy danej Abrahamowi przez Boga, który przyrzekł przekazanie mu w wieczne posiadanie ziem, które mają stanowić „Wielki Izrael”.

Bezwarunkowym priorytetem dla USA jest bezpieczeństwo Izraela. Europejscy sojusznicy, Korea Południowa, Japonia czy państwa arabskie położone nad Zatoką Perską są partnerami drugorzędnymi

Europa wobec agresji na Iran nie może być tylko kibicem, który ogranicza się do werbalnych protestów. Stany Zjednoczone nie są w stanie wygrać wojny z Iranem bez wojsk lądowych. Oparciem lądowym dla Stanów Zjednoczonych są bazy zlokalizowane w Europie. Bez europejskich baz Amerykanie nie mają projekcji siły. Rzecz w tym, że europejscy sojusznicy, podobnie jak Korea Południowa, Japonia czy państwa arabskie położone nad Zatoką Perską, są partnerami drugorzędnymi. Bezwzględnym i bezwarunkowym priorytetem dla USA jest bezpieczeństwo Izraela. Wojna z Iranem pokazała, że Stany Zjednoczone przyjęły rolę podwykonawcy strategii Izraela.

Przyjęły dobrowolnie czy zostały przymuszone w związku z szantażem prezydenta Trumpa aktami Epsteina?

To jest sedno sprawy, jeśli chodzi o inspirację wojny. Epstein rozdaje karty zza grobu. Kiedy został zawarty rozejm z Iranem, Netanjahu ostro się temu przeciwstawił. Zadzwonił nawet w trakcie rozmów do negocjatorów i natychmiast w przestrzeni publicznej znowu pojawił się Epstein. Głos w sprawie zabrała nawet Melania Trump, odżegnując się od jakichkolwiek związków z nim.

Powiedział pan, że Stany Zjednoczone wzięły na siebie rolę podwykonawcy w wojnie z Iranem rozpoczętej przez Izrael. Są tacy, którzy twierdzą, że Polska też staje się izraelskim podwykonawcą, godząc się na parkowanie dwóch Boeingów 777 izraelskich linii EL AL na lotnisku w Radomiu? Czy Polacy jak Amerykanie mają umierać za „Wielki Izrael”?

Nie chodzi o to, czy umierać czy nie umierać. Natomiast naruszenie obiektów stanowiących infrastrukturę krytyczną, na dodatek przez państwo niemające statusu sojuszniczego, stanowi pogwałcenie naszej suwerenności. Jeśli te samoloty uczestniczą w wojnie przeciwko Iranowi czy przeciwko Libanowi, to oznacza to także uczestnictwo Polski w tych wojnach po stronie Izraela. To jest niedopuszczalny skandal. Pytanie: Kto wyraził na to zgodę? Kto stoi za tą zgodą? Minister obrony? Rząd? Prezydent? To jest kwestia do wyjaśnienia, którą media powinny się natychmiast zająć. Ta sprawa to przejaw przerażającego kundlizmu i zwasalizowania polskiego państwa, w którym podporządkowujemy się potrzebom określonego państwa, które realizuje swoją politykę imperialną. Armia izraelska realizuje tę politykę w wymiarze siłowym, przekraczając wszelkie normy prawa międzynarodowego, dopuszczając się zbrodni wojennych i ludobójstwa, czego przykładem jest Strefa Gazy. Mamy w tym uczestniczyć poprzez udostępnianie swojego lotniska dla izraelskich samolotów? Jakim prawem? Do tego konieczna jest zgoda parlamentu i prezydenta. Jeżeli wyrazili oni zgodę „po cichu”, jak to często ma miejsce w Polsce, to rzecz niedopuszczalna. Tego nie można tak po prostu zostawić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33



Jacek Przybylski

„Radioaktywny” Donald Trump

Prezydent USA pali kolejne mosty w Europie, obrażając nawet tak bliskich sojuszników jak premier Włoch Giorgia Meloni. Jego nowy pomysł na pokonanie Iranu – zablokowanie cieśniny Ormuz – może okazać się bardzo groźny dla globalnej gospodarki i światowego pokoju. Blokada celowo uderza bowiem nie tylko w Teheran, lecz także w Pekin. Przywódca Chin publicznie ostrzegł zatem przed powrotem do „prawa dżungli”

Amerykański prezydent z charakterystyczną dla siebie swadą opowiadał w ubiegłym tygodniu na antenie telewizji Fox, że gdyby tylko zechciał, to Stany Zjednoczone uderzyłyby w Iran tak mocno, że odbudowa tego kraju zajęłaby 20 lat. Globalni inwestorzy uznali jednak, że Trump znów tylko dużo gada, a tymczasem – podobnie jak w wielu wcześniejszych przypadkach – z dużej chmury będzie tylko… małe TACO. Akronim od słów „Trump Always Chickens Out”, oznaczający, że „Trump zawsze tchórzy”, początkowo znany był głównie inwestorom, którzy kupowali tanio akcje, gdy napuszony amerykański prezydent groził kolejnym krajom wielkimi cłami, i sprzedawali je dużo drożej, gdy ostatecznie okazywało się, że Trump znów mocno przelicytował i poza retoryką „nie ma żadnych kart”. W ostatnich dniach znaczenie słowa „TACO” objaśniały czytelnikom największe gazety w Europie, krajach arabskich, w Azji czy Ameryce Północnej.

Indeksy giełdowe w USA czy w Europie otrząsnęły się ze strat wywołanych agresją na Iran i w ubiegłym tygodniu biły rekord za rekordem. Jednocześnie mocno spadały ceny ropy oraz gazu.

TRWAŁY POKÓJ?

Wprawdzie każda ze stron konfliktu – USA, Izrael oraz Iran – zdążyła ogłosić zwycięstwo w trwającej pięć tygodni wojnie, ale chłodne spojrzenie na sytuację na Bliskim Wschodzie wciąż nie pozwala na hurraoptymizm. Mimo deklaracji prezydenta Donalda Trumpa, że wojna jest „bliska zakończenia”, kończące się w najbliższy wtorek zawieszenie broni wydaje się nadal wisieć na włosku. Nieformalne negocjacje za pośrednictwem pakistańskich mediatorów trwają, ale to nie jest gwarancja niczego – tylko w ciągu ostatnich 12 miesięcy Amerykanie dwukrotnie zbombardowali Iran, choć według wszelkich publicznie dostępnych informacji bezpośrednie dyplomatyczne rozmowy posuwały się naprzód i otwierały drogę do porozumienia bez użycia siły. Tymczasem gdy zamykaliśmy ten numer „Do Rzeczy”, nie rozpoczęła się jeszcze nawet druga runda negocjacji między Waszyngtonem a Teheranem. Jedyna dobra informacja była taka, że według agencji Bloomberg USA i Iran miały rozważać przedłużenie zawieszenia broni o kolejne dwa tygodnie. Negocjacje utrudniały kolejne izraelskie zbrodnie popełniane bez opamiętania przez IDF na ludności cywilnej w Libanie. Rozmów między wszystkimi zaangażowanymi stronami nie ułatwiał też fakt, że Pakistan – obecnie główny mediator między stronami – formalnie nie uznaje nawet istnienia Państwa Izrael i nie utrzymuje z nim żadnych stosunków dyplomatycznych.

Rozmowy o trwałym pokoju utrudnia to, że gdyby konflikt na Bliskim Wschodzie zakończył się na obecnym etapie, Donald Trump zapisałby się na kartach historii jako autor jednej z najbardziej bezsensownych operacji zbrojnych w dziejach Ameryki. Stanom Zjednoczonym nie udało się osiągnąć niemal żadnego celu poza likwidacją irańskiej floty wojennej. Bombardowanie nie pomogło w zmianie reżimu w Teheranie. Przeciwnie. Reżim ajatollahów – choć czeka go długa i kosztowna odbudowa kraju zniszczonego amerykańsko-izraelską agresją – zdołał skutecznie obronić się przed potężnymi przeciwnikami. Efekt: nowi liderzy Islamskiej Republiki Iranu są bardziej pewni siebie, nieprzejednani i przekonani o konieczności rozwoju zdolności wojskowych.

Wśród 10 warunków zakończenia konfliktu jest wprawdzie mowa o rezygnacji Iranu z budowy broni nuklearnej, ale nie z programu rozwoju cywilnej energetyki atomowej (szacuje się, że mimo wojny Irańczycy nadal są w posiadaniu ok. 441 kg uranu wzbogaconego do 60 proc. czystości izotopu U-235, jednak próba jego siłowego przejęcia mogłaby się skończyć skażeniem chemicznym i radiologicznym dużej części regionu). Trumpowi i jego administracji po kilku tygodniach kosztownej wojny udało się więc na razie uzyskać mniej więcej to, co gwarantowało już porozumienie nuklearne (JCPOA) zawarte w 2015 r. przez Baracka Obamę i wypowiedziane za namową Izraela przez Donalda Trumpa.

Dzięki nieudanej operacji wojskowej Donalda Trumpa i premiera Izraela Beniamina Netanjahu Irańczycy zyskali też nową potężną broń, której nie mieli przez niemal pięć dekad napięć między Waszyngtonem a Teheranem. To kontrola nad kluczową dla globalnego handlu cieśniną Ormuz, a co za tym idzie – kontrola przepływu surowców energetycznych, nawozów oraz helu (kluczowego w zastosowaniach medycznych czy w produkcji półprzewodników). Nawet po formalnym zakończeniu konfliktu

eprasa.pl 8823c38a33

można wątpić, by warunki żeglugi tym szlakiem wróciły do stanu sprzed inwazji z 28 lutego 2026 r. A że władze w Teheranie potrzebują szybkiego dopływu gotówki, aby uratować krajową gospodarkę i odbudować infrastrukturę, mogą doprowadzić do wprowadzenia trwałego myta za możliwość przepłynięcia przez cieśninę Ormuz. Miałoby ono wynosić ok. 2 mln dol. od każdego dużego tankowca. I chociaż byłoby nielegalne, to część krajów może się na nie zgodzić, wychodząc z założenia, że lepsza jest droga ropa od braku ropy w ogóle.

Kolejny niezrealizowany cel wojny to potencjał wojskowy Iranu. Wprawdzie prezydent USA zapewniał, że zniszczono „100 proc. irańskiego potencjału militarnego", to Agencja Reutera podała pod koniec marca, że Amerykanom udało się zlikwidować zaledwie jedną trzecią irańskich rakiet i dronów. Reszta ma być ukryta w tzw. rakietowych miastach, czyli w rozległej sieci tuneli, w których Iran od lat magazynował rakiety, pociski i wyrzutnie. Wejścia do tych podziemnych baz zostały zniszczone podczas amerykańskich i izraelskich nalotów. Jak jednak poinformowała telewizja CNN, ze zdjęć satelitarnych wynika, że podczas zawieszenia broni irańskie władze próbowały przywrócić dostęp do zasypanego arsenału, m.in. w pobliżu Chomejnu oraz Tebrizu.

Europejczycy planują udrożnienie żeglugi przez cieśninę Ormuz. W misji mają nie brać udziału wojska USA

Jednocześnie niedobory pocisków przechwytujących w krajach Zatoki Perskiej znacząco zwiększają ryzyko skutecznych trafień w razie wznowienia konfliktu. USA mają też problem z zapasami innych rodzajów amunicji. Według magazynu „Military Watch" amerykańska armia wystrzeliła podczas ostatnich tygodni m.in. cały zapas najnowszych pocisków balistycznych krótkiego zasięgu (PrSM). Można zatem zakładać, że nawet jeśli negocjacje pokojowe będą się przedłużały, to Amerykanie zgodzą się na dalsze zawieszenie broni. Innym powodem jest to, że Biały Dom ze względów politycznych będzie chciał jak najdłużej utrzymywać spokój na giełdach, aby obniżyć ceny surowców przed listopadowymi wyborami „połówkowymi".

RYZYKO ESKALACJI

Mimo politycznego zagrożenia, które niosłaby dla szans republikanów w wyborach koszmarnie droga ropa, ryzyko powrotu do wojny wydaje się nadal wysokie. Po pierwsze dlatego, że akceptacja warunków Iranu, w tym przyjęcie gwarancji bezpieczeństwa dla Teheranu i jego sojuszników, oznaczałoby strategiczną i symboliczną porażkę Izraela, który nie osiągnął absolutnie żadnego z celów wojny (trudno bowiem za wielki sukces uznać zabicie 86-letniego najwyższego przywódcy, którego przynajmniej formalnie zastąpił 57-letni syn Modżtaba Chamenei). Można zatem się spodziewać, że ekipa Netanjahu po cichu będzie robiła, co w jej mocy, aby doprowadzić do storpedowania trwałego porozumienia między USA a Iranem.

Do eskalacji konfliktu zarówno na polu militarnym, jak i ekonomicznym może też doprowadzić ogłoszona triumfalnym tonem przez amerykańskiego prezydenta decyzja o rozpoczęciu blokady cieśniny Ormuz. Jak podało Dowództwo Centralne USA (CENTCOM), w misji bierze udział ponad 10 tys. amerykańskich marynarzy, żołnierzy piechoty morskiej i lotników, a także ponad tuzin okrętów wojennych i samolotów. Według Amerykanów w ciągu pierwszych 48 godzin przez blokadę nie przedostał się żaden statek, co oznacza, że udało się całkowicie odciąć Irańczyków od możliwości prowadzenia handlu morskiego. 15 kwietnia Waszyngton nałożył również nowe sankcje na ponad 20 osób, firm i statków, które według USA są zaangażowane w eksport irańskiej ropy naftowej i gazu ziemnego. Sekretarz skarbu Scott Bessent zasygnalizował również gotowość USA do nałożenia „sankcji wtórnych" na kraje kupujące irańską ropę. Według szacunków Miady Malekiego z waszyngtońskiego think tanku Fundacja Obrony Demokracji amerykańska blokada kosztuje Iran łącznie ok. 435 mln dol. dziennie.

Brzmi jak sukces? Niekoniecznie. Jeśli celem Trumpa było zapewnienie bezpieczeństwa globalnych dostaw surowców



Mural w sercu Teheranu przedstawiający cieśninę Ormuz z napisem „Na zawsze w irańskich rękach" FOT. AFP/EAST NEWS

energetycznych lub osłabienie Irańczyków, to amerykańska blokada ma szansę doprowadzić do osiągnięcia dokładnie odwrotnego efektu. W odpowiedzi Teheran może bowiem nie tylko wstrzymać transport surowców przez cieśninę Ormuz, lecz także doprowadzić do zablokowania bezpiecznej żeglugi przez cieśninę Bab al-Mandab pomiędzy Afryką a Półwyspem Arabskim za pomocą zaprzyjaźnionych bojowników Huti. Taki scenariusz mógłby potencjalnie ograniczyć możliwość dostaw surowców energetycznych o kolejnych kilkanaście procent. To zaś oznaczałoby w wielu miejscach świata nie tylko droższą ropę, lecz także po prostu brak dostępu do ropy. Efekt dla gospodarek byłby katastrofalny.

Już teraz sytuacja jest zła. W kierunku Europy od kilku tygodni nie wypłynęły nowe tankowce załadowane po brzegi paliwami lotniczymi, ropą czy olejem napędowym. Jeśli sytuacja się utrzyma, to należy się liczyć nie tylko z drogim paliwem, lecz także z jego reglamentacją na stacjach czy lotniskach.

Większość tankowców pływających przez Ormuz po tanią irańską ropę należy do Chin (są też indyjskie czy koreańskie). Blokada cieśniny to zatem kolejny krok po porwaniu przywódcy Wenezueli, który uderza w dostawy taniego surowca energetycznego do głównego gospodarczego rywala USA. Poza tym zatrzymanie lub zajęcie tankowca, który płynie po międzynarodowych wodach, tylko dlatego,

eprasa.pl 8823c38a33



że dany kraj utrzymuje relacje handlowe z wrogiem USA, byłoby nie tylko nielegalne, lecz także wrogie. Takie działanie mogłoby być traktowane jako akt wojny. A na pewno wywołałoby stanowczą reakcję. Prezydent Chin, który do tej pory milczał w sprawie konfliktu z Iranem, publicznie sprzeciwił się „cofaniu się świata do prawa dżuxngli". Xi Jinping wygłosił te słowa po spotkaniu w Pekinie z premierem Hiszpanii Pedro Sánchezem, który zasłynął jako główny krytyk amerykańskiego prezydenta w Europie i zdecydowany przeciwnik wojny w Iranie (z nowego sondażu Politico wynika zaś, że większość Hiszpanów myśli podobnie jak szef ich rządu, aż 51 proc. ankietowanych uznało bowiem USA za „zagrożenie dla Europy").

AMERYKANIE NIEMILE WIDZIANI

Dotychczasowi przyjaciele Stanów Zjednoczonych przekonali się w kosztowny sposób, że przez Amerykę rządzoną przez Donalda Trumpa traktowani są jak sojusznicy drugiej kategorii. Gdy tylko ogłoszono zawieszenie broni, Europejczycy wsiedli więc na pokłady samolotów, aby na własną rękę szukać sposobów na zapewnienie sobie dostaw kluczowych surowców energetycznych.

Szefowa unijnej dyplomacji Kaja Kallas odwiedziła m.in. Arabię Saudyjską oraz Abu Zabi. Z kolei premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer gościł w Katarze i w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. „Nasze rządy podejmą działania mające na celu zapewnienie wolności żeglugi w cieśninie Ormuz" – czytamy w oświadczeniu podpisanym przed tygodniem przez liderów kilku państw europejskich (m.in. prezydenta Francji, premier Włoch, kanclerza Niemiec czy szefa brytyjskiego rządu), a także Australii, Japonii i Kanady. W oświadczeniu nie podano niestety, o jakie działania chodzi.

„The Wall Street Journal" napisał jednak w ubiegłym tygodniu, że kraje europejskie opracowują plan udrożnienia żeglugi przez cieśninę Ormuz m.in. poprzez wysłanie okrętów do usuwania min po zakończeniu działań wojennych. Z inicjatywy, której autorami są Francuzi i Brytyjczycy, wykluczeni mają być Amerykanie. Niewykluczone, że wezmą w niej udział również takie kraje jak Niemcy, Chiny czy Indie. Łącznie Francuzi mają rozmawiać z mniej więcej 15 państwami. Aby zapewnić armatorów, że transport przez cieśninę jest znowu bezpieczny, Europejczycy mieliby wysłać w rejon cieśniny fregaty i niszczyciele. Według „Foreign Policy" Francja wysłała już na wschodnią część Morza Śródziemnego grupę lotniskowców oraz osiem okrętów wojennych. Paryż podkreśla jednak, że okręty te przystąpią do swych zadań jedynie za zgodą Iranu.

Jednocześnie Europejczykom nie będzie łatwo samodzielnie przeprowadzić operacji w cieśninie. Muszą bowiem zapewnić stałe zdolności obronne przed agresywną polityką Rosji. Dzięki bliskowschodniej awanturze Trumpa Moskwa zarobiła krocie na wzroście cen ropy na globalnych rynkach. I chociaż administracja prezydenta USA w połowie kwietnia nie przedłużyła zawieszenia sankcji na ropę naftową z Rosji, to według szacunków Międzynarodowej Agencji Energii (MAE) przychody Rosji ze sprzedaży ropy naftowej tylko w marcu wyniosły 19,04 mld dol. (to prawie dwa razy więcej niż w lutym i o 4,76 mld dol. więcej niż w marcu 2025 r.). Rosjanie pochwalili się też, że znaleźli „kilku" nowych klientów na myśliwce Su-57 (pośrednio też dzięki USA).

Nowego pomysłu na przyszłość w regionie szukają też państwa arabskie. W przypadku krajów Zatoki Perskiej niedawna wojna doprowadziła bowiem nie tylko do utraty dochodów z niesprzedanych surowców energetycznych i konieczności przeprowadzenia kosztownych napraw infrastruktury. Obecny konflikt mocno uderzył również w dotychczasowy model biznesowy krajów takich jak ZEA czy Katar, które dużo zainwestowały w to, aby zbudować wizerunek „bezpiecznych przystani" w burzliwym regionie Bliskiego Wschodu i rozwinąć takie filary swych gospodarek jak logistyka, turystyka, finanse czy nowoczesne technologie.

WALKA O ROPĘ

Biały Dom słusznie widzi surowce energetyczne jako kluczowe w walce z rosnącym gospodarczym potencjałem Pekinu. Prezydent USA, który wielokrotnie przyznawał, że decyzje podejmuje, kierując się swoją moralnością i intuicją, w kwestii napaści na Iran i wprowadzenia blokady cieśniny Ormuz miał raczej złe przeczucie. I chociaż zwolennicy Donalda Trumpa przekonują, że jego groźna retoryka i nagłe wycofywanie się z zapowiedzi rekordowo wysokich ceł czy zapowiedzi miażdżącej akcji zbrojnej, to taktyka, której celem jest „strategiczna nieprzewidywalność", coraz więcej europejskich polityków woli trzymać się możliwie jak najdalej od „radioaktywnego" Donalda Trumpa. Ostatnie wydarzenia – wyniki wyborów na Węgrzech czy słowna napaść na papieża Leona XIV czy premier Włoch Giorgię Meloni – pokazują bowiem, że to, czego dotkną się Trump i jego wiceprezydent Vance, jest skazane na porażkę…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33

Kamienna twarz zwycięzcy



Maciej Szymanowski

Zapowiedź tego, że w jedną ze swoich pierwszych podróży zagranicznych lider partii TISZA Péter Magyar uda się do Warszawy, została odebrana przez sąsiadów Węgier z mieszanymi uczuciami. Polska ze swoją mało entuzjastyczną polityką – dyplomatycznie rzecz ujmując – wobec formatów środkowoeuropejskiej współpracy jest postrzegana jako kraj, który przestał być solidarny z innymi państwami regionu

Decyzją wyborców, po raz pierwszy od 1989 r., Węgry powróciły do rządów jednej partii. W miejsce koalicji prawicowego Fideszu oraz Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Ludowej (KDNP), które rządziły nad Dunajem przez ostatnie 16 lat, władzę przejęła formacja, o której całkiem do niedawna mało kto słyszał. Także na Węgrzech. Ugrupowanie TISZA – bo o nie chodzi – zostało zarejestrowane w 2020 r. w urokliwym, choć niewielkim mieście Eger przez Attilę Szabó, który zresztą do dzisiaj pozostaje jej honorowym prezesem – jak przynajmniej podaje angielskojęzyczna wersja Wikipedii. Szabó był wiceprezesem Państwowej Agencji Zarządzania i Reprywatyzacji (ÁPV) w latach 2004–2009, w dwóch lewicowych rządach. Jednak największy rozgłos przyniosły mu prywatne biznesowe przedsięwzięcia realizowane przez jego firmy (Ahead Africa i inne), z byłymi oficerami komunistycznego wywiadu SZT, jak płk Zoltán Szedlacskó.

Funkcję prezesa partii TISZA od ponad roku pełni Péter Magyar. Urodzony w Budapeszcie, wysportowany, wysoki 45-latek. Człowiek, który za kilka, kilkanaście dni ze wszelkim prawdopodobieństwem stanie się szefem rządu, choć nigdy wcześniej nie pełnił żadnej kierowniczej funkcji. W chwili, kiedy powstaje ten tekst, nie są znane również nazwiska osób, które pojawią się w gabinecie Magyara. Poza jednym: Anity Orbán (zbieżność nazwisk z obecnym premierem Węgier jest przypadkowa), która w lutym br. została zaprezentowana premierowi Donaldowi Tuskowi jako przyszła minister spraw zagranicznych. Aby następnie zostać objęta wielotygodniowym zakazem publicznego wypowiadania się. Do dzisiaj z niejasnych zresztą powodów.

„POŻARCIE" NIEMAL CAŁEJ OPOZYCJI

Fakt ten jest jednak godny odnotowania dlatego, że dobrze charakteryzuje osobowość Pétera Magyara. Bez wątpienia medialnego, a dziś również wielkiego politycznego fenomenu, którego główna słabość nazywa się Péter Magyar. Wielokroć zdążył w ostatnich miesiącach udowodnić, że potrafi rozstawać się ze swoimi najbliższymi współpracownikami równie szybko, co Donald Trump i Elon Musk razem wzięci. Z drugiej strony udała mu się we współczesnych demokracjach rzecz w zasadzie niewykonalna. Wygrać kampanię wyborczą, ani razu nie uśmiechając się do ludzi czy kamery… Przede wszystkim jednak, poza skrajną prawicą – Naszą Ojczyzną (Mi Hazánk) – dosłownie „pożarł" całą antyorbanowską opozycję, skutecznie narzucając zarazem ton, jak i najważniejsze wyborcze tematy (rosnące koszty życia, kryzys w służbie zdrowia etc.). Skutecznie poprowadził negatywną kampanię. Rząd odpowiedział na nią własną negatywną kampanią – jak się okazało, na swoją zgubę.

Oczywiście ciężkie problemy w służbie zdrowia czy niskie – niższe niż w Polsce – pensje w sferze publicznej na Węgrzech nie są wymysłem partii TISZA. Podobnie jak fakt, że faktycznie sąsiedzi Węgier, na co Péter Magyar kładł w kampanii wielki nacisk, zwyczajowo postrzegani nad Dunajem jako wstydliwi kuzyni, jak Chorwaci, Rumuni czy Słowacy, po 1989 r.

eprasa.pl 8823c38a33



Péterowi Magyarowi udała się rzecz we współczesnych demokracjach w zasadzie niewykonalna. Wygrał kampanię wyborczą, ani razu nie uśmiechając się do ludzi czy do kamery

FOT. BALINT SZENTGALLAY/NURPHOTO/GETTY IMAGES

bogacili się szybciej niż Węgrzy. Z drugiej strony, jak to chce zmienić przyszły premier Węgier, nie wiemy. Zaproponowany w kampanii pomysł ogólnego obniżenia podatków byłby chyba dobrym rozwiązaniem, tylko chwilowo nawet nie wiadomo, czy jeszcze jest aktualny. W każdym razie słynne kalkulatory na oficjalnych stronach partii TISZA, które od początku roku każdemu zatrudnionemu czy emerytowi w sekundę umożliwiały otrzymanie informacji, jak bardzo wzrosną ich miesięczne dochody w przypadku wyborczego zwycięstwa tej formacji (niemało, przy średnich dochodach, w przeliczeniu nawet o tysiąc złotych), 48 godzin po zamknięciu lokali wyborczych są w zasadzie już nie do odnalezienia na wspomnianym portalu.

Co nie oznacza, że to kwestie finansowe okazały się rozstrzygające w wyborach. Ważne okazało się ogólne społeczne zmęczenie wieloletnimi rządami Viktora Orbána oraz „głodzenie Węgier", jak to przed laty sformułowała Katarina Barley z Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego. Nastąpiło zablokowanie wypłat dla Węgier z programu KPO (Next Generation), Safe, a okresowo także z funduszy strukturalnych (w sumie 35 mld euro). Ponadto medialna kampania dotycząca nieuchronnego wykluczenia Węgier z UE w przypadku kolejnego zwycięstwa Orbána (np. w Politico), a także strach przed brakiem benzyny i paliw w ogóle z uwagi na brak dostaw z ropociągu Przyjaźń bez wątpienia odegrały pewną rolę. Podobnie jak jakieś znaczenie miały przekazy medialne dotyczące zebr czy żyraf na domniemanym ranczu Viktora Orbána. Choć w rzeczywistości to posiadłość jego ojca, kupiona na spółkę z dwiema innymi jeszcze osobami i na spłacany przez lata kredyt.

ZWROT ANTYAMERYKAŃSKI I ANTYIZRAELSKI

Wracając do bardziej poważnych tematów… Wygrana partii TISZA, poglądy wyrażane przez Pétera Magyara oraz osób tworzących jego bezpośrednie zaplecze polityczne oznaczają, że ważne państwo wschodniej flanki NATO, jedno z nielicznych, które od 2022 r. faktycznie wydaje (a nie zapisuje jedynie w budżecie) przynajmniej 2 proc. PKB rocznie na zbrojenia, przechodzi na pozycje antyamerykańskie. Także dotychczasowa proizraelska polityka Budapesztu odchodzi do przeszłości. Być może na węgierskich stadionach i innych obiektach sportowych narodowe reprezentacje Izraela dalej będę uczestniczyć w rozmaitych rozgrywkach międzynarodowych, ale zapowiedziane przystąpienie przez Węgry do Międzynarodowego Trybunału Karnego (ICC) czy do tzw. Prokuratury Europejskiej (EPPO) będzie oznaczało, że ani premier Beniamin Netanjahu, ani (były) minister obrony Joaw Galant w Budapeszcie już się nie pojawią.

Choć nie jest zgodne z prawdą, że przez swoją antyimigracyjną politykę Viktor Orbán najpierw obalił Angelę Merkel, a następnie uniemożliwił Manfredowi Weberowi objęcie funkcji przewodniczącego Komisji Europejskiej – a tak to wielu czołowych niemieckich polityków postrzega – to nowy węgierski rząd bez wątpienia będzie mógł sobie na znacznie więcej w UE pozwolić. Pod warunkiem jednak, że zgodzi się na pakt migracyjny.

eprasa.pl 8823c38a33

Bez tego odblokowanie wypłat z funduszy strukturalnych, KPO, Safe, a także naliczanie 1 mln euro kary dziennej za restrykcyjną politykę migracyjną, powrót do programu Erasmus dla studentów nie wchodzą raczej w grę. Tak przynajmniej twierdzi wielu niemieckich polityków. Tych z Berlina. I tych z Brukseli.

Reakcja na wynik wyborów tych sąsiadów Węgier, gdzie zamieszkuje stosunkowo liczna mniejszość węgierska – jak Rumuni czy Słowacy – jest chłodna. Być może to się zmieni, ale różne krytyczne wypowiedzi Magyara z kampanii, krytykujące zbyt „miękką" politykę premiera Orbána wobec Bukaresztu czy Bratysławy, ewidentnie mocno odcisnęły się w pamięci. Zapowiedź udania się w jedną z pierwszych podróży zagranicznych do Warszawy też zrobiła tutaj swoje. Została odebrana przez sąsiadów Węgier z mieszanymi uczuciami. Warszawa, ze swoją mało entuzjastyczną polityką – dyplomatycznie rzecz ujmując, wobec Grupy Wyszehradzkiej, Trójmorza, i innych formatów środkowoeuropejskiej współpracy typu Bukareszteńska Dziewiątka – jest postrzegana jako kraj, który przestał być solidarny z innymi państwami regionu.

Na partię TISZA padło w wyborach parlamentarnych 3,1 mln głosów, co zgodnie z większościowo-proporcjonalną ordynacją zapewniło ugrupowaniu konstytucyjną większość ponad dwóch trzecich w parlamencie – dokładnie 136 mandatów. Koalicja Fidesz-KDNP zdobyła 2,3 mln głosów (79 mandatów), partia Nasza Ojczyzna 0,35 mln (sześć mandatów). W zasadzie można więc powiedzieć, że Węgrzy nie aż tak bardzo sporą większością (52 proc.) opowiedzieli się za zmianą rządu. Pomimo tego w oparciu o odniesiony sukces wyborczy, którego nikt nie podważa, włącznie z odchodzącym premierem, który natychmiast uznał wyniki wyborów, Péter Magyar zdążył zażądać już bardzo wielu dymisji: od prezydenta państwa, przez prezesów najważniejszych sądów, po redaktorów naczelnych tych mediów, które pozostają krytyczne wobec przyszłego premiera Węgier.

Publiczne domaganie się przez Pétera Magyara od 70-letniego prezydenta, wcześniej długoletniego prezesa Trybunału Konstytucyjnego Tamása Sulyoka, natychmiastowego podania się do dymisji (po formalnym powierzeniu obowiązków stworzenia nowego rządu) wydaje się na pozór tylko obcesowe. Przede wszystkim jednak to gotowy przepis na ciężki kryzys konstytucyjny. A kraj pogrążony w chaosie wewnętrznym łatwo może okazać się mało wiarygodny dla międzynarodowego świata finansów. To zaś na dużych pożyczkach chce przecież oprzeć swoją politykę – i popularność – w najbliższych latach przyszły premier Węgier. Do czego ma sporą przestrzeń dzięki zrównoważonej polityce makroekonomicznej premiera Viktora Orbána. I oczywiście ogólnemu przyzwoleniu na zadłużanie się państw UE. Kryteria z Maastricht to pieśń przeszłości.

Publiczne domaganie się przez Pétera Magyara od Tamása Sulyoka, 70-letniego prezydenta Węgier, natychmiastowego podania się do dymisji to gotowy przepis na ciężki kryzys konstytucyjny

W kontekście wyborów na Węgrzech warto zwrócić uwagę jeszcze na dwie kwestie. Viktor Orbán był jedynym szefem rządu unijnego państwa, który w sposób otwarty wspierał Donalda Trumpa. Nawet w czasie, gdy wspomniany został poddany kryminalizacji – kiedy stawiano mu dziesiątki zarzutów, objętych łączną karą liczoną w dziesiątkach lat. Orbán oraz jego najbliżsi współpracownicy spotykali się z Trumpem praktycznie co miesiąc. Ten nie przyleciał na Węgry, a wysłany w jego zastępstwie „za pięć dwunasta" wiceprezydent J.D. Vance, mówiąc delikatnie, nie był do tej podróży najlepiej przygotowany. Chętnie złożył swój podpis pod dokumentem dotyczącym zakupów amerykańskiej broni czy 10 reaktorów jądrowych SMR, nic jednak konkretnego nie obiecując w zamian. Tym samym wielu Węgrom przypomniał się rok 1956: miłe słowa płynące z fal amerykańskiego Radia Wolna Europa, po których chwycili za broń, aby ponieść następnie druzgocącą porażkę. Żadne niebieskie berety pokojowych sił ONZ, jak wiemy, nie przybyły wówczas z odsieczą, gdy wojska sowieckie pacyfikowały Budapeszt. Post scriptum tej sytuacji jest jeszcze chyba ciekawsze. W ustach prezydenta USA już we wtorek 14 kwietnia Péter Magyar stał się „good man".

KTO NAGRAŁ ROZMOWY Z PUTINEM I ŁAWROWEM?

Kampania wyborcza na Węgrzech była niezwykle ciekawa jeszcze z innego powodu. Najpierw pojawiły się pewne informacje z – nawiasem mówiąc, dość burzliwego – życia prywatnego Pétera Magyara z czasów już po rozwodzie z Judit Vargą, byłą minister sprawiedliwości. Na specjalnie uruchomionej z tego powodu, do dzisiaj nie wiadomo przez kogo, stronie internetowej pojawiło się nawet zdjęcie łóżka. Z zapowiedzią: już wkrótce…

To „wkrótce" nigdy nie nastąpiło. Za to zaczęły pojawiać się stenogramy rozmów telefonicznych, prowadzonych z ministrem spraw zagranicznych Siergiejem Ławrowem czy prezydentem Władimirem Putinem przez węgierskich polityków, w tym z samym premierem Orbánem. Były one dość szeroko komentowane w polskich mediach, więc nie ma większego sensu tutaj o tym pisać. Natomiast założenie, że ujawnienie treści tych rozmów jest wynikiem jakiegoś dziennikarskiego śledztwa – przez chętnie cytowanego także w Polsce Szabolcsa Panyi, współpracownika dość niszowych portali – nie wydaje się zbyt przekonujące. Oficjalnie węgierski rząd wskazał jako autora przecieków ze wspomnianych rozmów wywiad „państwa członkowskiego UE" bez sprecyzowania jednak, o który kraj dokładnie chodzi. Niewykluczone, że jest to prawda. Nasuwa się jednak także inna wersja. Trochę dziwne zresztą, że na samych Węgrzech kompletnie dotąd – czysto teoretycznie nawet – nierozważana.

Z uwagi chociażby na to, że nagrania były poczynione w odstępie wielu lat, a telefony były wykonywane z różnych krajów do (rosyjskich) polityków, również przebywających w różnych państwach, być może za ujawnionymi w kampanii nagraniami wcale nie musiał stać inny niż po prostu rodzimy wywiad „państwa członkowskiego UE". Ciekawe, czy i co interesującego na ten temat dowiemy się od ministra spraw wewnętrznych nowego węgierskiego rządu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego.

eprasa.pl 8823c38a33

Nowe rozdanie
ANALIZA
DO RZECZY
nad Dunajem

Świat po Viktorze Orbánie



Adam Wielomski

Największym problemem Pétera Magyara będzie przejście z negacji rządów Fideszu do programu pozytywnego. Zapewne każdy antyorbanowski człon elektoratu oczekuje odeń zupełnie odmiennej polityki, a przy jego impulsywności i braku umiaru może dojść do dramatycznych konfliktów w nowym rządzie i jego zapleczu parlamentarnym

Gdy piszę te słowa (w poniedziałek 13 kwietnia), jest już rzeczą pewną, że wybory parlamentarne na Węgrzech wygrała opozycyjna TISZA Pétera Magyara, odsuwając po 16 latach od władzy Viktora Orbána i kierowany przezeń Fidesz. Prawdopodobnie TISZA będzie miała większość konstytucyjną. Stąd pojawia się naturalne pytanie: Co świat stracił wraz z odchodzącym węgierskim premierem, a co go czeka? Używając tutaj formuły „świat", mam na myśli dwa znaczenia: Węgrów i dotyczącej także Polski polityki zagranicznej.

CO PRZYNIOSĄ TISZA I PÉTER MAGYAR?

Przyszły premier ma 45 lat i w sumie niewiele o nim konkretnego wiadomo. W 2010 r. wstąpił do Fideszu, do którego zapewne wciągnęła go żona Judit Varga, która robiła karierę polityczną, pełniąc funkcję ministra sprawiedliwości (2019–2023). Magyar znalazł posadę w biurze premiera, gdzie kierował działem do spraw kontaktów z Parlamentem Europejskim. Zapewne ułatwiło mu to nawiązanie zagranicznych kontaktów, szczególnie w Strasburgu i w Komisji Europejskiej. Małżeństwo z Vargą nie było udane i zakończyło się rozwodem (2023), choć przez siedem lat jego trwania uchodziło za wzorcowe i katolickie. Ze wspomnień ekszony i różnych dostępnych informacji wynika – acz trudno jest mi ocenić ich prawdziwość – że Magyar jest człowiekiem impulsywnym i przemocowym. Miał bić swoją żonę i poniżać ją. Z informacji udzielanych przez byłą żonę, potwierdzonych puszczonym w czasie kampanii wyborczej nagraniem wideo, wynika, że przyszły premier miał też to samo hobby co starotestamentowy Onan.

Po rozwodzie z żoną przeszedł do opozycji, zdobywając popularność jako wideobloger, który ujawnił skandal z ułaskawieniem przez prezydent Katalin Novák skazanego pedofila. Doprowadziło to do dymisji pani prezydent i rezygnacji z polityki jego byłej żony. Podejrzewam, że działalność polityczna Magyara łączy się z porachunkami ze swoją ekszoną, a w rozumieniu katolickim – nadal żoną sakramentalną. Szukając informacji o przyszłym premierze, widzę osobę impulsywną, mściwą i skłonną do przemocy, a więc trudną do współpracy nawet dla bliskiego otoczenia.

Jeśli chodzi o poglądy polityczne Pétera Magyara, to znamy tylko jego hasła i zapowiedzi. Polityk ten nigdy nie sprawował władzy. Jego TISZA próbowała się początkowo deklarować jako „aideologiczna" i pozbawiona światopoglądu, za cały program mając tylko odsunięcie oskarżanego o korupcję i nepotyzm Orbána. Pewne deklaracje nastąpiły dopiero po wyborach do Parlamentu Europejskiego (2024), gdy jej siedmiu europosłów – w tym Magyar – dołączyło do Europejskiej Partii Ludowej, zdominowanej przez niemiecką CDU. W skład tej grupy wchodzą także deputowani z KO Donalda Tuska. Idee partii są skrajnie ogólnikowe: walka z korupcją rządów Fideszu, naśladowanie liberalnych wzorów zachodnich; wsparcie dla przedsiębiorców. Bardziej konkretne są zapowiedzi likwidacji węgierskich wet w kwestiach unijnych; utrzymanie dotychczasowej restrykcyjnej polityki migracyjnej i zakończenie bliskiej współpracy z Rosją na rzecz zbliżenia z Ukrainą. Równocześnie Magyar deklaruje konieczność podtrzymania kontaktów ekonomicznych z Moskwą z powodu zależności od dostaw ropy i gazu. Prawdę mówiąc, program ten jest ogólnikowy i mgławicowy, a fakt, że Magyar nigdy nie sprawował władzy, powoduje, że nie możemy sprawdzić ani poziomu jego wiarygodności, ani zobaczyć, jakie idee realizował. Prawdę mówiąc, to cała TISZA i postać Magyara do złudzenia przypominają mi Trzecią Drogę Szymona Hołowni. Głos na TISZ-ę był głosem przeciwko Fideszowi, a nie za programem pozytywnym.

Jedyne, co wydaje się pewne, to fakt, że Péter Magyar jest dogadany z globalistycznymi elitami. Swojej radości ze zwycięstwa TISZ-y nie kryli w swoich wpisach w mediach społecznościowych europejscy zwolennicy federalizacji UE: Ursula von der Leyen, kanclerz Friedrich Merz i Donald Tusk. Spośród Amerykanów z wielkimi gratulacjami pośpieszyli Hillary Clinton, Barack Obama i Alex Soros – syn George'a Sorosa z Open Society. Słowem, sama śmietanka kosmopolitycznej elity światowej. Wszystkie te wpisy cechowała wielka emocjonalność. Nie były to wpisy grzecznościowe. Wynikało z nich jednoznacznie, że na Węgrzech będzie teraz rządzić „nasz człowiek". Do tego globalistycznego chórku w Polsce dołączyli Sławomir Cenckiewicz i (w mniej ostentacyjny sposób) Robert Winnicki, co jest skutkiem monokauzalnego definiowania polskiej polityki zagranicznej jako antyrosyjskości. Fakt, że Magyar już zadeklarował, iż z pierwszą oficjalną wizytą zagraniczną poleci do

eprasa.pl 8823c38a33



Warszawy, aby spotkać się z Tuskiem, też jest znaczący. Widzę tutaj powtórkę operacji „Hołownia", gdy pod hasłami „aideologicznego centryzmu" wybrano ludzi o turboglobalistycznych poglądach. Tylko że u nas dostali kilka procent, a na Węgrzech większość konstytucyjną. Jak mawiają Rosjanie, „strach się bać"!

Prounijna polityka nowego rządu nie budzi wątpliwości, a to jest kwestia, która mnie – jako Polaka – interesuje najbardziej. Budapeszt nie będzie już ostatnią redutą blokującą idee federalizacji UE, fanatyzm klimatyczny, politykę otwartych drzwi wobec masowej imigracji czy też wysyłania kolejnych miliardów na pomoc Ukrainie, rozkradanych przez oligarchów i administrację Wołodymyra Zełenskiego. Dla Polski jest to klęska i pozostaje nadzieja, że blokującą rolę Węgier przejmie tandem Czechy i Słowacja. Na rząd KO nie można tutaj liczyć, zresztą na rządy PiS tak samo.

CO STRACILIŚMY?

W odróżnieniu od nowego premiera Węgier po 16 latach rządów polityka Viktora Orbána jest dobrze znana. Ma ona dwa oblicza: wewnętrzne i zewnętrzne. W Polsce wszyscy znamy go jako wielkiego męża stanu, autentycznego budapeszteńskiego Richelieu czy Metternicha, który po mistrzowsku prowadzi politykę wielowektorową, grając równocześnie na wszystkich dostępnych fortepianach: Donald Trump, Rosja Władimira Putina, Chiny Xi Jinpinga, Turcja, Słowacja Roberta Ficy, niemiecka CSU, izraelski Likud, PiS, Marine Le Pen etc. Wpływ małych Węgier na politykę światową był przez ostatnie 16 lat znacznie większy niż czterokrotnie większej Polski, prowadzącej jednostronną politykę wiszenia u klamki Berlina lub Waszyngtonu (zależnie od ekipy rządzącej).

Niestety, jest jednak i druga twarz rządów Fideszu, której polscy komentatorzy nie dostrzegają, a o czym mówią głośno mieszkający lub pracujący na Węgrzech Polacy. Zgodnie twierdzą, że w kraju panuje gospodarczy marazm i jest on jakieś 15 lat za Polską, jeśli chodzi o poziom życia. W ciągu ostatnich 16 lat PKB Węgier wzrosło o ok. 40–45 proc., Słowacji o 45–50 proc., Rumunii o 55–60 proc., podczas gdy Polski o 70–75 proc. Wiązało się to z niechęcią kapitału zachodniego do inwestowania w kraju ze względu na ciągłe turbulencje w stosunkach z UE i nadmiernie etatystyczną politykę rządu (stąd oskarżenia TISZ-y o panoszącą się korupcję). Orbánowi dopiero ostatnio udało się pozyskać gigantyczne inwestycje chińskie, o czym pisałem w moim ostatnim tekście na łamach „Do Rzeczy" („Lewar made in China", nr 16/2026), lecz fabryki chińskich samochodów elektrycznych i baterii do nich, mające produkować auta na całą Europę, dopiero powstają i ogół społeczeństwa jeszcze nie odczuł wynikających z nich korzyści. Magyar spije polityczną śmietankę z tej polityki prochińskiej ustępującego premiera. Niestety, wyborców w zdecydowanej większości nie interesują sukcesy w polityce światowej, gdzie Orbán okazał się wirtuozem, lecz stan własnego konta bankowego, a tutaj wyniki były dość mizerne. Prowadzona polityka ekonomiczna była błędna oraz nieskuteczna i trzeba to sobie otwarcie powiedzieć.

Z punktu widzenia obserwatora z Polski kluczowa jest polityka cywilizacyjna i zagraniczna Viktora Orbána – polityka, której nie odważył się deklarować i prowadzić żaden z polskich rządów po 1989 r., włącznie z gabinetami PiS. Spór z Unią Europejską związany jest z oryginalną koncepcją państwa, którą w 2014 r. Orbán określił w swoim programowym przemówieniu w Tusnádfürdő mianem „demokracji nieliberalnej" (węg. illiberális demokrácia). To koncepcja państwa narodowego i uznającego za swój fundament chrześcijańską tradycję. Jest to państwo aktywne ekonomicznie tam, gdzie wymaga tego interes narodowy, szczególnie w dziedzinie własności mediów i bankowości. „Demokracja nieliberalna" chroni swoje interesy przed NGO-sami finansowanymi z zagranicy (George Soros!) i ingerencją Komisji Europejskiej.

Główne idee rządów Fideszu znajdziemy w exposé Viktora Orbána z 2022 r., gdy deklarował gotowość do starcia z Komisją Europejską, gdyż ta próbuje siłą i szantażem narzucić Węgrom obce im wartości, zaczynając od wielokulturowości, a kończąc na nielimitowanej naturze wielopłciowości. Dlatego Orbán grzmiał: „Nie zrezygnujemy z ochrony granic, nie zburzymy płotów granicznych i nie wpuścimy imigrantów. Będziemy chronić nasze rodziny, nie wpuścimy aktywistów genderowych do naszych szkół. U nas ojcem jest mężczyzna, a matka jest

eprasa.pl 8823c38a33



Radość Pétera Magyara (z flagą) po wygranych wyborach na Węgrzech
FOT. BENJAMIN FURST / HANS LUCAS AGENCY / FORUM

kobietą, a nasze dzieci zostaną tym, kim są. Stoimy na straży pokoju i bezpieczeństwa Węgier".

W dalszej części wystąpienia węgierski mąż stanu sprzeciwił się unijnemu projektowi powołania „nowego europejskiego imperium, czyli Stanów Zjednoczonych Europy", kosztem suwerenności państw członkowskich. Jest to nie tylko fundamentalna sprawa niepodległości, lecz także przepaści cywilizacyjnej między państwami starej i nowej UE: „O ile Węgry wierzą w chrześcijańskie fundamenty cywilizacyjne Europy, o tyle państwa narodowe w Brukseli już z nich zrezygnowały". Węgry, podkreślił, liczą na „błogosławieństwo Boże", czyli na moc, w której istnienie nie wierzy „liberalny, globalistyczny mainstream". W swoim wystąpieniu programowym szef węgierskiego MSZ Péter Szijjártó rzekł: „Unia Europejska może być silna, jeśli jej państwa członkowskie są również silne. A naród może być silny, jeśli przestrzega swoich tradycji, wartości narodowych, kulturowych, religijnych i historycznych [...]. Jest to pogląd, którego międzynarodowy liberalny mainstream, który jest również reprezentowany przez Brukselę lub którego Bruksela jest jednym z centrów, po prostu nie może zaakceptować, nie może tego znieść, stąd znaczna część kontrowersji [...]. W Brukseli demokracja definiowana jest w ten sposób, że demokracje są wtedy, gdy rządzą liberałowie". Na koniec przytoczę jeszcze słowa ekszony Magyara, znanej nam już ówczesnej minister sprawiedliwości Judit Vargi, która w wystąpieniu przed parlamentem stwierdziła, że „wraz z przystąpieniem do Unii Węgry nie zrzekły się suwerenności, a jedynie pozwoliły na wspólne wykonywanie pewnych uprawnień" (wszystkie cytaty ze strony Fidesz, fidesz.hu).

Sprzeciw kolejnych rządów Fideszu wobec Unii Europejskiej miał kilka przyczyn. Pierwszą była obrona państwa narodowego. Partia ta zawsze bliska była idei narodu pojętego mniej obywatelsko, a bardziej etnicznie, co owocowało masowym nadawaniem obywatelstwa Węgrom mieszkającym za granicą. W wyniku traktatu z Trianon (1920) ponad jedna trzecia tego narodu znalazła się poza granicami kraju. Z tego punktu widzenia kosmopolityzm i globalizm UE musiały budzić u węgierskich polityków niezrozumienie przechodzące w przerażenie.

Po drugie, Fidesz w zasadzie jest partią chadecką, acz o dość silnym charakterze narodowym. Z powodu rozbicia religijnego Węgrów na katolików (część zachodnia) i kalwinów (część wschodnia) osobiście będący głęboko wierzącym kalwinem Orbán zawsze podkreślał znaczenie chrześcijaństwa i chrześcijańskiego światopoglądu (mamy tutaj ekumenizm wyjątkowo zaaplikowany w bardzo pozytywnym pojęciu tego słowa). Wynikają z tej wiary wartości, takie jak rodzina, istnienie dwóch płci, sprzeciw wobec agendy LGBT, wokeizmu i postmodernizmu, a także sprzeciw wobec napływu imigrantów o odmiennej religii i kulturze.

Największym problemem wydaje się dla nowej władzy utrzymanie poparcia społecznego, gdyż reprezentuje ona elektorat negatywny, bardzo heterogeniczny

Po trzecie, o czym już pisałem we wspomnianym artykule „Lewar made in China", Węgry nie mogły zgodzić się na wspólną politykę zagraniczną UE, gdyż ta byłaby konfrontacyjna wobec Chin, które do Budapesztu dociągają swój Nowy Jedwabny Szlak, przekształcając Węgry w gigantyczny hub handlowy, któremu towarzyszą wielkie inwestycje w samochody elektryczne. Projekt federalizacji UE oznacza zagładę suwerennego państwa i jego rozmycie w federalnej strukturze, zagładę chrześcijańskiego światopoglądu i zatrzymanie chińskich inwestycji. Orbán całkowicie słusznie i poprawnie uznał, że federalizacja UE to grób węgierskiego narodu i suwerennego państwa. Broniąc Unii Europejskiej jako konfederacji państw i organizacji pomiędzy państwami, węgierski mąż stanu przy okazji bronił także polskiego państwa narodowego. Trudno nie odnieść nawet wrażenia, że czynił to z większą werwą niż płochliwe i oportunistyczne kolejne rządy w Polsce.

CO DALEJ?

Co dalej? Nie wiem. Mogę tylko przypuszczać, że największym problemem Pétera Magyara będzie przejście z negacji rządów Fideszu do programu pozytywnego. Zapewne każdy antyorbanowski człon elektoratu oczekuje odeń zupełnie odmiennej polityki, a przy jego impulsywności i braku umiaru może dojść do dramatycznych konfliktów w nowym rządzie i jego zapleczu parlamentarnym. Zapewne nowy rząd będzie teraz chciał nasłać na poprzednią ekipę całe stado prokuratorów, lecz po 16 latach ci raczej nie będą chcieli posłać starej ekipy za kratki. Nie mam wątpliwości, że Komisja Europejska będzie teraz sypać pieniędzmi, aby nakręcić gospodarkę i budować społeczne zadowolenie z nowej władzy. Przy 10 mln mieszkańców nie wymaga to wielkich kwot. Największym problemem wydaje się dla nowej władzy utrzymanie poparcia społecznego, gdyż reprezentuje ona elektorat negatywny, bardzo heterogeniczny. Osobiście podejrzewam, że skończy się to podobnym fiaskiem, co projekt Hołowni w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33

Strategiczny opór Orbána

Nowe rozdanie ANALIZA DO RZECZY nad Dunajem



Łukasz Warzecha

Zmagania między Węgrami a Komisją Europejską o kolejne pakiety sankcyjne wobec Rosji były modelowym przykładem brutalnego nacisku na mniejsze państwo członkowskie, aby złamać jego opór w kwestii żywotnej dla jego interesu narodowego

Węgierskie wybory obserwowano w Polsce z takim napięciem, jakby miał od nich zależeć skład polskiego Sejmu. Miało to swoje wizerunkowe uzasadnienie – Viktor Orbán był postacią symboliczną dla światowej, a także polskiej polityki. Polaryzował ją bardzo skutecznie, tak jak Donald Trump. Był to jeden z jego największych sukcesów: premier państwa obiektywnie przecież znacznie mniej znaczącego niż Polska umiał grać grubo ponad własne możliwości i sprawił, że był uznawany w Europie za figurę nie mniej znaczącą, a nawet bardziej, niż najważniejsi polscy politycy. Działo się tak m.in. dlatego, że w przeciwieństwie do głównego polskiego politycznego nurtu Orbán rozgrywał szachy na kilku planszach, balansując między Waszyngtonem, Pekinem i Moskwą.

W Polsce wyodrębniły się trzy grupy pod względem ich stosunku do Viktora Orbána: standardowi przeciwnicy, wywodzący się z lewicy i liberalnego centrum; przeciwnicy z prawej strony, ogarnięci antyrosyjską obsesją; wreszcie obrońcy pragmatyzmu Orbána i jego trzeźwego podejścia do strategii Unii Europejskiej, kojarzeni z prawicą suwerennościową.

Przegrana Fideszu wywołała w naszym kraju reakcje do jakiegoś stopnia przewidywalne, ale ujawniła też zadziwiający pozornie sojusz różnych stron. Jasne było z góry, co powiedzą politycy i komentatorzy związani z obozem władzy. Tam prostacka narracja o Orbánie jako „przyjacielu Putina" była stałym punktem programu. Zresztą wystąpienie Donalda Tuska podczas Rady Krajowej Koalicji Obywatelskiej pokazało, że najważniejszym pomysłem na kampanię wyborczą na rok 2027 jest na razie wyzywanie przeciwników politycznych od przyjaciół Moskwy.

KRYTERIA KREOWANIA POLITYKI ZAGRANICZNEJ

Jak się jednak okazuje, Orbán miał całkiem wielu wrogów po umownie i szeroko rozumianej prawej stronie. Robert Winnicki, kiedyś w Ruchu Narodowym, dzisiaj publicysta i komentator, napisał na X tak: „Oceniam go [Orbána] jako szkodnika z punktu widzenia polskich interesów, który poszedł na totalny kurs kolizyjny z naszymi (ale i poniekąd węgierskimi, biorąc pod uwagę poziom energetycznej zależności Budapesztu od jednego kierunku – Moskwy), z państwa polskiego interesami, mając przy tym gębę pełną bałamutnych frazesów o szable i szklance. Orbán realizował wizję niemiecko-rosyjskiej Europy Środkowej i łudził się, że coś mu z tego skapnie. Zero sentymentu, tylko polska racja stanu, z którą od lat Orbán jest w ostrym zwarciu". Jakiś czas później opublikował też dłuższy wpis, w którym pominął jeden, ale kluczowy dla oceny premiera Węgier element: jego nastawienie wobec zasadniczych elementów kursu Unii Europejskiej.

Przegraną Orbána zachwycona była również Agnieszka Romaszewska, była szefowa Biełsatu, reprezentująca frakcję najzagorzalszych ukrainofilów. Ci po lutym 2022 r. wspierali gorąco PiS w zrywaniu wszelkich kontaktów z Budapesztem, a obrazili się, kiedy partia Jarosława Kaczyńskiego koniunkturalnie wróciła do kontaktów z Fideszem po przegranych przez siebie wyborach, na fali narastającego antyukraińskiego resentymentu.

Największy rezonans wywołał jednak wpis Sławomira Cenckiewicza, szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Warto przyjrzeć mu się bliżej. Oto co napisał Cenckiewicz:

[Orbán] Był sojusznikiem Polski jedynie w rozgrywce z kosmopolitami i centralistami w UE oraz w kwestii migracji. To było ważne, ale za mało. Poza tym jedynie pogłębiał sprzeczności – inna percepcja zagrożeń rosyjskich, różnice w postrzeganiu sojuszu północnoatlantyckiego (o roli Węgrów we wspólnocie wywiadu powstaną kiedyś studia), zupełnie niezgodna z naszymi interesami polityka energetyczna (ostatnie wyczyny i wyprawa Mola na rynek serbski w konsultacji z Rosją), pogrzebanie idei Trójmorza…

Nagrania rozmów węgierskiego premiera i szefa MSZ z Putinem i Ławrowem ujawnione ostatnio (zdobyte być może przez jeden z wywiadów) są tego wszystkiego egzemplifikacją. Relatywizacja tego na polskiej prawicy antyrosyjskiej była błędem (delikatnie mówiąc). Może przynajmniej lustracja nastanie na Węgrzech i inna polityka archiwalna…

Generalnie węgierska lekcja powinna zostać przeanalizowana przez prawicę na różnych płaszczyznach – od kwestii rzeczywistej jakości tego „sojuszu" po problem zaangażowania zachodnich kosmopolitów i środków w zmianę na Węgrzech jako zapowiedzi tego, co będzie u nas w 2027 r., by utrzymać Tuska z Kosiniakiem i Czarzastym przy władzy. Rok 2023 był pod tym względem jedynie zabawą…

Ten wpis można bez wielkiej przesady uznać za szokujący, wziąwszy pod uwagę, że jego autorem jest człowiek mający znaczący wpływ na kurs ośrodka prezydenckiego i na to, jak głowa państwa rozumie i ocenia wagę poszczególnych elementów polskiej polityki zagranicznej.

Zacznijmy od określenia, które się niby mimochodem w tym wpisie pojawia: „an-

eprasa.pl 8823c38a33

tyrosyjska prawica". Skoro jest „prawica antyrosyjska", to wynikałoby z tego, że jest również „prawica nieantyrosyjska", a może nawet „prorosyjska". O ile można takie rozważania snuć w publicystyce, o tyle w przypadku szefa BBN można by oczekiwać przestrzegania podstawowej zasady w opisywaniu i definiowaniu racji stanu: pragmatyzmu. Bycie „antyrosyjskim" ma niewątpliwie sens dla Moskwy, bo pozwala jej wykorzystywać gotowce, dostarczane przez polskich polityków, w jej propagandzie pokazującej Polskę jako kraj ogarnięty antyrosyjską obsesją. Z całą pewnością natomiast antyrosyjskość nie powinna być uznawana za naczelną zasadę widzenia naszego interesu. To podejście szkodliwe, podobnie jak szkodliwe są aprioryczne antyniemieckość, antyukraińskość czy antyamerykanizm. Nie mamy powodów, aby Rosję kochać lub uważać za potencjalnego dobrego partnera. Jednak nie oznacza to, że uprzedzenia wobec niej mają być przez ważnych urzędników polskiego państwa uznawane za najważniejsze kryterium kreowania polityki zagranicznej.

Reszta wpisu Cenckiewicza jest jednak oparta na takim właśnie założeniu. Okazuje się bowiem, że sprawy kierunku ewolucji UE, w których Orbán mówił jednym głosem z polską suwerenistyczną prawicą, to za mało, aby można było uznać, że był dla niej ważnym sojusznikiem i jego odejście przynosi nam jakąś szkodę. Ważniejsze, definiujące i fundamentalne jest to, jaki miał stosunek do Rosji. To bardzo niepokojący sposób myślenia, zgodnie z którym w zasadzie każda kwestia wspólna blednie wobec jednego naczelnego kryterium: relacji z Moskwą. Takie rozumowanie prowadzi również chociażby do wezwań, aby zerwać stosunki z Chinami.

Trudno tymczasem sobie wyobrazić ważniejszą dzisiaj sprawę niż rozgrywka z centralistami w UE. Zadziwiające jest, że szef BBN oraz inni, podzielający jego opinię na temat odchodzącego węgierskiego premiera, nie widzą związku pomiędzy tą właśnie rozgrywką a naszym twardym bezpieczeństwem – w tym związanym z rosyjskim zagrożeniem.

UE jest w tej chwili w decydującym momencie. Nierozważne i chaotyczne działania Donalda Trumpa po rozpoczęciu wojny na Bliskim Wschodzie dają najsilniejszy jak dotąd impuls frakcji europejskich centralistów do forsowania najważniejszej dla nich sprawy, będącej zresztą na tapecie jeszcze od czasów Olafa Scholza: rezygnacji z weta w dziedzinach decydujących o suwerenności, czyli sprawach obronności i zagranicznych. Co znamienne, zaraz po ogłoszeniu przegranej Fideszu Ursula von der Leyen, szefowa Komisji Europejskiej, zaczęła nawoływać do jak najszybszego wprowadzenia procedury większościowej w tych dziedzinach, jako powód wprost wskazując odejście Orbána. Już samo to powinno mocno dać do myślenia tym, którzy – jak Robert Winnicki – twierdzą, że stanowisko Węgier właściwie nie miało w UE znaczenia. Co gorsza, pani von der Leyen uważa, że do procedury większościowej można przejść bez zmian traktatowych – i ma tu niestety rację. Jest to możliwe za sprawą tzw. klauzuli pomostowej, zapisanej w traktatach.

TELEFON OD PUTINA

Viktor Orbán był pragmatykiem i swój sprzeciw wobec niektórych unijnych propozycji wycofywał nieraz w momencie, gdy Bruksela udzielała Budapesztowi jakichś koncesji. Jednak wstrzymywane od kilku lat unijne fundusze dla Węgier stawiały tę strategię w nieco innym świetle: nie było tu już mowy o całkowitej elastyczności, a dyskryminacja Węgier przez KE miała charakter permanentny. Tym samym opór Orbána wobec części unijnej polityki również miał już charakter strategiczny, a nie taktyczny i tym samym był dla nas cenniejszy. Działo się dokładnie to samo, co w przypadku KPO za PiS: jedynym faktycznym warunkiem odblokowania pieniędzy była zmiana władzy. Jednak nawet teraz widać, że nie nastąpi to automatycznie. Komisja kieruje już wobec nowego rządu dezyderaty, dotyczące m.in. spraw światopoglądowych.

Przy tych zastrzeżeniach sprzeciw Orbána wobec europejskiego Zielonego Ładu wydawał się trwały. To zaś ma kluczowe znaczenie dla naszego bezpieczeństwa: Zielony Ład na różnych płaszczyznach uderza w naszą gospodarkę, niszczy małe i średnie firmy, przynoszące 50 proc. polskiego PKB, a to z kolei bezpośrednio przekłada się na nasze możliwości finansowania zbrojeń. Co więcej, sprzyja wciskaniu nam rozwiązań opartych na uzależnieniu finansowym i politycznym od UE, takich jak program SAFE. Mówiąc najprościej: współpraca z Viktorem Orbánem była elementem polskiej racji stanu jako przeciwdziałająca degradacji polskiego potencjału gospodarczego, kluczowego dla obronności. Dodać trzeba, że Orbán był również zdecydowanym przeciwnikiem rezygnacji z weta. Jeśli ktoś dzisiaj cieszy się z jego upadku, to powinien pamiętać, że właśnie zmagania między Węgrami a Komisją Europejską o kolejne pakiety sankcyjne wobec Rosji były modelowym przykładem brutalnego nacisku na mniejsze państwo członkowskie, aby złamać jego opór w kwestii żywotnej dla jego interesu narodowego. Nawet jeśli komuś nie podobały się bliskie relacje Orbána z Moskwą, to radość z jego usunięcia świadczy o krótkowzroczności.

Czy zresztą te relacje były dla nas problemem i czy to Orbán „pogrzebał ideę Trójmorza", od samego początku wątpliwą i opartą na urojeniach, mającą wymiar – jak dzisiaj widać doskonale wobec skrajnej chimeryczności Trumpa – w zasadzie wyłącznie PR-owski? Odpowiedź brzmi: Dwa razy „nie". Relacje Węgier z Rosją obiektywnie nie były dla Polski żadnym problemem, szczególnie że wartość węgierskiego importu rosyjskich gazu i ropy łącznie opiewała szacunkowo w 2025 r. raptem na maksymalnie ok. 4 mld euro. Niewiele mniej, bo szacunkowo ok. 3,5 mld euro na rosyjskie surowce w tym samym roku wydała oficjalnie Francja (a nieoficjalnie zapewne o wiele więcej), będąca w bez porównania lepszym położeniu geopolitycznym niż małe, pozbawione dostępu do portów morskich Węgry. Potępienie związków Budapesztu z Moskwą w Polsce, w tym na „antyrosyjskiej prawicy", wynikało przede wszystkim z absurdalnej rywalizacji na rusofobię, nie z jakichkolwiek obiektywnych czynników.

Prawicowym krytykom Orbána można powiedzieć dzisiaj tylko tyle: czekamy, aż zaczniecie wychwalać Pétera Magyara, który przecież był dla byłego premiera Węgier jedyną alternatywą. Choć i z tym wychwalaniem może być problem, skoro zwycięzca kwietniowych wyborów powiedział już, że absolutnie odbierze telefon od Władimira Putina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33

Czego się boi Tusk?



Rafał A. Ziemkiewicz

Jak rozumieć fakt, że na spektaklu w Sali Kolumnowej Sejmu premier w ogóle się nie pojawił, że przewodzenie rokoszowi i ataki na prezydenta pozostawił całkowicie Włodzimierzowi Czarzastemu? Czy to znak, że Tusk czuje się tak silny czy tak słaby?

Wiele wskazuje na to, że akcja ze „ślubowaniem" szóstki wskazanych przez PO sędziów była nie tyle próbą przejęcia kontroli nad Trybunałem Konstytucyjnym, ile „przykrywką" dla bieżących problemów władzy. Bardziej niż o cokolwiek innego szło w niej o wyprodukowanie budzącego emocje „kontentu" medialnego, który wypełni programy informacyjne, wypychając z nich inne „newsy", i odciągnie uwagę komentatorów oraz internautów od narastającego paraliżu władzy.

Jeśli istniał racjonalny plan, zniweczony został przyjęciem przez prezydenta ślubowania od dwójki z szóstki wybranej przez Sejm (czy, z punktu widzenia KO, „zdradą" tej dwójki, która ślubowanie złożyła). Ale „ślubowanie" złożone przez pozostałych w sali sejmowej, bez obecności prezydenta, mogłoby dać mocniejsze argumenty do podważania przyszłych orzeczeń Trybunału, gdyby zostało lepiej przygotowane. Tymczasem priorytetem był najwyraźniej pośpiech. Przede wszystkim nie czekano, aż prezydent ogłosi swoją decyzję co do pozostałej czwórki. Formalnie przecież nie powiedział on „nie", powiedział: konstytucjonaliści analizują status sędziów powołanych dwa lata po ustawowym terminie, a jak te analizy spłyną do mnie, wtedy podejmę decyzję. Składając „ślubowanie" przed Czarzastym rządowi sędziowie sami tę decyzję podjęli, de iure zrzekając się wyboru.

O pośpiechu świadczą i inne okoliczności. Niezaprzysiężeni przez prezydenta sędziowie zapomnieli złożyć oświadczenia majątkowe – które, prawo formułuje to wyraźnie, muszą być złożone przed ślubowaniem. Krystian Markiewicz i Anna Korwin-Piotrowska zapomnieli także o rezygnacji z zasiadania w sądach powszechnych, co każdy nowy sędzia ma obowiązek zrobić najpóźniej w dniu ślubowania. Tym samym stworzyli nieodparte wrażenie, że sami uważają swoje „ślubowania" za pusty spektakl, nie wart tego, by tracić pensje, a być może również immunitety.

LAWINA PROBLEMÓW

Można oczywiście powiedzieć, że „analizowanie" przez Kancelarię Państwa statusu PO-wskiej czwórki mogłoby trwać w nieskończoność – ale jeśli już władza zdecydowała się na spektakl z dobijaniem się quasisędziów o wpuszczenie do TK i przydzielenie im pracy, mogła go lepiej przygotować. Pośpiech widać było i w nieprofesjonalnym zachowaniu ściągniętego do Sejmu notariusza, i w chaotycznym przebiegu zdarzenia. Co takiego się stało, że rządzący nie dali sobie tego tygodnia czy dwóch na przemyślenie i sprawniejsze zorganizowanie całej akcji?

Tego samego dnia, kiedy wszystkie programy informacyjne i publicystyczne wypełniały dyskusje o znaczeniu słowa „wobec" (choć jest ono jasne i zdefiniowane wyraźnie w „Słowniku języka polskiego"), portal zero.pl opisał sytuację w szpitalu powiatowym w Pułtusku, gdzie dotąd wykonywano 800–900 specjalistycznych badań miesięcznie, a teraz zmniejszono ich liczbę do 100, co sprawiło, że pacjenci z podejrzeniem najcięższych schorzeń onkologicznych będą musieli czekać na diagnozy być może nawet do przyszłego roku (może zresztą niepotrzebnie – jeśli ktoś w takiej sytuacji dożywa do badania, to samo w sobie jest dowodem, że raka nie miał). Wystarczyłoby, żeby z takim pacjentem, jego rodziną i z lekarzami przeprowadziło któreś z „zasięgowych" mediów budzący emocje wywiad, a stałby się on „wiralem". Zderzanym na każdym kroku

eprasa.pl 8823c38a33



FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

z przykładami nieformalnej zasady „władza się zawsze wyleczy", dostarczanymi przez senatora Lenza i posłankę Szumilas, z butną wypowiedzią ministra Berka o „nadwykonaniach", z obietnicami z kampanii wyborczych PO i Trzaskowskiego czy zakrawającym w obecnej sytuacji na kpinę ogłoszeniu przez Sejm roku 2026 „rokiem profilaktyki zdrowotnej". Zważywszy, że we wszystkich sondażach to właśnie służba zdrowia wskazywana jest przez wyborców jako najważniejsze z zadań każdej władzy, byłaby to narracja dla władzy demolująca.

Niemniejszymi szkodami grozi utrzymywanie się w sferze publicznej opowieści o seksualnych nadużyciach w Kłodzku. Próba ucięcia tematu się nie powiodła – do świadomości Polaków stale przesącza się, że Kamila W. była prominentną działaczką w strukturach partii długo po tym, jak jej męża skazano i jak wyszedł na jaw jej współudział w obrzydliwych praktykach, a ostatecznie odeszła z PO bynajmniej nie z tego powodu, ale po zawaleniu rejestracji list wyborczych. Trącący na milę „układem" przydział dwóch mieszkań przeznaczonych dla powodzian, milczenie i uciekanie przed reporterami jej partyjnej protektorki, będącej protegowaną Tuska, agresja wobec mediów broniącego jej partyjnego kolegi… Wszystko to sprzyja domysłom, kto jeszcze mógł bywać na imprezkach zboczonej pary i na kogo są z nich nagrania.

Dawny Tusk wyrzuciłby z partii Wielichowską i odciął się od niej już pierwszego dnia po skandalu – w najlepszym wypadku wypchnąłby ją osamotnioną przed kamery, jak kiedyś Zbigniewa Chlebowskiego, i ostateczną decyzję uzależnił od oceny, jak sobie poradziła. Dzisiejszy stara się tylko odwrócić od swojej wicemarszałek Sejmu uwagę.

Jeśli Tusk nie może sobie pozwolić na to, by odciąć się od Wielichowskiej, której do czasu skandalu nie znali nawet niektórzy dziennikarze, to co mówić o osobie tak ważnej w jego zapleczu jak Roman Giertych? Tymczasem, w niedługim czasie po skandalu wokół ujawnionego przez „Rzeczpospolitą" nieetycznego przedłużania przez Giertycha procesu wytoczonego przez ofiary frankowych kredytów Leszka Czarneckiego, Wirtualna Polska dotarła do sprawy jeszcze grubszej – finansowych związków, poprzez tajemniczą spółkę w Luksemburgu, z „Rosjanką na francuskim paszporcie", prawdopodobnie powiązaną ze służbami Putina.

Nawet nie chodzi już o pranie pieniędzy, które wydaje się tu bardziej niż prawdopodobne, ale o ewidentne powiązania człowieka, postrzeganego nawet w PO jako „szara eminencja" Tuska za sprawą „haków", które ma na niego i jego rodzinę, z putinowską agenturą wpływu (co najmniej), w sytuacji, gdy straszenie Putinem i wpieranie go prezydentowi oraz partiom opozycji jest najczęściej używanym propagandowym liczmanem władzy. Natychmiast wracają sprawy, od których swego czasu udało się odwrócić uwagę – analogiczne moskiewskie powiązania marszałka Czarzastego, obecność Giertycha na liście kontaktów Dugina, sporządzonej przez ukraiński wywiad, czy jego dezinformacje na temat konfliktu na Ukrainie (rzekomy tajny układ między Kaczyńskim, Putinem i Orbánem o rozbiorze kraju, w którym PiS otrzymać miałby dla Polski Lwów). Wraca też sprawa Rubcewa, bo jednocześnie „Rzeczpospolita" informuje, że analityk, który szpiegostwo Rubcewa wykrył i objaśnił, został ukarany przesunięciem do najmarniejszej i najgorzej płatnej pracy, i że podobnie postąpiono z innymi pracownikami

eprasa.pl 8823c38a33

służb zasłużonymi dla zatrzymania tak szkodliwego dla Polski agenta, oddanego potem Rosji w ramach wymiany. Każdy kolejny skandal Giertycha przypomina też o kompromitującym do cna „prawo, jak my je rozumiemy" umorzeniu sprawy wyprowadzenia przez Giertycha 92 mln z Polnordu i innych śledztw przeciwko ludziom związanym z Tuskiem.

TUSK „NIE DOWOZI"

Podkreślam celowo pochodzenie kolejnych niszczących dla Tuska i jego partii informacji: ujawniane są one przez media niepostrzegane jako „prawicowe" czy „PiS-owskie", nie można ich tak łatwo zamknąć w opozycyjnej bańce i stygmatyzować tych, którzy skandale ujawnili, jak to się powiodło np. z wykrytymi przez Republikę nadużyciami państwa Myrchów. Co więcej, kolejne uderzenia w Giertycha mogą być odczytywane jako celowe działanie kogoś z obozu władzy, kto przeciekami na Giertycha uderzyć chce w samego Tuska. I znając sposób myślenia Tuska, on sam na pewno też tak to postrzega. W PO jest mocno zakorzeniony zwyczaj racjonalizowania sobie wszelkich problemów działaniem służb, czy to własnych, czy obcych – tak tłumaczyli sobie ludzie Tuska podwójną wyborczą klęskę w 2015 r., kelnerskie taśmy itd. Praktycznie każdy kryzys uważany był za skutek czyjejś tajnej operacji.

Jest to oczywiście rodzaj myślenia spiskowego, ale dla lewicowo-liberalnych elit bardzo kuszący: mając tak zawyżoną samoocenę, chętniej wierzą one w spiski CIA czy FSB niż w to, że popełniły jakieś błędy. Umyka im tym samym prawidłowość opisana w sławnym powiedzeniu Abrahama Lincolna, że „można oszukiwać wszystkich przez chwilę albo jedną grupę ludzi długo, ale nie można długo oszukiwać wszystkich". Kolejne skandale i afery niejako „zbierają się" gdzieś pod powierzchnią i w pewnym momencie, gdy osiągną masę krytyczną, do gwałtownego załamania nastrojów wystarcza jakaś sprawa, w porównaniu z poprzednimi, błaha. Jak w przysłowiu o słomce łamiącej grzbiet wielbłąda: firanki w samochodzie, ośmiorniczki etc. Knowań służb nie można oczywiście wykluczyć, ale nie ma powodu dopatrywać się ich wszędzie.

Premier i przewodniczący KO nie może nie wiedzieć, że skandale wokół jego rządu narastają, podobnie jak społeczne rozczarowanie, do którego spisek może się odwołać. Słabnie też jego moc kreowania medialnych „matriksów" – jeszcze rok temu intoksykacje „Prezydent i PiS chcą wysłać polskich żołnierzy na wojnę z Iranem" czy „Opozycja przyjęła łapówki w bitcoinach za blokowanie ustawy o kryptowalutach" zostałyby upowszechnione równie skutecznie, jak kłamstwa o „neosędziach", Pegasusie czy setkach tysięcy wiz sprzedawanych na afrykańskich bazarach – teraz przeszły praktycznie bez echa.

Mimo wszystkich działań propagandowych poparcie dla Karola Nawrockiego jest stabilne, a dla Tuska – systematycznie maleje

Ale tym, co najbardziej musi przerażać Donalda Tuska, jest obawa, że jego dotychczasowi protektorzy odwrócą się od niego. Prasa niemiecka nigdy jeszcze nie pisała o rządach KO tak krytycznie i z takim rozczarowaniem. Na okoliczność wyborów na Węgrzech wielokrotnie powtórzono przestrogę dla Petera Magyara: „Tylko jak zdobędziecie władzę, nie zmarnujcie tego tak jak w Polsce". Z polskiego punktu widzenia ostatnie dwa lata były pasmem bezprawia, motywowanego „demokracją walczącą": „areszty wydobywcze", przejęcie „na rympał" mediów, Prokuratury Krajowej i sądów, ignorowanie orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego etc. Ale z punktu widzenia „Europy" Tusk okazał się mięczakiem, który nie odważył się, mimo licznych zachęt, wykonać programu rządów twardej ręki, suflowanego publicznie przez swego rodzaju „oficera prowadzącego" polskiego obozu lewicowo-liberalnego, Klausa Bachmanna. Chaos, jaki wytwarza rządząca koalicja, jest oczywiście na rękę budowniczym „państwa europejskiego", ale gdy dwa lata temu fetowano w Brukseli i Berlinie Tuska jako tego, który „pokazał, jak powstrzymać populistów", oczekiwano po nim znacznie więcej.

Mimo wszystkich działań propagandowych poparcie dla Karola Nawrockiego jest stabilne, a dla Tuska – systematycznie maleje. Co może w tej sytuacji zrobić „Europa"? Może, jak na Węgrzech, postawić na kogoś nowego. Znaleźć jakiegoś polskiego Magyara, czy to w szeregach PO, czy kreując „nową jakość w polityce", a Tuska obciążyć winą za wszystkie rozczarowania i rzucić Polakom na pożarcie.

Tego premier zapewne boi się najbardziej. „Wajcha" medialna, którą posługują się zachodni właściciele mediów, kontrolujących emocje „żelaznego elektoratu" PO jest silniejsza od tej, którą dysponuje on sam. Z jednej strony, musi Tusk podtrzymywać w swej grupie przekonanie, że wciąż potrafi wszystkich osłonić i zapewnić bezkarność, że „doktryna Neumanna" wciąż działa. Ale czyni go to bezradnym zakładnikiem nie tylko Giertycha czy Markiewicza, lecz także Wielichowskiej – członkowie KO nie mogą zobaczyć, że „kierownik" gotów jest dla ochrony siebie samego zrzucać ich z wozu, bo wtedy cała spajająca obóz mafijna lojalność pójdzie w gruzy. Więc, z drugiej strony, broniąc do upadłego swoich skompromitowanych podwładnych, przybliża zachodnich protektorów do decyzji: ten facet już nigdy nam niczego nie „dowiezie", musimy szybko wykreować na jego miejsce kogoś nowego. Każe to Tuskowi patrzeć na tych, których musi bronić, coraz bardziej podejrzliwie. Który z nich jest tym Brutusem, szykującym się go załatwić ciosem noża w plecy, tak jak on sam przed laty załatwił Bronisława Geremka i „starą udecję"?

SIŁA CZY SŁABOŚĆ?

Jak rozumieć fakt, że na spektaklu w Sali Kolumnowej Sejmu premier w ogóle się nie pojawił, że przewodzenie rokoszowi i ataki na prezydenta pozostawił całkowicie Włodzimierzowi Czarzastemu? Czy to znak, że Tusk czuje się tak silny czy tak słaby? Czy fakt, że skupił się w tym czasie na przestawianiu pionków w swojej własnej partii, nie oznacza, że tam widzi w tej chwili największe zagrożenie dla swego trwania u władzy?

Jedno jest pewne: Tusk nie śpi spokojnie. Stare metody „utwardzania betonu" i zamykania swych wyznawców na przekazy z zewnątrz wciąż działają. Ale jak długo jeszcze?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33

Morawiecki – człowiek, którego wszyscy o coś podejrzewają



FOT. JAREK PRASZKIEWICZ/PAP



Piotr Semka

Wyjście z PiS, rozłam tej partii, romans z PSL... Nie brakuje politycznych scenariuszy dotyczących przyszłości Mateusza Morawieckiego. Były premier sam je prowokuje. Podejrzliwie patrzą na niego i koledzy z partii, i polityczni przeciwnicy. Czy mają powody do obaw?

Jeśli ktoś w PiS zakładał, że po wyborze Przemysława Czarnka na kandydata na premiera Mateusz Morawiecki przesunie się na dalszy plan – to nic z tego. Były premier ogłosił powstanie stowarzyszenia Rozwój Plus. Głosi: „Chcę skupić osoby, którym nie pasuje coś w każdej z partii politycznych po prawej stronie: czy to w PiS-ie, czy w Konfederacji, czy w Koronie Polskiej Brauna". Niedawno debatował z liderem PSL, przyczyniając się do powstawania plotek o sojuszu z obozem ludowców, i niezmordowanie objeżdża Polskę, celując zwłaszcza w młodego, mającego ambicje rozwojowe wyborcę.

Jakie są obecne poglądy byłego premiera? Jak wygląda budowanie przez niego obozu sojuszników?

Z IMPETEM W GŁĄB

Najlepszym przeglądem aktualnych poglądów polityka z Wrocławia jest wywiad, którego udzielił 2 kwietnia portalowi Wirtualna Polska. To w tej rozmowie Mateusz Morawiecki po raz pierwszy oficjalnie zapowiedział powołanie nowego stowarzyszenia. Ma ono docierać do wyborców centrum, ale i tworzyć w szerszym planie forum planowania wektorów rozwoju Polski pod względem jej konkurencyjności w Europie i na świecie.

Były premier zaznacza, że chce dotrzeć do przedsiębiorców i kobiet. Jak skromnie twierdzi – to „ludzie sami do niego przychodzą" i „wyrażają taką potrzebę, żeby stworzyć coś ponadpartyjnego". Jak wyjaśnia – to samorządowcy, przedsiębiorcy, społecznicy, którzy według Morawieckiego mają swoje stanowisko

eprasa.pl 8823c38a33

przedstawiać tak: „Chcemy głosować na obóz patriotyczny, ale coś nam nie pasuje w tych partiach. Chcemy zmiany rządu, ale niekoniecznie działając partyjnie". Morawiecki wszystkie te postulaty puentuje tak: „Szukam więc formuły do budowy obozu patriotycznego w szerokim rozumieniu tego słowa". Jak wyjaśnia, pomysł stowarzyszenia to element próby przyciągnięcia do PiS tych wyborców, których partia ta straciła w 2023 r.

Morawiecki bardzo wyraźnie podkreśla też, że niezbędne jest ukrócenie zjawiska wewnątrzpartyjnej „ojkofobii". Pod tym określeniem rozumie on atakowanie bilansu ośmioletnich rządów PiS. Jak zaznacza: „Rząd Prawa i Sprawiedliwości [...] zmienił bardzo dużo w Polsce. Atakowanie go było kardynalnym błędem". Nie zapomniał też o krytyce swoich odwiecznych adwersarzy, czyli „ziobrystów". Jak wyjaśnia, grupa ta powinna skupić się na odzyskiwaniu głosów od Konfederacji i Korony Polskiej, a nie atakować dorobek poprzedniego rządu. I raz jeszcze zaznacza: „Jeśli ktoś w sposób nikczemny kłamie po stronie naszych przeciwników na temat rządów PiS, to jest bardzo niedobrze, ale to jest forma ich ataku na nas. Jeśli jednak ktoś to robi z naszego obozu, jeśli pewna część naszych ludzi powiela te same, podłe kłamstwa – o Zielonym Ładzie, o Ukrainie, o COVID, to efekty były, jakie były, i są, jakie są".

Morawiecki cały czas wraca do krytyki „radykałów", często nie zaznaczając, czy chodzi mu o obie konfederacje czy o którąś frakcję wewnątrz PiS.

Podkreśla: „Radykałowie w wyborach zawsze mają najtwardszy elektorat przy sobie. Ale tym samym niszczą szanse swoich kolegów na listach wyborczych. Bo odpychają bardziej umiarkowanych wyborców. A ja bym chciał, żeby ci wszyscy posłowie byli w Sejmie, albo nawet 30–40 osób więcej. Ale radykalny język części ludzi naszego obozu to utrudnia". Konkretnie zaatakował dawną Suwerenną Polskę, wypominając grupie Ziobry, że ich projekt polityczny uzyskiwał od 2 do 4 proc. poparcia. W opozycji do tego narzeka, że rok po przyjęciu „ziobrystów" do PiS „komunikacja naszej formacji została zdominowana przez tych kolegów". Jednocześnie zaznacza, że tamten spór to zamknięty rozdział w historii, a dzisiaj nie ma między nimi bezpośredniej rywalizacji, są tylko działania na innych polach.

„Oczywiście mam w sobie zdrowy gen rywalizacji. Cały świat polega na zdolności do współpracy, ale też na konkurowaniu".

Wywiad z Morawieckim pokazuje, że w pewnych kwestiach jest on bardzo silnie zafiksowany. Po pierwsze odrzuca jakąkolwiek krytyczną dyskusję na temat bilansu i decyzji z czasów swoich rządów, po drugie nadal bardzo wyraźnie określa „ziobrystów" jako sprawców porażki z 2023 r. I po trzecie wyraźnie zaznacza, że równolegle do działalności w partii chce budować swoją własną odnogę na zasadzie ruchu pozapartyjnego. To stanowi już wyraźne wyzwanie wobec innych frakcji w PiS, które mimo wszystko ambicji takich „prywatnych" stowarzyszeń nie formułują.

Dlaczego Morawiecki może z taką pewnością siebie wszystkie te postulaty stawiać? Na pewno korzysta z faktu, że może powoływać się na to, iż wszystkie najważniejsze i najbardziej dziś kontrowersyjne swoje decyzje podejmował po akceptacji przez Jarosława Kaczyńskiego. Ułatwia mu też sytuację, że namaszczony parę tygodni temu na kandydata na premiera Przemysław Czarnek sam był przed wyborami 2023 r. podwładnym Morawieckiego i jako członek jego rządu nie bardzo może posuwać się zbyt daleko w krytyce posunięć tego gabinetu. Morawiecki jest więc w wygodnej sytuacji. Wykazuje bardzo dużą aktywność, a jednocześnie wie, że Czarnek, który ma teraz na głowie nie tylko powstrzymanie spadku notowań PiS, lecz także docelowo podbudowanie takich wyników, nie bardzo może sobie pozwolić na frontalne zderzenie z Morawieckim. Ta taktyka jest dość sprytna, ale musi budzić na razie tłumiony niepokój w pozostałej części PiS-owców. Jest taktyką na razie efektowną, ale generującą w reszcie partii ciche niezadowolenie. I na dłuższą metę może być zaczynem wewnętrznego konfliktu.

FORY DLA MATEUSZA

Wszystkie oznaki, że Morawiecki może tworzyć własne „państwo w państwie" w obrębie PiS, spotykają się z bardzo ciepłym przyjęciem w mediach liberalnych. Publicyści „Gazety Wyborczej", „Newsweeka", Onetu czy Wirtualnej Polski od ponad roku uwielbiają zadawać pytanie: „Jak długo Morawiecki będzie znosił upokorzenia w PiS?".

I trudno nie zauważyć, w jak wyraźny sposób Morawiecki zachęcany jest do wywołania frondy w obrębie partii Jarosława Kaczyńskiego.

Podajmy trzy przykłady z jednego miesiąca. Oto 3 kwietnia dziennik „Rzeczpospolita" zamawia w firmie SW Research sondaż z pytaniem: „Czy rozważyłbyś oddanie głosu na partię założoną przez Mateusza Morawieckiego, gdyby ten opuścił PiS i założył własne ugrupowanie?". Sondaż jest absurdalny, bo dotyczy wszystkich wyborców, a nie tylko osób deklarujących, że oddały w ostatnich wyborach głos na PiS. Jednak fakt, że taką gotowość ogłosiło 16,7 proc. respondentów (61 proc. odpowiedziało, że nie ma ochoty zagłosować na taką partię, a 21,7 proc. – że nie ma zdania), posłużył do gromkich deklaracji, że ewentualna osobna partia Morawieckiego miałaby szansę na całkiem solidny wynik. Charakterystyczny był tytuł na portalu na.Temat.pl: „Ten sondaż zaboli Kaczyńskiego".

Ponad tydzień później, niedługo po debacie Morawieckiego z liderem PSL Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem na forum ekonomicznym w Jasionce, portal Onet zamawia w tej samej firmie SW Research kolejny sondaż. „Czy wierzysz w polityczny mariaż Morawieckiego z PSL?". Oczywiście znów największa grupa respondentów nie wierzy w taki sojusz (33,1 proc.), ale Onet podkreśla, że aż 52,5 proc. jest niezdecydowanych, co daje asumpt do sugestii, że taki alians mógłby ewentualnie odpowiadać życzeniom sporej części Polaków. I znów efekt manipulacji jest wyraźny, ale daje okazję do sensacyjnych tytułów.

Wreszcie 12 kwietnia i znów w roli głównej dziennik „Rzeczpospolita". I znów firma SW Research, której dziennik zleca zbadanie reakcji Polaków na pytanie, kogo woleliby w roli przyszłego premiera, mając do wyboru jedynie Mateusza Morawieckiego i Przemysława Czarnka. Jeśli wczytać się w tekst omawiający wyniki sondażu, to można dowiedzieć się, że większość ankietowanych odpowiada, że przy takim wyborze byłoby im obojętne, kto zostanie szefem rządu. Ale mniejszość wskazuje częściej na byłego premiera PiS niż na obecnego nominata do stanowiska premiera z nadania Jarosława Kaczyńskiego. Jak „Rzeczpospolita" tytułuje informacje o wynikach sondażu?

eprasa.pl 8823c38a33

Na tym etapie konfliktu politycznego z Platformą obóz liberalny marzy o podziale w PiS. A dywagowanie o szansach na rozłam doskonale podgrzewa atmosferę wokół byłego premiera

„Mateusz Morawiecki wygrywa z Przemysławem Czarnkiem 3:1. Wyniki sondażu".

Jakie są powody takiego pchania Morawieckiego do myśli o wyjściu z PiS?

Odpowiedź jest prosta. Na tym etapie konfliktu politycznego z Platformą obóz liberalny marzy o podziale w PiS. A dywagowanie o szansach na rozłam doskonale podgrzewa atmosferę wokół byłego premiera.

PODEJRZENIA Z OBOZU KIBICÓW TUSKA

Ale podejrzliwość wobec zamiarów syna twórcy Solidarności Walczącej formułuje też „Gazeta Wyborcza". Na jej łamach specjalista od tematyki wiejskiej Krystyna Naszkowska przypomina, że w poprzednich wyborach PSL szło do wyborów z partią Szymona Hołowni w ramach bloku Trzecia Droga. Teraz zarówno ludowcy, jak i dwie partie powstałe na bazie ugrupowania Hołowni w sondażach nie przekraczają progu. W obozie ludowców narasta więc dyskusja, czy stworzyć jeden blok „obozu demokratycznego" pod wodzą Tuska czy jednak startować osobno. I w tym kontekście publicystka „Wyborczej", zaznaczając, że PSL głosi samodzielny start, tak oto analizowała debatę Morawieckiego z Kosiniakiem-Kamyszem w Jasionce: „Morawiecki wyraźnie szuka dla siebie miejsca w centrum sceny politycznej, lekko dystansuje się od twardego prawego skrzydła w PiS i konserwatywny PSL bardzo mu odpowiada. W tej debacie Morawiecki atakował rząd, ale nie PSL – wyraźnie tę część rządu traktował ulgowo, wręcz kadził Kosiniakowi-Kamyszowi i próbował wsadzić kij między PSL a resztę. Starał się wzbudzić w szefie ludowców poczucie krzywdy, wprost mówił, że Tusk go nie docenia w takim stopniu, na jaki Kosiniak-Kamysz zasługuje. Mówił np., że »PSL powinno mieć większą sprawczość« w koalicji. Albo: »Gdyby miał pan siłę w tej koalicji, to by pan załatwił dopłaty dla rolników, gdy jest dołek«".

Krystyna Naszkowska z wyraźnym niepokojem zaznacza: „Na razie Kosiniak-Kamysz i większość polityków PSL wydają się odporni na zaloty Morawieckiego [...]. Jednak poseł PO Patryk Jaskólski po debacie w Jasionce ma »delikatny niesmak«, bo siadając do niej, Kosiniak-Kamysz legitymizował osobę, która odpowiada za rządy PiS i za którą ciągnie się szereg afer".

Widać zatem, że „Wyborcza" wyraźnie zaniepokojona jest zalotami Morawieckiego wobec PSL i traktuje to jako zagrożenie dla Donalda Tuska. Z kolei dwaj dziennikarze podcastu „Przekanał" – Marcin Pieńkowski i Karol Dormaros – przytaczali niedawno plotki o planie kontrolowanego odejścia Morawieckiego z PiS z rzekomym cichym błogosławieństwem Jarosława Kaczyńskiego. Ten plan miałby mieć na celu przejęcie przez Morawieckiego centrowego elektoratu po Hołowni, tak aby to ugrupowanie byłego premiera mogło stać się partnerem dla PiS po wyborach w 2027 r. To wzmocniłoby pozycję tej partii wobec Konfederacji Sławomira Mentzena i Korony Grzegorza Brauna.

LICZENIE SZABEL

Jeśliby zastanawiać się, jakie środowisko mogłoby stać się naturalnym zapleczem ewentualnej secesyjnej partii Morawieckiego, to znalazłoby się trochę kandydatów. Niekłamany podziw dla Morawieckiego aż emanował z niedawnego podcastu Piotra Trudnowskiego, który z Klubu Jagiellońskiego wyliczał siedem cech, które spowodowały, że Morawiecki dwa lata po przegranych wyborach jest znów na ustach wszystkich. Na pewno Morawiecki znajduje duży posłuch w środowisku konserwatywnych zwolenników modernizacji Polski, takich jak np. Krzysztof Mazur czy były minister do spraw Unii Europejskiej Konrad Szymański.

Świadkowie spotkań Morawieckiego na uniwersytetach relacjonują, że jego wezwania do wykorzystania ekonomicznych przewag Polski robią spore wrażenie na części młodych studentów nastawionych prorozwojowo. Ale Morawiecki może popełnić błąd, jeśli brać będzie na serio syrenie śpiewy tych agencji sondażowych, które obiecują mu poparcie na poziomie 16 proc. wyborców. Wiele tych świetlanych wizji kierowanych jest po to, aby osiągnąć krótkoterminowy cel – rozbicie PiS. W podobny sposób część liberalnych mediów sekundowała trzy lata temu frondzie pod wodzą Jarosława Gowina w obozie Zjednoczonej Prawicy. Te same media, które widziały w Gowinie marszałka Sejmu, który usankcjonuje rząd techniczny, który miał odepchnąć PiS od władzy przed ustawowym terminem wyborów do Sejmu w 2023 r., natychmiast zapomniały o Gowinie, gdy ten miał kłopoty zdrowotne. Przemysław Czarnek na pewno zauważa skok aktywności Morawieckiego i trudno przypuszczać, by był tym zachwycony. Sytuację dostrzega nawet tygodnik „Polityka", który dość rzeczowo zauważa: „Morawiecki jest zbyt inteligentnym i doświadczonym politykiem, żeby nie rozumieć, w jaki medialny obrazek składają się jego działania. Tym samym licytuje bardzo wysoko, zwłaszcza że Jarosław Kaczyński przez ćwierć wieku istnienia PiS radził sobie bezceremonialnie z rozmaitymi, nawet najbardziej zasłużonymi awanturnikami".

Uwaga ta dobrze oddaje sytuację. To naczelnik z Nowogrodzkiej będzie decydował, czy nadaktywność Morawieckiego jest jeszcze akceptowalna czy już nie. Coś na kształt takiego komunikatu już się pojawiło. 14 kwietnia, dzień przed ogłoszeniem przez Morawieckiego powstania jego stowarzyszenia, pod przewodnictwem Kaczyńskiego odbyło się w Warszawie spotkanie prezydium Komitetu Politycznego PiS, gdzie przedyskutowano ostatnie posunięcia byłego premiera. Jak ujawnił rzecznik PiS Rafał Bochenek: „Przebieg wczorajszego spotkania prezydium Komitetu Politycznego wykazał, że zdecydowana większość władz partii wyraziła swoje zaniepokojenie inicjatywą stowarzyszenia, zwłaszcza teraz, kiedy jedność jest szczególnie potrzebna".

Język tego komunikatu nie wróży zbyt dobrze Morawieckiemu. Podobnie jak słowa Jarosława Kaczyńskiego, który stwierdził w piątek: „Trzeba wybrać. Jasno mówię, że dla ludzi, którzy by się w to angażowali, miejsc na naszych listach nie będzie. No i będą wyciągane także inne wnioski wynikające ze statutu związane z tego rodzaju aktywnością".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33

Jak zrobiono z Polaków śmieciarzy



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

System kaucyjny, wprowadzony jako realizacja unijnej dyrektywy, jest podnoszony do rangi niemal świętości. Rządzący i sprzyjające im media prześcigają się w wyliczaniu jego zalet

FOT. ADOBE STOCK

Bohater z Krakowa zebrał 3388 butelek i odebrał 1700 złotych!" – taką grafikę, utrzymaną w triumfalnym tonie, udostępniła w mediach społecznościowych minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska. Przedstawicielka Centrum zachwala 15-letniego Wiktora, który „pomógł sprzątać okolice Bulwarów Wiślanych". „Wykorzystał to, że od kilku miesięcy, po raz pierwszy w historii Polski, opłaca się zbierać opakowania, które dotychczas nazywaliśmy odpadami. Teraz to surowce, które ponownie przetwarzamy. Jak informują media, Wiktor w półtora miesiąca zebrał aż 3388 butelek z kaucją. W sklepie otrzymał za to paragony wartości 1700 złotych. Jest bohaterem! Wspieranie czystego środowiska po prostu się opłaca. Korzyści z tego jest o wiele więcej niż tylko wypłata kaucji. Brawo!" – ogłasza minister.

W ślad za Hennig-Kloską poszła lokalna redakcja TVP. „Udowodnił, że ekologia może się opłacać. 15-letni Wiktor z Krakowa oddał w systemie kaucyjnym 3388 butelek i puszek, bijąc rekord i zarabiając niemal 1700 zł. Dla niego to nie tylko pieniądze, ale także lekcja wytrwałości i przedsiębiorczości" – zauważa TVP3 Kraków. Stacja wskazuje, że młody przedsiębiorca spotkał się z hejtem: „Nastolatek nie zdecydował się na pokazanie twarzy. Powód? Doświadczenia z hejtem. »Spotkałem się z hejtem. Gdzieś tam za plecami słyszałem, jak mnie ktoś obgaduje albo się śmieje« – przyznaje". Kolejny cel nastolatka to oddanie do skupu butelek i puszek za 10 tys. zł.

Pochwały płyną także z Krajowego Systemu Kaucyjnego. „Pięknie, prawda? Młody człowiek wysprzątał przestrzeń, a jednocześnie skorzystał finansowo" – podkreśla Katarzyna Bojko z Krajowego Systemu Kaucyjnego Zwrotka.

PLUSY DODATNIE, PLUSY UJEMNE

System kaucyjny obowiązuje w Polsce od 1 października. Każdy sklep sprzedający napoje w butelkach i puszkach dolicza kaucję: 50 gr za opakowania plastikowe i aluminiowe oraz 1 zł za butelki szklane. Opakowania można zwracać w punkcie zbiórki. Obowiązek zbierania opakowań objętych systemem mają sklepy powyżej 200 mkw.; mniejsze sklepy mogą dobrowolnie przystępować do systemu. Trudno obiektywnie ocenić, jak wielu Polaków

eprasa.pl 8823c38a33

odbiera kaucje, bo dostępne badania w tym zakresie przeprowadzają operatorzy, a więc zainteresowani promocją systemu. Z badania wykonanego na zlecenie Kaucja.pl wynika, że po sześciu miesiącach od startu 65 proc. ankietowanych orientuje się, na czym polega system kaucyjny (44 proc. orientuje się dobrze, a 21 proc. bardzo dobrze). Słabą wiedzę o systemie kaucyjnym ma 29 proc., a 6 proc. nie ma jej w ogóle. Podano też, że 53 proc. ankietowanych przynajmniej raz oddało opakowanie zwrotne. Najliczniejszą grupą wiekową korzystającą z kaucji są osoby w wieku 45–54 lat (64 proc.), najmniej liczną grupą osoby 55+ (45 proc.). Z systemu najchętniej korzystają mieszkańcy największych miast powyżej 500 tys. osób – butelkę lub puszkę przynajmniej raz zwróciło 63 proc. z nich. Nie powinno dziwić, że system najmniej sprawdza się na wsiach, gdzie mniej jest dużych sklepów. Tam swoje pieniądze co najmniej raz odebrało 49 proc. mieszkańców.

Z każdym miesiącem działania systemu wychodzą kolejne problemy. To przede wszystkim wiecznie niedziałające butelkomaty, zniechęcające część klientów do odzyskiwania zwrotu. Wielu nie podoba się, że kaucja jest zwracana nie w formie gotówki, ale bonu na zakupy, który nie dość, że może zostać wykorzystany tylko w danym sklepie, to jeszcze ma 30-dniowy termin ważności. Problematyczne jest też składowanie butelek i puszek w mieszkaniach – nie wolno ich zgniatać, bo wtedy automat nie przyjmie zwrotu. Dodatkowo rażąca jest otoczka wokół systemu – to przecież tylko możliwość odzyskania pieniędzy, które wcześniej zapłaciliśmy w formie kaucji, a nie „zarobku".

Rządzący jednak niechętnie odnoszą się do wad systemu. Zdecydowanie częściej uprawiają propagandę sukcesu, podnosząc zwykły system kaucyjny do rangi niemalże nowej, świeckiej religii. Wtórują im sprzyjające media. Niedawno internetowym memem stał się artykuł „Newsweeka", w którym stwierdzono, że „Polacy korzystają na wielkiej reformie". W jaki sposób? „Magda obejrzała filmiki pracowniczki hotelu, która pieniądze ze zwrotu butelek pozostawionych przez gości odkładała na nowego Dysona. »Po co spacerować za darmo« – rzuciła sobie wyzwanie Magda" – czytamy. „Jakub opowiada, że nie wraca ze spaceru, gdy nie uda mu się zebrać kilku puszek. – Na spacerach z psem zauważałem leżące w wielu miejscach puszki i butelki. Podnosiłem je i wyrzucałem do śmietnika, który najczęściej był kilka metrów dalej, a gdy coraz częściej zdarzały się opakowania kaucyjne, zacząłem je zbierać – mówi. – Zbieram głównie w swojej okolicy przy okazji spacerów lub wycieczek rowerowych. Pieniądze leżą na ziemi, wystarczy po nie sięgnąć. Przez ostatnie kilka miesięcy udało się zebrać ponad 600 butelek. To ponad 300 zł. Nie jest to może wielka kwota, ale zawsze jakiś dodatek lub darmowe zakupy" – przyznaje bohater tekstu „Newsweeka". Entuzjastką zbierania śmieci jest także Dorota. „– Podczas rodzinnych spacerów, a spacerujemy naprawdę dużo, podnosimy z ziemi pieniądze w postaci puszek i butelek – opowiada. Dni bywają różne. – Wszystko zależy od czasu i pogody. Są dni, kiedy znajdujemy dwie, trzy puszki, ale zdarzają się też takie, gdy udaje się zebrać nawet 20–30 opakowań" – mówi z radością.

Według bohaterów tekstu „Newsweeka" zbieranie puszek to też niezły sposób na zabicie nudy. – Po prostu nie lubię chodzić bez celu. W ten sposób czas mija szybciej, a przy okazji można się pośmiać. To raczej forma spędzania czasu niż sposób na zarobek – przekonuje Magda. Cytowany przez gazetę Michał M. Sieczkowski, ekspert od systemów kaucyjnych i opakowań zwrotnych, zwraca uwagę na korzyść dla seniorów. – Seniorzy zbierają tyle, ile mogą. Zawsze wpadnie kilka złotych, a dla części z nich to naprawdę znacząca kwota – mówi.

W Polsce, według danych Głównego Urzędu Statystycznego z 2025 r., na skrajne ubóstwo cierpi 5 proc. emerytów. Być może rząd sądzi, że system kaucyjny załatwi za władzę to, czego ona nie potrafi.

CHĘTKA NA CHWYTAK

Portale prześcigają się w wyliczaniu, ile „zyskali Polacy" na systemie. Zyskali, bo zbierają leżące w parkach i na skwerach śmieci. „System kaucyjny w Polsce stał się dla wielu osób sposobem na dodatkowy zarobek. Niektórzy potrafią uzyskać nawet 300–400 zł tygodniowo, a rekordzista odebrał voucher o wartości 547,50 zł za jednorazowy zwrot opakowań" – zauważa Business Insider. „Gazeta Wyborcza" opisuje historię influencerki z Jastrzębia-Zdroju. Malwina, która prowadzi na Instagramie konto „Życie Malwiny" i występuje w stacji TTV jako uczestniczka jednego z programów rozrywkowych, zaczęła przeszukiwać śmietniki, aby sprawdzić, ile uda się jej zarobić. – Czy rzeczywiście można zarobić na butelkach od 50 do 70 zł dziennie. Chciałam zobaczyć, ile czasu to zajmie. Efekt? Trzy godziny zbierania i zarobiłam 30 zł i 40 gr – mówi. – Z tego, co zarobiłam, kupiłam już hot doga, bo zbieranie butelek odbyło się w ramach weekendowego spacerku. Zamierzam jednak też zainwestować w profesjonalny chwytak, bo nieraz trudno było w śmietniku dosięgnąć butelkę – dodaje. „Zbieracze" opakowań kaucyjnych dzielą się dobrymi radami. – Spotkałam ludzi, którzy na co dzień zbierają butelki i puszki, odkąd obowiązuje system kaucyjny. Uzyskałam od nich kilka porad. Dowiedziałam się, że butelka nie musi być idealna, może być lekko zgnieciona, ale zawsze kod kreskowy musi być pełny – mówi „Wyborczej" Malwina.

3388

TYLE BUTELEK ZEBRAŁ I ODDAŁ DO SKLEPU 15-LATEK, Z KTÓREGO POLITYCY I MEDIA ZROBILI BOHATERA

„WIELOPOZIOMOWY WAŁ"

Rządowo-medialne peany na cześć systemu kaucyjnego wykpił szef Kanału Zero, Krzysztof Stanowski. – Mieliśmy w przeszłości różnych panów Zenków, panów Bronków, panów Waldków. Niektórzy nieładnie nazywali ich „śmieciarzami" i „złomiarzami", a tu proszę – „bohaterowie". Pani ministra zrehabilitowała ludzi zajmujących się zbieractwem i awansowała do rangi narodowych bohaterów. Zbieranie śmieci, rozrzuconych w miejscach publicznych, za co przecież płacimy w podatkach, stało się nowym rodzajem bohaterstwa – kpił w jednym z materiałów, odnosząc się do zacytowanego na początku tego tekstu wpisu Pauliny Hennig-Kloski. – Dziecko wyręczyło wyspecjalizowane firmy i teraz wy i wasze dzieci macie wszystkich wyręczać, a na końcu ktoś zarobi gruby hajs. Cały ten system kaucyjny to tak wielopoziomowy wał, że głowa boli – stwierdził Stanowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33

Z morderstwem przez świat



Joanna Bojańczyk

Historyczne miasta, nieodkryte zakątki świata, krajobrazy, zabytki. Kiedy się je obejrzało w serialu, zaraz chce się tam pojechać



Brenda Blethyn jako inspektor Vera Stanhope. Miejscówki zmieniają się w zależności od odcinka – czasem malownicze widoki, innym razem kanciasty, metaliczny, ale nastrojowy świat FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Przy inflacji kryminałów wymyślenie sensownej intrygi staje się wyzwaniem. Więc może efekty specjalne przyciągną widza? Równie interesujące od tego, kto zabił, może być miejsce akcji. To wartość dodana, szczególnie do produkcji serialowych. Historyczne miasta, nieodkryte zakątki świata, krajobrazy, zabytki. Filmowane tak, że po obejrzeniu chce się tam pojechać. Paryż naliczył 120 miejsc, które należałoby odwiedzić, idąc śladami zbrodni w kryminałach Georges'a Simenona z komisarzem Maigretem w roli głównej. Bistra, nocne speluny, uliczki bez wylotu. Wenecja wytyczyła mapy, na których zaznaczono miejsca z powieści Donny Leon. Ich bohaterem jest komisarz Brunetti. Tu mieszkał, tu jadł, tu pił kawę, tu wsiadał do tramwaju wodnego, tu gonił mordercę. Tym tropem podążają fani Brunettiego, choć sami Wenecjanie nie podzielają entuzjazmu dla kryminałów Amerykanki Donny Leon, uważając ją za obce ciało w ich wspaniałej Serenissimie.

Ale kto dziś czyta Simenona? Chyba tylko frankofile, których coraz mniej. Większą widownię i zasięg międzynarodowy mają kryminalne seriale, oglądają je miliony widzów. Miejsca, które w nich wystąpiły, mają szansę bardziej przemówić do wyobraźni niż książkowe opisy. No i stać się atrakcją turystyczną. Okazuje się, że nie dla wszystkich największą atrakcją Oksfordu jest starożytny uniwersytet. Są turyści, którzy przyjeżdżają do historycznego miasteczka po to, by zobaczyć na własne oczy miejsca, w których toczyły się zdarzenia serialu „Morse". Inspektor ścigał złoczyńców w Oksfordzie i jego malowniczych okolicach. Ten świetny serial zadebiutował w roku 1987, do roku 2000 nakręcono 33 odcinki. Obejrzało go 18 mln ludzi na całym świecie.

John Thaw w roli Morse'a stworzył niezrównaną kreację: postać samotnego, niezbyt sympatycznego, wybitnie przenikliwego i nieprzejednanego policjanta, który kocha Wagnera i kocha się w kobietach, zawsze nieszczęśliwie.

Jednak to wszystko nie nabrałoby dramatyzmu, którego potrzebuje kryminał, gdyby nie miało odpowiedniej scenerii. Morderstwo popełnione w 500-letnim gmachu uczelni przez członka szacownego grona profesorskiego to jednak coś innego niż bójka meneli. To morderstwo premium. Biura turystyczne w Oksfordzie organizują wycieczki śladami miejsc akcji w poszczególnych odcinkach serialu. Hotel Randolph, pub White Horse Bodleian Library, Broad Street, Teatr Sheldonian, Exeter College, Obserwatorium Astronomiczne... – Tu leżał trup – mówią turyści, przechadzając się nad kanałkiem.

Sukces serialu był tak wielki, że jego twórcy nie oparli się pokusie nakręcenia tzw. spin-offów. Powstały zatem „Lewis" i „Endeavour". A choć w roli sierżanta Lewisa Kevin Whately jest świetny, to bez Johna Thaw „Morse" to już nie to, mimo że Oxford równie wspaniały.

SYCYLIA W ROLI GŁÓWNEJ

Trudno o lepszy przykład promocji regionu przez serial niż „Montalbano", wieloodcinkowa realizacja powieści włoskiego pisarza Andrei Camilleriego. Co prawda, mamy tu samograj: miejscem akcji „Montalbano" jest Sycylia, która nie potrzebuje rekomendacji. Do tego Luca Zingaretti jako Salvo Montalbano, a także ciekawostka: w jednej z głównych ról

eprasa.pl 8823c38a33

Katharina Böhm, córka Barbary Kwiatkowskiej, gwiazdy kina lat 50. i 60.

Atutem turystyki w serialu jest brak uciążliwości rzeczywistej turystyki. Z uliczek realizatorzy sprzątnęli wszystko, co mogłoby przeszkadzać i zaburzać atmosferę wspaniałych włoskich miast: samochody parkujące wszędzie, gdzie się da, motory i skutery, których ryk normalnie przeszywa atmosferę, kieszonkowców, nawet zwykłych przechodniów. Sycylia w wersji Montalbano staje się konstruktem historyczno-turystycznym, pięknym, nierealnym i zachęcającym.

Andrea Camilleri dzieciństwo i młodość spędził w Porto Empedocle, pierwowzorze fikcyjnej Vigàty, miasteczka, w którym znajduje się kwatera główna komisarza: posterunek policji, w rzeczywistości Palazzo Municipio – budynek ratusza w Scicli. Dom Montalbano znajduje się w Punta Secca, rybackiej wiosce na południowym wybrzeżu Sycylii. Mieszkanie położone jest tuż nad plażą, ma wielki taras i zejście na plażę. Na tym tarasie z widokiem na morze komisarz odbywa poranne seanse pływania, pije kawę, odbiera telefony i jada kolacje przyrządzone przez gosposię Adelinę. I nigdy nie ma problemu ze znalezieniem miejsca parkingowego dla swego starego Fiata Punto... Któż nie chciałby tak samo, tylko bez ścigania mordercy? Wszystko możliwe, bo apartament można wynająć w systemie B&B, więc kawa także będzie dostarczona. Niestety, wszędzie wokół pełno turystów, którzy podróżują do Punta Secca właśnie po to, żeby zobaczyć miejsca z ukochanego serialu. Pusta plaża nie jest już pusta, podobnie trattoria Enzo a Mare, gdzie w południe Salvo Montalbano jadał obiady, często w towarzystwie pięknych kobiet.

Cudowne miasteczka Sycylii musiały podzielić się między sobą zaszczytem wystąpienia w serialu, ale widz nie ma wrażenia, że coś się tu nie zgadza. Serialowa Vigata to częściowo Ragusa, a częściowo Modica i Ragusa Ibla – wszystkie trzy w 2002 r. wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Przyjemność obcowania z Sycylią dają nie tylko zabytki, lecz także krajobrazy, wąskie, asfaltowe i piaszczyste drogi otoczone charakterystycznymi kamiennymi murkami, oliwkowe i migdałowe gaje, plaże, winnice, stare domy. Również kuchnia – to osobny temat, który ma osobny wątek nie tylko w tym, lecz także w innych włoskich serialach.

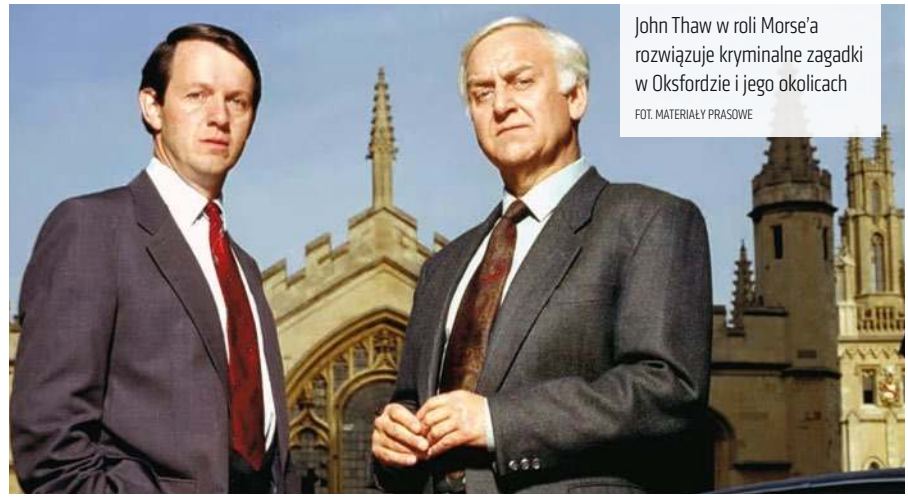


Benjamin Wainwright jako komisarz Maigret prowadzi widza śladami paryskich zbrodni FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIATR, DESZCZ, ZIMNO

Zupełnie odmienne klimaty znajdzie czytelnik i widz w powieściach kryminalnych Henninga Mankella. W odróżnieniu od kleconych naprędce amatorskich historyjek, którymi amatorzy łatwych pieniędzy karmią niewybrednych czytelników, Mankell to literatura najwyższych lotów. Szwecja w jego powieściach daleka jest od stereotypowej krainy szczęśliwości i dostatku, za którą zwykliśmy ją uważać. To kraj smutku, samotności, starości, rozwodów. I zbrodni oczywiście. Ponura, wietrzna pogoda, zimno, deszcz, śnieg, czyli idealna aura dla morderstw. Na ich tropie komisarz Wallander, sfrustrowany, ponury rozwodnik, detektyw policji w Ystad, przemierza przestrzenie sosnowych lasów, wysp, skalistych wzgórz, pustych plaż.

Opowieści Mankella filmowano kilkakrotnie. W dziewięciu wersjach grał Rolf Lassgård i on nadal przez wielu Szwedów uważany jest za jedynego „prawdziwego" Wallandera. W 13 zagrał Krister Henriksson, natomiast w brytyjskim wariancie przygód policjanta, kręconym przez BBC w Ystad, występuje Kenneth Branagh, który słucha muzyki operowej i jeździ Volvo. Z tych trzech ekranizacji do mnie najbardziej przemawiają książki i jak każdy, kto czytał Mankella, mam



John Thaw w roli Morse'a rozwiązuje kryminalne zagadki w Oksfordzie i jego okolicach FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8823c38a33

w wyobraźni własnego, nie filmowego Wallandera...

Gotowych przemierzyć Szwecję śladami Wallandera jest wielu. Moi angielscy kuzyni odbyli taką wycieczkę i fascynacja Mankellem utrwaliła się w nich. Blogerka i fanka Wallandera Marta Matuszczak zadała sobie trud odnalezienia w Ystad miejsc, o których mowa jest w książkach i filmach. Znalazła ich sporo. W ystadzkim Konstmuseum BBC kręcono sceny do odcinka pt. „Fałszywy trop", w którym



Gotowych przemierzyć Szwecję śladami Wallandera jest wielu. Na zdjęciu: Kenneth Branagh FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Luca Zingaretti jako Salvo Montalbano w sycylijskim krajobrazie FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Erika Carlman została zabrana do szpitala po tym, jak próbowała popełnić samobójstwo… W cukierni Fridolfa, gdzie Wallander zatrzymał się na kawę w książce „Mężczyzna, który się uśmiechał", serwują ciastko Wallandera... Księgarnia na rynku, ratusz, hotel Continental…

Ci, którzy nie znoszą kryminałów epatujących wulgarnym językiem, krwawymi jatkami i pościgiem samochodów, będą zachwyceni serialem „Vera", oczywiście brytyjskim; po Anglikach spodziewajmy się tutaj najlepszego. Należę do fanów tytułowej bohaterki, nadkomisarz Very Stanhope. Realizatorom najwyraźniej udał się zamiar stworzenia bohaterki innej niż stereotyp policjanta. Vera to pani ok. pięćdziesiątki, singielka, źle ubrana (zawsze w tym samym brzydkim płaszczu), trochę za gruba i nie zawsze sympatyczna dla współpracowników. Ale co tam wygląd, jak się posiada niezwykłe umiejętności: logiczne myślenie, spostrzegawczość, umiejętność interpretacji pozornie nieistotnych szczegółów. Oprócz tego, bo trochę sympatii musi jednak w Verze być, ma wielkie, czułe serce.

Główne wątki oglądamy na tle malowniczych widoków hrabstwa Northumberland, Newcastle i północno-wschodniej Anglii. Trochę podobnie jak u Mankella: wietrzne, mgliste, północne klimaty. Miejscówki zmieniają się w zależności od odcinka. W jednym jesteśmy nad morzem, w innym przeszukujemy lasy, to znów wpadamy na wyspę rezerwat ptactwa. Blyth to okolica trochę opuszczona, turbiny wychodzące na morze, kanciasty, metaliczny, ale nastrojowy świat. Silent Voices wybrano ze względu na jego naturalne piękno i rzekę.

UROKI ŚNIEGU I PUSTYCH DRÓG

Na szczęście nie wszystkie amerykańskie seriale dzieją się w Kalifornii. Dzięki temu widzowie mogą zaznać turystyki kanapowej i popatrzeć, co się dzieje w innych stanach. Bracia Coen mają swój fanklub, do którego nie należę, choć przyznaję obu panom duży talent, ale nie bawi mnie mielenie ciała w maszynce do mięsa. Za dużo makabry.

Jednak trudno nie ulec czarowi zasypanej śniegiem Minnesoty, widokom aut brnących przez zaspy w słabym, żółtawym świetle reflektorów przeciwmgielnych. Siedząc w ciepłym mieszkaniu, cieszymy się, widząc bohaterów w puchówkach otrzepujących buty ze śniegu (serial wylansował buty firmy Sorel) i chuchających w dłonie. Widać, że zima jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa, przynajmniej w Kanadzie. Do tego Frances McDormand jako policjantka w zaawansowanej ciąży walcząca z przestępcami. Skąd zdobyli ten śnieg, można się zapytać. Serial kręcono wokół kanadyjskiego Calgary, miejscu zimowej olimpiady w roku 1988 r. To jedna z tych opowieści amerykańskiej prowincji, gdzie pod powłoką zwyczajności i nudy kryją się zawikłane ludzkie historie. Kto nie lubi zimna, niech jedzie tam w lecie.

Do stanu Teksas możemy wpaść na chwilę z odwiedzinami u bohaterów miniserialu „Love & Death". Miłość i śmierć. To całkiem świeża dostawa Netflixa i prawdziwa historia – 13 czerwca 1980 r. Candy Montgomery z Teksasu za pomocą siekiery zabiła swoją sąsiadkę i przyjaciółkę Betty Gore. Nie ma tu zapierających dech krajobrazów, siedem odcinków serialu dzieje się we wnętrzach, w domu, w kościele, w samochodach. Ale dla kogoś, kto chciałby zobaczyć jeszcze jedną wersję słynnych amerykańskich przedmieść, które tyle razy grały w filmach, to świetna okazja. W układnym, dostatnim życiu czyha wcale nieukładna historia. Wnętrza z przełomu lat 70. i 80. także mogą być zachęcającym kąskiem.

Od premiery „Breaking Bad" minęło 10 lat – dla młodszych widzów to wieczność. Na pocieszenie długiego oczekiwania fani otrzymali trochę mniejszy, ale równie świetny spin-off „Zadzwoń do Saula" z niezrównanymi Bobem Odenkirkiem i Jonathanem Banksem. „Zadzwoń do Saula" wielu krytyków uznało za najwybitniejszy serial w ogóle; osobiście podpisuję się pod tą opinią. Poza wspaniałą grą aktorską oba filmy fundują nam darmowe zwiedzanie stanu Nowy Meksyk. Czyli coś, na co pewnie niewielu turystów by się zdecydowało. Nie ma tu historycznych miejsc, współczesne budowle są raczej brzydkie, za to krajobrazy wspaniałe.

Puste drogi – czy tam naprawdę przez pół dnia nic nie jedzie?

Nie mogłam w to uwierzyć, ale mogą się państwo przekonać.

Można oglądać miejsca, gdzie robiono zdjęcia. Największą atrakcją dla fanów jest dom głównego bohatera Waltera White'a. Tyle że obecni właściciele nie są zachwyceni licznymi wizytami turystów. Proszą, żeby oglądać dom z drugiej strony ulicy albo zainteresować się innymi obiektami, jak dom Hanka i Marie, szkoła, w której uczył Walter, dom Jesse'ego…

Tych, których te niezbyt urodziwe obiekty nie zainteresują, z pewnością zachwycą widoki pustyni, gdzie rozegrało się wiele dramatycznych scen serialu. Wydmy piaskowe, przez które błądzi Saul, skaliste kaniony, stacja benzynowa jak z obrazu Hoppera.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33

Bilet w jedną stronę



Krzysztof Masłoń

Decyzja Barbary Nowackiej wciąż kierującej resortem edukacji narodowej, o uczynieniu przedmiotu nazwanego edukacją zdrowotną obowiązkowym od 1 września bieżącego roku, jest kwintesencją poczynań tej pani, której każde, ale to każde rozporządzenie poświadcza to jedynie, że nie ma pojęcia o tym, jak ważnym resortem przyszło jej zarządzać, za to sprawując swoją funkcję, zachowuje się niczym słoń w składzie porcelany.

„Dwie godziny religii to przesada" – stwierdziła np. ta ministra z tuskowego nadania z dozą pewności siebie równą bezczelności, czyli innymi słowy mówiąc, z charakterystyczną dla jej formacji politycznej hucpą. I dodała: „Moja propozycja będzie polegała na ograniczeniu lekcji religii do jednej godziny płatnej z budżetu państwa; jeżeli będzie decyzja samorządu, rodziców, że chcieliby tych godzin więcej, będzie to ich decyzją, także finansową".

Idąc tym tropem myślenia, należałoby zaproponować zwolennikom edukacji zdrowotnej z seksem w tle sfinansowanie tych zajęć, włącznie z opłaceniem edukatorów. Doprawdy nie ma powodu, by za ich wytężoną pracę płacił Skarb Państwa.

W nowoczesnej szkole, zreformowanej przez Barbarę Nowacką zgodnie z drogowskazami, które wskazuje „Kompas Jutra", jak bombastycznie nazwała wprowadzane przez nią zmiany wywracające oświatę do góry nogami, jak najwięcej lekcji odbywać się będzie, jak to ujęła, „na świeżym powietrzu". Dociekliwy redaktor Rymanowski zainteresował się wprawdzie tym, jak te lekcje wyglądać będą zimą, ale wątpliwości rozwiała wszechwiedząca krynica mądrości z Alei Szucha, posługując się własnym przykładem, jako że biega ona bez opamiętania, niezależnie od warunków atmosferycznych. To, zdaje się, Antoni Słonimski, kiedy przedstawiono mu wybitnego sportowca biegającego właśnie, zaciekawiony jął dopytywać się: A w którą stronę? No cóż, nim pani Nowacka z koleżankami wychowa nam pokolenie Forrest Gumpów, zauważmy, że nadchodzą trudne czasy dla siatkówki, ministra bowiem stwierdziła, że przydatność tej gry w nauczaniu szkolnym jest problematyczna, jako że młodzież podobno się do niej nie garnie. Oczami wyobraźni widzę więc już lekcje np. curlingu, odbywające się na świeżym powietrzu, no i edukację seksualną na łonie natury, a jakże.

Nowacka, rzekomo dlatego, że „nie chce politycznej awantury", uspokaja opinię publiczną, wyjaśniając – cytuję: „Przedmiot będzie składał się z dwóch przedmiotów, czyli przedmiotu edukacja zdrowotna takiego, jakim jest, i nieobowiązkowego przedmiotu, który będzie prawdopodobnie około jedną dziesiątą całości przedmiotu dotyczącego wiedzy o zdrowiu seksualnym". Słowem, pełno nas, a jakoby nikogo nie było. Ot tak niezobowiązująco poopowiadamy dzieciom o seksie, o tym, że homoseksualizm jest nie gorszy, a może i lepszy niż heteroseksualizm, edukatorzy podzielą się swymi bogatymi doświadczeniami, popytają się dziatwy, jak często się masturbuje, rozdadzą broszurki propagujące LGBT, jakoś te 45 minut zleci i można już będzie udać się do kasy.

To, że na zajęcia z edukacji zdrowotnej, gdy były jeszcze nieobowiązkowe, uczęszczało zaledwie 30 proc. uczniów, nie było istotne. Jak przedmiot stanie się obowiązkowy, to i frekwencja się poprawi. Zresztą, o czym przypomina Barbara Nowacka, treści odnoszące się do seksu znajdowały się wcześniej w programie przedmiotu pod nazwą wychowanie do życia w rodzinie, a wtedy prawie nikomu to nie przeszkadzało. Sęk w tym, że to nie o co innego, a o tę rodzinę chodzi. Jeśli dobrze pamiętam, to Konstytucja RP mówi o tym, że „małżeństwo, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej". Konstytucja nie rozciąga jednak tej ochrony i opieki na społeczności LGBT. Pani Nowacka wie jednak lepiej. Tak jak posiadła większą niż przeciętna wiedzę historyczną („na terenie okupowanym przez Niemcy polscy naziści zbudowali obozy") i literaturoznawczą (do lektur „w ostatnich latach powkładano poezję niejakiego Rymkiewicza"), tak i teraz przekonuje, że na niczym jej tak nie zależy jak na wychowaniu zdrowej generacji dzieci i młodzieży. A edukacja zdrowotna obejmuje wszak np. higienę. Czy ktoś jest przeciwny temu, by przypominać małolatkom, by myły rączki. W końcu już Rysiek z „Klanu" wbijał to do główek swoim pociechom.



Ilustracja „Balladyny" Juliusza Słowackiego FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Tak jest, w zdrowym ciele zdrowy duch, a bez dobrego seksu nie ma dobrego życia. Uczniowie nieprzeciążeni obowiązkami szkolnymi, zwolnieni z zadawanych im strasznych prac domowych i z czytania kobylastych lektur będą oddawać się do woli temu, co lekkie, łatwe i przyjemne. Odnośnie do lektur, to trwają obecnie zażarte dyskusje, czy przez całą szkołę podstawową mają przeczytać trzy czy cztery pozycje. Przeważa opcja pierwsza: z „Balladyną", II częścią „Dziadów" i „Kamieniami na szaniec". Z czasem – sądzę – i te tytuły okażą się zbyteczne. Bo i na co one komu w dobie sztucznej inteligencji?

Będzie sześć lat temu, jak bohaterka tego tekstu odznaczona została przez francuskiego ambasadora w Polsce Frederica Billeta Orderem Narodowym Zasługi za docenioną nad Sekwaną „odwagę i konsekwentne działania w walce o prawa kobiet". Podobne odznaczenie za walkę o prawa dzieci do beztroskiego czy, jak kto woli, bezmyślnego dzieciństwa ma Barbara Nowacka jak w banku. Wraz z bonusem w postaci, nomen omen, biletu. Tylko proszę pamiętać, ma to być one way ticket. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33

Jedyny taki Rambo



Piotr Gociek

Zwykle to lewica odbiera prawicy znanych bohaterów i przerabia ich na swoją modłę. W przypadku Johna Rambo było odwrotnie



Rambo stał się ikoną kina lat 80. oraz symbolem dekady prezydenta Ronalda Reagana, który wydał wojnę komunizmowi na całym świecie FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Film „Rambo – pierwsza krew" („First Blood") wraca do kin. Ale w przypadku Polski to powrót nietypowy, bo ponowne spotkanie nie tyle z klasyką sprzed lat, ile legendą podziemnego rynku kaset wideo. W pierwszej połowie lat 80. oglądałem – i jest to doświadczenie dla mego pokolenia wspólnotowe – pierwsze dwa filmy o Johnie Rambo na kopiach VHS kiepskiej jakości. Przechodziły z rąk do rąk, pożyczane, kopiowane i znów oglądane, aż obraz na kineskopowych telewizorach stawał się niemal całkiem zatarty.

W odróżnieniu od filmów pokazywanych na konwentach miłośników fantastyki, którymi raczej nikt z aparatu władzy PRL się nie przejmował, z „Rambo" (zwłaszcza z filmem „Rambo II") trzeba było uważać, podobnie jak z tymi filmami o Jamesie Bondzie, w których przetrzepywał skórę Rosjanom. Starcie mocarstw w wersji popkulturowej bywało więc raczej obserwowane w zaciszu domowym, a nie na publicznych przeglądach czy konwentach. Nie zmienia to faktu, że oglądany w kinach „Rocky" i na nielegalu „Rambo" budowały legendę Sylvestre'a Stallone'a jako twardziela nad twardzielami. A po „Rockym IV" i „Rambo II" oraz „Rambo III" także legendę bojownika przeciw komunizmowi. Wszak jako bokser Stallone triumfował nad Ivanem Drago, a w kontynuacjach „Rambo" niemiłosiernie tłukł czerwonych w Wietnamie i w Afganistanie.

ODEBRANE DZIECKO

A przecież zaczęło się zupełnie inaczej. Powieść „Pierwsza krew" („First Blood") Davida Morrella ukazała się w 1972 r. i nikomu wtedy nie przychodziło do głowy, że może być to początek zyskownej kinowej franczyzy. Nie tylko dlatego, że główny bohater umierał. Także dlatego, że była to opowieść radykalnie antywojenna, wpisująca się w ducha czasów, to znaczy kontrkultury, dzieci kwiatów, rozczarowania wojną w Wietnamie i uszyta z traumatycznych przeżyć młodych Amerykanów, których Morrell spotykał jako studentów (sam był wtedy wykładowcą akademickim).

Miałem okazję poznać Davida Morrella w 2001 r., kiedy przyjechał do Polski na zaproszenie wydawnictwa Amber. Nagranie kilku zdań dla radia zajęło parę minut, resztę umówionej godziny spędziliśmy w kawiarni Hotelu Bristol, gawędząc o literaturze i sztuce pisania – i było to jedno z najciekawszych spotkań z pisarzami, jakie mi się przydarzyło. Morrellowi nie uderzyła do głowy woda sodowa, a przecież był wtedy autorem wielu bestsellerów wydawanych w kilkudziesięciu językach świata.

Był doskonale świadomy gry, w jaką gra, a właściwie podwójnego życia, jakie prowadzi. Z jednej strony był i jest wybornym znawcą literatury (nie tylko amerykańskiej), profesorem uniwersyteckim. Z drugiej – autorem popularnych i ekranizowanych thrillerów, który doskonale rozumie potrzeby masowego czytelnika i potrafi je zaspokajać. Przychodzi mi do głowy porównanie z Borisem Akuninem, który jako Grigorij Czchartiszwili był wyrafinowanym eseistą i tłumaczem, cenionym historykiem i redaktorem, a pod pseudonimem Akunin dał się poznać światu jako autor niesłychanie popularnych powieści

eprasa.pl 8823c38a33

o Eraście Fandorinie. Tyle że Morrell nie wymyślał na potrzeby kariery paperback writera nowego nazwiska.

Wiwisekcji klasyki uczył się od Philipa Younga, znanego badacza twórczości Ernesta Hemingwaya, a pisania – od Philipa Klassa, którego znamy, także w Polsce, głównie pod pseudonimem William Tenn. Ciekawostka dla miłośników fantastyki – Philip Klass był także bliskim przyjacielem zmarłego przedwcześnie Cyrila M. Kornblutha i miał wielki wpływ na jego styl.

Tak czy inaczej, gdy na początku lat 70. XX w. David Morrell pisał swoją debiutancką powieść „Pierwsza krew", był myślami w liberalnym mainstreamie ówczesnej Ameryki. Książka nie miała być pochwałą hasła „wojsko zrobi z ciebie człowieka" (czy – nie daj Boże – bohatera), lecz wręcz przeciwnie, opowieścią o głęboko nieszczęśliwym, połamanym wewnętrznie młodym człowieku, którego zniszczyła wojna, który jest dotknięty głębokim syndromem stresu pourazowego. John Rambo w powieści jest zabawką w rękach cynicznych polityków, którzy posłali dziecko na front, a po powrocie umyli ręce, traktując go jak zepsutą zabawkę. Czyny, których się dopuszcza, są w książce dużo bardziej krwawe niż w wersji filmowej, bo po prostu wchodzących mu w drogę policjantów zabija. Lewicowa publika składałaby ręce do oklasków, jednak producenci z Hollywood wiedzieli, że to nie przejdzie, że tak się pieniędzy nie zarobi. Zatem na potrzeby ekranizacji fabułę złagodzono. No i co najważniejsze – John Rambo przeżył. Otrzymał nadzieję na spokój ducha i odkupienie.

Gdy rozmawialiśmy w Warszawie o serii filmów „Rambo", David Morrell rozkładał ręce. „Jestem ojcem tej postaci, ale mi ją odebrano" – mówił. Nie tyle z żalem, ile raczej wskazując i akceptując stan rzeczy. Owszem, napisał potem nowelizacje scenariuszy sequeli, ale to już była tylko robótka na zlecenie, dla dużych pieniędzy. Takie jest Hollywood. Wola pisarzy znaczy niewiele. Żeby było jasne: „Pierwsza krew" to dobra powieść. I sprawdza się po latach na takich warunkach, jakie postawił autor: jako ponura, poruszająca opowieść o potrzaskanym psychicznie dzieciaku, który nie ma żadnej przyszłości, bo jest przez okropieństwa wojny odmieniony nieodwracalnie. Bywała tuż po premierze krytykowana za nadmierne okrucieństwo, ale takie przecież było przesłanie skierowane do władzy: stworzyliście potwora, stworzyliście wściekłego psa, którego teraz można jedynie uśpić.



REŻ. TED KOTCHEFF „RAMBO: PIERWSZA KREW" USA 1982

NARODZINY BOHATERA

Wszystko to nie zmienia faktu, że dzięki kinu John Rambo dostał nowe, inne życie. Ale łatwo nie było. Najpierw długie perypetie związane z produkcją pierwszego filmu: spory o obsadę, kłótnie o ostateczny kształt scenariusza, o zakończenie. Potem fenomenalny sukces, bo film Teda Kotcheffa zarobił niemal 10 razy tyle, ile kosztował. To oznaczało, że producenci dostali do ręki maszynkę do zarabiania pieniędzy. I nie wahali się jej użyć. Drugi film, z roku 1985, zarobił 300 mln dol. w kinach (kosztował ledwie 25 mln). Stał się trzecim najchętniej oglądanym filmem roku na całym świecie. Reżyserem był George P. Cosmatos. Trójkę w roku 1988 wyreżyserował Peter MacDonald i też skończyło się sukcesem kasowym.

Rambo stał się ikoną kina lat 80. oraz symbolem dekady prezydenta Ronalda Reagana, który wydał wojnę komunizmowi na całym świecie, a przede wszystkim Imperium Zła, czyli sowieckiej Rosji. Nie lekceważmy też faktu, że masowo oglądane filmy z tej serii leczyły traumy amerykańskiej publiczności. Biczowana przez lata filmami o klęsce w Wietnamie w „Rambo II" oglądała zemstę na komunistycznych Wietnamczykach i ich rosyjskich pomagierach/nadzorcach. „Rambo III" wymazywał traumę wietnamską, pokazując, że przeszłość już jest nieważna, że teraz Sowieci mają swój Wietnam w Afganistanie (i oczywiście trzeba miejscowym pomagać w zwalczaniu rosyjskich interwentów).



Powieść „Pierwsza krew" Davida Morrella ukazała się w 1972 r. Dzięki kinu John Rambo dostał nowe, inne życie FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wszelkie ślady wątpliwości i dwuznaczności z pierwszego filmu zostały zapomniane, Rambo był wielkim bohaterem Zachodu w walce z siłami zła. I choć pozostawał w cieniu przez kolejne dwie dekady, to gdy powrócił do kin w roku 2008, znów był po właściwej stronie. Bohater kina akcji tym razem ratował chrześcijańskich misjonarzy w Birmie, porwanych przez miejscową soldateskę. Owszem, przypominano czasem, że John Rambo to człowiek, którego nie opuszczają duchy przeszłości, ale wyglądało na to, że pozostaje w stanie wygodnego (dla producentów kolejnych sequeli) stanie zawieszenia, próbując szukać spokoju ducha jako zwykły mieszkaniec Tajlandii. Z tego stanu zawieszenia wytrącały go propozycje kolejnych misji. Ale pod wpływem słów jednej z bohaterek filmu „John Rambo" (Sarah Miller) porzuca wygnanie i wraca do domu.

OSTATNIA KREW

Mija kolejna dekada i w filmie „Rambo: Ostatnia krew" (2019) okazuje się, że teraz trzeba bronić domu na amerykańskiej ziemi. Orgia przemocy rozpętana przez meksykańskie kartele narkotykowe po amerykańskiej stronie granicy dotyka także naszego bohatera. John Rambo znów więc musi wymierzyć sprawiedliwość. Historia, która zaczęła się w Ameryce, dobiega końca w Ameryce – wojny prowadzone bywają daleko albo całkiem blisko, ale zawsze najważniejsze są te, które toczymy z własnym sumieniem.

Ostatnia odsłona cyklu „Rambo" była przedsięwzięciem nierównym, ale rzeczywiście dawała poczucie domknięcia pewnej ery. Trochę szkoda, bo kino znów dziś potrzebuje bohaterów, którzy grają po właściwej stronie. Łotrów do pokonania nie ubywa. Niektórzy mówią nawet tymi samymi językami co dawniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Ile jesteś wart?



★★★★★★

REŻ. JONAH HILL
„OUTCOME"
USA 2026

wyst. Keanu Reeves, Cameron Diaz, Jonah Hill

Najpopularniejszy aktor świata wraca do zawodu po pięciu latach. Oficjalnie – odpoczywał. Nieoficjalnie – był na odwyku z powodu uzależnienia od heroiny. Jego wielki comeback staje nagle pod znakiem zapytania, gdy tajemniczy szantażysta żąda grubych milionów za kompromitujące nagranie wideo. Prawnik radzi: dopóki nie namierzymy sprawcy, dopóty lepiej zawczasu poprosić o wybaczenie wszystkich, którym mogłeś zaleźć za skórę. Reef Hawk (Keanu Reeves) rusza więc na pielgrzymkę po dawnych kochankach, przyjaciołach i współpracownikach.

Jeśli miała to być satyra na Hollywood, to jest zbyt łagodna, o wiele celniejsze żarty znaleźć można było w serialu „Studio".

Jeśli kolejna okazja do rozczulania się mieszkańców fabryki snów nad swym ciężkim losem – to ciekawszy był „Jay Kelly" Noaha Baumbacha. Jako kpina ze współczesnych superprodukcji i supergwiazdorów lepiej z kolei sprawdzał się serial HBO „Franczyza". Reef Hawk jest po prostu dupkiem, który nigdy nie zwracał uwagi na uczucia innych ludzi, trudno więc z nim sympatyzować.

Reżyser filmu, Jonah Hill, obsadził się w roli oślizłego i cynicznego prawnika, który wydaje się jednak tylko echem Ariego Golda, agenta gwiazd z Ekipy", i cieniem ekscentrycznego producenta granego przez Toma Cruise'a w „Jajach w tropikach".

Co działa na korzyść „Outcome"? Dobrze jest zobaczyć rzadko występującą na ekranie Cameron Diaz (gra najlepszą przyjaciółkę Reefa). Bardzo zabawna jest także scena, w której prawnik zwołuje sztab kryzysowy składający się ze specjalistów od antysemityzmu, molestowania seksualnego i rasizmu (nie wie jeszcze, co znajduje się na kompromitującej taśmie, więc stara się przygotować na wszystko). Najlepsze minuty filmu to te, w których pojawia się Martin Scorsese, grający spłukanego menedżera, który pomógł kiedyś małemu Reefowi rozpocząć karierę. Bohater grany przez Scorsesego wydaje się jedyną prawdziwą postacią w tej paradzie bohaterów nijakich lub papierowych (jak niesłychanie irytujący Xander, przesadnie gejowski druh Reefa).

Film byłby dużo lepszy, gdyby skończył się kilka minut wcześniej, gdy Reef odkrywa, co kierowało jego szantażystą. Ale terror szczęśliwych zakończeń na to nie pozwala. Czasy, gdy Robert Altman w „The Player" potrafił pokazać naprawdę czarną satyrę na Hollywood, należą do przeszłości. ©℗

GRA TYGODNIA: „DARWIN'S PARADOX"

Pomysł stworzenia platformówki, w której wcielamy się w ośmiornicę, przemierzającą wysypiska śmieci, fabryki itp., to tylko z pozoru kompletne szaleństwo w świecie, w którym „symulator kozy" doczekał się kilku części. Tutaj jest pewien niedosyt, bo macki i inne zdolności stworzenia, którego los jest w rękach gracza, mogłyby być lepiej wykorzystane. Ale przyznać trzeba, że poziomy zaprojektowane są całkiem nieźle, a gra może się podobać pod względem oprawy.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Coś innego. Może nie z górnej półki, ale z dna oceanu też nie. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *platformowa*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, NS2, PC*
- ***Producent, wydawca:*** *ZDT Studio, Konami*

eprasa.pl 8823c38a33

Śmierć w Amsterdamie

KINO



★★☆☆☆☆

REŻ. SOPHIE HYDE
„MÓW MI JIMPA” („JIMPA”)
AUSTRALIA/ FINLANDIA/ HOLANDIA 2025

wyst. Olivia Colman, John Lithgow, Aud Mason-Hyde

Myślicie, że LGBT i wartości rodzinne wykluczają się nawzajem? Film Sophie Hyde przekona was, że bynajmniej. Tytułowy Jimpa jest weteranem walk o prawa homoseksualistów. Zwyciężył i poczuł się jak ryba wyjęta z wody. Rewolucja obyczajowa na szczęście swoich dzieci nie pożera, lecz bezlitosny PESEL dopada każdego. Nowa generacja traktuje Jimpę z szacunkiem należnym eksponatowi z muzeum demokracji liberalnej, lecz uważa jego poglądy za przedpotopowe. Czy człowiek z tytułem profesorskim, który ma problemy z rozróżnieniem 70 płci, bez entuzjazmu przyjmuje seksualne eksperymenty młodzieży i jej awersję do jednoznacznych deklaracji, w XXI w. może nadal uchodzić za autorytet? Oczywiście nie może. Pozostaje mu tylko stroszyć piórka w gronie podobnych sobie dinozaurów z nostalgią wspominających epokę AIDS i prześladowań kochających inaczej.

Film jest poniekąd autobiograficzny, ojciec reżyserki tak samo jak Jimpa porzucił zacofany kraj kangurów i prysnął do Europy, gdzie wyoutowany inteligent nie tylko mógł oddychać swobodniej, lecz także zrobić karierę naukową. Pechowym zrządzeniem losu wcześniej, będąc jeszcze w fazie hetero, ożenił się z kobietą i spłodził potomstwo. Zdaje się, że Sophie nigdy nie wybaczyła tacie porzucenia rodziny, gdyż ekranowy profesor jest doprawdy obleśny. Trudno zrozumieć, dlaczego ludzie lgną do tego samoluba, złośliwca i hedonisty. John Lithgow (aktor moim zdaniem przehajpowany) nie raczył wyposażyć profesora choćby w odrobinę charyzmy, która cechuje co lepiej wymyślonych łotrów z hollywoodzkiego kina akcji. Gdyby Jimpa był hipokrytą, mielibyśmy przynajmniej jakiś konflikt. Niestety, Hyde i jej filmowe alter ego Hannah unikają sporów jak diabeł święconej wody.

Fabuła, pozbawiona ikry, wprawia widza w stan odrętwienia. Próba ogrywania legendy Amsterdamu – mekki wolnomyślicieli – też wypadła blado. Lata temu pewien Holender objaśnił mi, że przypisywana jego rodakom tolerancja w rzeczywistości jest obojętnością, zmieszaną z pogardą dla cudzoziemców, łaknących wszetecznych rozrywek i zakazanych używek. Decyzja o przeniesieniu dzielnicy czerwonych latarni na obrzeża metropolii nie wzięła się znikąd. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

JEDZIESZ, KARAJAN!

Dwaj bracia wychowali się osobno, nie wiedząc o swoim istnieniu. Starszy został cenionym dyrygentem i kompozytorem w Paryżu. Młodszy, z pozoru gbur i prostak, pracuje w podrzędnej jadłodajni w upadającej mieścinie. Piłka nożna go nie kręci, więc w wolnych chwilach gra na puzonie. Muzyka łagodzi obyczaje, ale różnica charakterów i sytuacji życiowej sprawia, że panom trudno jest się dogadać. „Wysokie i niskie tony” – jak na komediodramat przystało – bawią, wzruszają oraz trochę zaskakują. Nie sądziłem, że Polihymnia i Euterpe mają we Francji tylu fanatycznych wyznawców. Ścieżka dźwiękowa filmu Courcola jest eklektyczna: oferuje miks klasyki, popu, rapu, jazzu, a nawet amerykańskiego country. Zawodowych aktorów wspierają symfonicy tudzież orkiestra górnicza. To kolejny argument, przemawiający za powrotem do węgla. ©℗



CANAL+ ONLINE

★★★★★☆

REŻ. EMMANUEL COURCOL
„WYSOKIE I NISKIE TONY” („EN FANFARE”)
FRANCJA 2024

wyst. Benjamin Lavernhe, Pierre Lottin, Sarah Suco



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Kozera śladami Czapskiego

GDZIE?
Warszawa, Kordegarda
KIEDY?
do 14 czerwca

Tytuł wystawy „Południk 21. Czapski – Kozera” brzmi egzotycznie, od razu kojarzy się z daleką podróżą, ale jest przewrotny. Nawiązuje bowiem do symbolicznej linii geodezyjnej przebiegającej tuż obok warszawskiej Kordegardy, w której oglądać można wystawę poświęconą Józefowi Czapskiemu, patronowi roku, i Grzegorzowi Kozerze, stypendyście NCK.

Dwóch artystów spotyka się symbolicznie w Warszawie. Mieście bliskim Józefowi Czapskiemu, w którym bardzo chciał po wojnie mieć swoją wystawę. Ekspozycja w NCK – na którą ściągnięto prace z ośmiu kolekcji – jest hołdem oddanym Czapskiemu, a przy okazji pokazuje jego twórczość z perspektywy drugiego artysty. Artysty, który jako stypendysta NCK wyruszył śladami Czapskiego do Argentyny. Owocem tej wyprawy są m.in. kolaże, które w Kordegardzie zestawiono z pracami Czapskiego. ©℗



FOT. GRZEGORZ KARKOSZKA/NARODOWE CENTRUM KULTURY

eprasa.pl 8823c38a33



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Życie z klasą

Po prawie 60 latach, w pełnej, nieocenzurowanej wersji wznowione zostały wspomnienia Stanisława Lama, redaktora i wydawcy, ważnej postaci nie tylko przedwojennego świata dziennikarskiego, lecz także – najogólniej rzecz ujmując – humanistyki polskiej. Ten redaktor naczelny wydawnictwa Trzaski, Everta i Michalskiego, kierując tą niezwykle zasłużoną oficyną, stworzył z niej instytucję pełniącą – jak pisał prof. Julian Krzyżanowski – „funkcję akademii nauk, wyręczając zarówno PAU [Polską Akademię Umiejętności] w Krakowie, jak i TNW [Towarzystwo Naukowe Warszawskie] w Warszawie".

Był pomysłodawcą popularnego miesięcznika „Naokoło Świata", współredagował „Tygodnik Ilustrowany" i „Dziennik Powszechny" oraz czasopisma naukowo-literackie, współpracował z różnymi edytorami, inicjując ważne serie wydawnicze, ale najważniejszą rolę odegrał jako encyklopedysta. Pracę nad „Nowym słownikiem języka polskiego" przerwała wojna.

Jesienią 1939 r. przedostał się z żoną do Rumunii, a następnie do Francji. Dwukrotnie był więziony w obozach, przez Włochów i Niemców. Po upadku Benita Mussoliniego schronił się w Alpach, gdzie w spartańskich warunkach wegetował przez pół roku, i wtedy właśnie spisał swoje wspomnienia. Nie miał żadnych przydatnych materiałów i książek; dysponował jedynie swoją pamięcią.

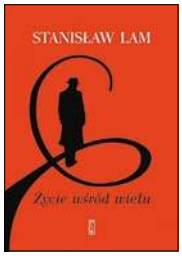
Po wyzwoleniu Francji sprawował funkcję kierownika Księgarni Polskiej w Paryżu. Nie zaniechał też działalności wydawniczej. Zmarł w 1965 r. w Paryżu, pochowany został na cmentarzu w Montmorency. W jego twórczym dorobku „Życie wśród wielu" zajmuje wyjątkowe miejsce. Te skrzące się anegdotami wspomnienia napisane są świetnym, barwnym językiem, a że nie stronią od bardzo osobistych, niekiedy nie do końca sprawiedliwych ocen, tym są ciekawsze dla czytelnika, który nie musi się zgadzać z autorem, ale wdzięczny mu będzie za przypomnienie dziesiątków, jeśli nie setek postaci dla historii i kultury polskiej mających nierzadko pierwszorzędne znaczenie.

Na przykład takich, jak Kornel Makuszyński, który – cytuję Stanisława Lama – „bawił się ułomnościami natury człowieczej tak bez zjadliwości i zgryźliwości, iż ułomności te cech karykatury, jakie nadawało im życie czy środowisko, wyzbywały się i stawały się śmieszne. Nie był np. antysemitą, ale taki komizm wydobył z żydowskich manier, z żydowskiej polszczyzny i całego »milieu«, że na wesoło zbudował wysoki mur odgraniczający społeczeństwo polskie od Żydów, walną usługę oddając zawodowym żydożercom. Nic bowiem nie zabija tak jak śmieszność, a Makuszyński Żydów polskich ośmieszył. Rzecz jednak stała się dziwna: nie stracił wśród nich poczytności".

A polityka, cóż, „jak ktoś słusznie powiedział – przypominał Stanisław Lam – nie zna ani wielkości, ani stanowiska, ani litości, ani względów, jest to smok, który chłonie szeroką paszczą, co mu się do niej nawinie". I tak wchłonął ów smok samego Ignacego Paderewskiego, „największego patriotę w dziejach Polski, niestrudzonego ofiarnika i wielkiego jałmużnika", którego począł nawet ośmieszać „nadworny poeta belwederski, przyjaciel adiutanta Piłsudskiego, Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego – Jan Lechoń, w swojej »Rzeczypospolitej Babińskiej«. Za tę chyba przysługę został potem radcą ambasady polskiej w Paryżu, innych bowiem kwalifikacji do tego urzędu nie posiadał. Paderewski, zniechęcony, zbyt szybko opuścił Warszawę – na zawsze. Na dworcu żegnało go zaledwie kilka osób".

W „Życiu wśród wielu" znajdziemy całą masę wtrętów antysanacyjnych, słów krytyki zarówno pod adresem piłsudczyków, jak i samego Józefa Piłsudskiego. Ale podkreślał, że to „w nim ucieleśniał się romantyczny ideał rycerza walki o wolność, a osoba jego stała się ośrodkiem, wokół którego skupiało się wszystko przejęte głębokim i szczerym patriotyzmem. Komendant Legionów, wódz w tylu bitwach i potyczkach, więzień Magdeburga!... Czyż to nie symbol Polski walczącej, któremu Polska wolna musi oddać rząd dusz i władzę nieograniczoną? Otrzymał też to Piłsudski bez sprzeciwu żadnego, w takiej jednomyślności, jakiej ziemia Polska w narodzie swoim nie widziała przez wieki".

Właśnie fragmenty wspomnień odnoszące się do Marszałka, obrony Lwowa, wojny polsko-bolszewickiej, a i tych pisarzy i ludzi nauki, którzy po drugiej wojnie światowej znaleźli się na emigracji, padły w wydaniu z 1968 r. ofiarą cenzury. Teraz możemy zapoznać się z pełnym tekstem dzieła opowiadającego o Polsce, która powstała z marzeń o niepodległości, odrodziła się niczym Feniks z popiołów, żyła krótko, bo ledwie 20 lat, i choć miała na swoim koncie błędy i grzechy, stała się zadziwiająco trwałym, pięknym mitem. Może dlatego, że żyli w niej ludzie z klasą. Tacy jak Stanisław Lam. ©℗



★★★★★

STANISŁAW LAM „ŻYCIE WŚRÓD WIELU"
PIW, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 8823c38a33



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

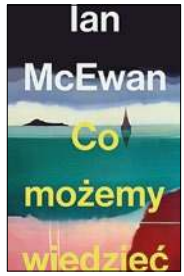
Przeciw przeszłości

Rewizjonistyczna i dekonstrukcyjna wydaje się z początku ta powieść, gdy tylko dotrzemy do końca, by odkryć sedno mistyfikacji, której byliśmy świadkami. Ale któż tu jest winien: bohater książki Thomas Metcalfe, któremu wydaje się, że jest na tropie rozwikłania zagadki z przeszłości, czy postacie z przeszłości, które ukrywały swoje motywy i niewygodną prawdę o kluczowych wydarzeniach. A może my, czytelnicy, którzy poddajemy się urokowi narracji. A jest przecież Ian McEwan narratorem wytrawnym, pisarzem nietuzinkowym, stylistą eleganckim.

Oto powieść katastroficzna, w której największą katastrofą (przynajmniej dla Metcalfa, badacza literatury) nie jest fakt, że świat zalały podnoszące się oceany i spora część cywilizacji poszła w drzazgi. Thomasa gnębi fakt, że kluczowe wydarzenia z biografii żyjącego 100 lat wcześniej poety Francisa Blundy'ego pozostają tajemnicą. Dlaczego nie zachował się poemat wygłoszony przy okazji pewnego rodzinnego spotkania? Czemu nikt wcześniej nie wpadł na trop „zaginionego arcydzieła"? Satyra na świat nauki jest tu bardzo subtelna, ale zarazem mordercza. Metcalf robi wszystko dokładnie tak, jak czynić powinien badacz poważny, sumienny, bardzo dociekliwy i obdarzony wyobraźnią zdolną do podpowiadania tropów nieoczywistych.

Niemal dwie trzecie powieści „Co możemy wiedzieć" to obraz tego literackiego śledztwa, w tle zaś – panorama postapokaliptycznej przyszłości. Nauka jednak przetrwała, tzn. przetrwały uniwersytety, przetrwali badacze, przetrwały kluczowe zasoby wiedzy. Tyle że humaniści głęboko są pogardzani, bo daleko im do sławy matematyków i fizyków. Część druga i ostatnia to nagła zmiana perspektywy. I już nie jesteśmy w roku 2119, lecz w roku 2014, a opowieść o tym, jak było, snuje żona poety, Vivian. Ta, dla której ponoć poemat był pisany, ta, na której urodzinach arcydzieło miało zostać zaprezentowane.

Obydwa te światy nie składają się w całość, pan badacz Metcalfe nie ma zielonego pojęcia, co wydarzyło się naprawdę. Czemu służy ta gryząca ironia? Jest przestrogą, byśmy nie przywiązywali wagi do przeszłości, bo nie jesteśmy w stanie dociec do prawdy? Niekoniecznie. Raczej byśmy uważali z jej mitologizowaniem. To nie dekonstrukcja ani oskarżenie. To przypomnienie, że pycha naukowców prowadzi na manowce. ©℗



★★★★★★

IAN MCEWAN „CO MOŻEMY WIEDZIEĆ" ALBATROS 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE



Autor znany m.in. ze świetnego „Bożego władztwa" o rządzeniu Rzymem w jego złotej epoce. Dobre uzupełnienie tomu „Pax Romana": Adrian Goldsworthy opisywał bowiem, jak powstały fundamenty tego systemu.

TOM HOLLAND „PAX" PIW



Zapomnijmy o koszmarnej ekranizacji, która była policzkiem dla miłośników literatury, wróćmy do źródeł. Klasyka powieści w nowym, nastrojowym przekładzie Jerzego Łozińskiego. Jeśli dbać o spuściznę, to właśnie tak.

EMILY BRONTË „WICHROWE WZGÓRZA" ZYSK I S-KA



Najświeższy numer pod znakiem powrotów: przypomniane poruszające opowiadanie Ziemkiewicza i całkiem nowy tekst Roberta Azembskiego, pamiętanego jeszcze za utwory z lat 80. Plus młodzi autorzy czescy.

KWARTALNIK „NASZA FANTASTYKA" NR 3/2025



Moda na nordic noir powoli przemija, ale autorka m.in. cyklu „Freyja i Huldar" wciąż pisze dobre książki (podobnie jak choćby Jo Nesbø). Piątka przyjaciół, jeden pogrzeb, podwójne morderstwo i początek nowej serii.

recenzuje Piotr Gociek

YRSA SIGURÐARDÓTTIR „ZŁE DECYZJE" SONIA DRAGA

KOMIKS TYGODNIA:
NARODZINY LEGENDY

Kilka dni temu (18 kwietnia) obchodzony był Dzień Supermana, upamiętniający debiut tego bohatera na łamach „Action Comics" w 1938 r. Po jaki tytuł warto sięgnąć z tej okazji? Może przewrotnie: w „All-Star Superman" przybysz z Kryptona odkrywa, że skazany jest na rychłą śmierć. Wcześniej dokonać chce jednak serii bohaterskich czynów, pożegnanie godne Człowieka ze Stali o żelaznych zasadach.



FRANK QUITELY, GRANT MORRISON „ALL-STAR SUPERMAN" EGMONT 2025

Piotr Gociek

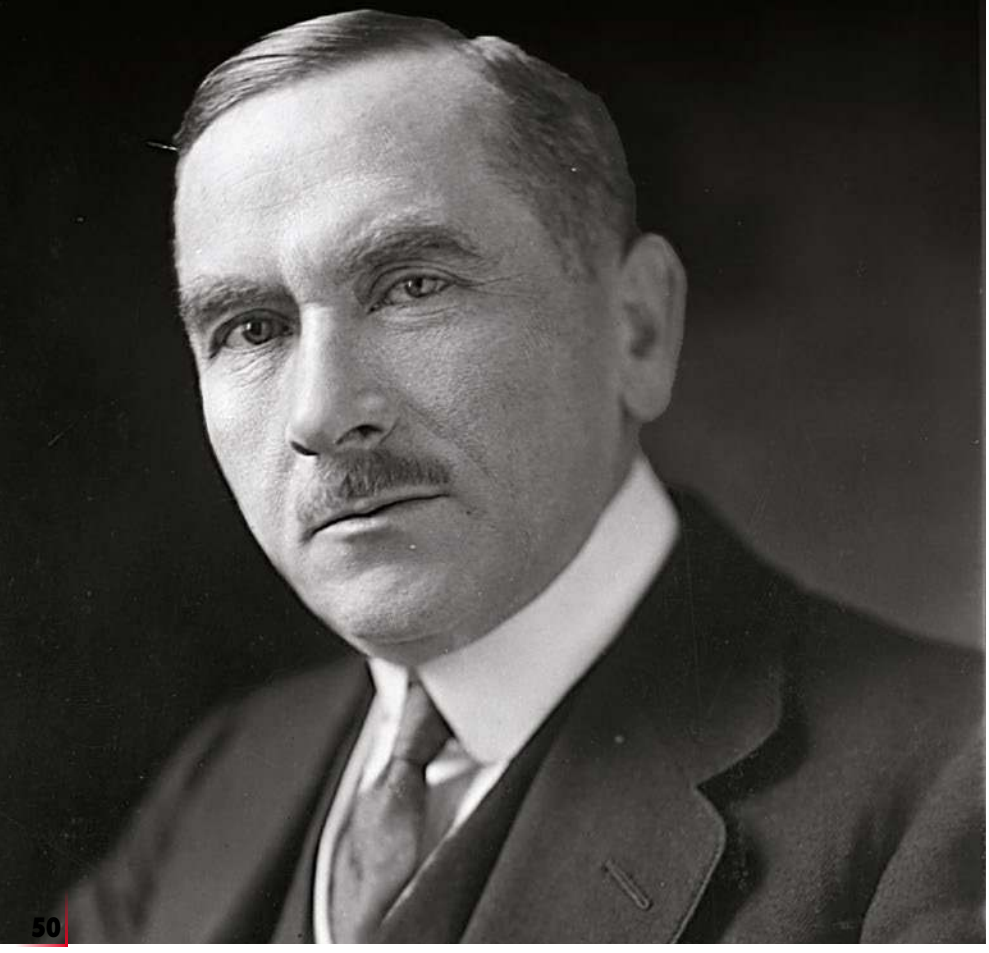
eprasa.pl 8823c38a33

Dmowski był kobietą!



Jan Fiedorczuk

„Zośka" i „Rudy" byli gejami nieświadomymi swej natury, Juliusz Słowacki w swych dziełach zakodował informacje o swej „prawdziwej" orientacji, a książki lidera endecji skrywają prawdę o zagadkowych żądzach polityka dotyczących „męskiej wspólnoty". To nie wymysły z czeluści lewicowego Internetu, tylko oficjalne publikacje naukowe. Niektóre z nich powstają nawet jako rozprawy doktorskie



FOT. LIBRARY OF CONGRESS

W słynnej scenie z „Seksmisji" bohaterowie filmu, próbując dowieść znaczenia mężczyzn dla świata, wymieniają kolejne historyczne postaci. Na te słowa zrywa się jedna z przedstawicielek feministycznego reżimu, grzmiąc na całą salę: „To kłamstwo, Kopernik była kobietą!". Ta scena staje mi przed oczami za każdym razem, gdy pojawia się kolejna „brawurowa" interpretacja rzeczywistości, a podstawowe fakty zostają postawione na głowie.

W ostatnich latach nastała w światku naukowym pewna moda na tego typu „demaskatorskie" prace. Od dawna podobne próby podejmowano w stosunku do Jana Bytnara („Rudego") i Tadeusza Zawadzkiego („Zośki"), którym „dowodzono" skrywany homoseksualizm. Kilka lat temu Wydawnictwo Krytyki Politycznej wydało utrzymaną w tym samym tonie książkę na temat rzekomo skrywanych sekretów Juliusza Słowackiego. Teraz przyszła pora na lidera endecji i jednego z ojców polskiej niepodległości.

„Nacjonalizm i tajemnica. O męskościach w prozie Romana Dmowskiego" – taki tytuł nosi debiutancka książka dr. Dezyderego Barłowskiego, historyka literatury zatrudnionego w Katedrze Teorii Literatury Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Publikacja jest książkową wersją rozprawy doktorskiej, a zatem przepustką autora do świata nauki, której powagę potwierdza swym autorytetem UJ.

Już sam tytuł wskazuje, że mamy do czynienia z „demaskatorską" pracą na temat Dmowskiego, w czym publikacja przywołuje na myśl niesławny pamflet Grzegorza Krzywca „Szowinizm po polsku" (2009). Autor „Szowinizmu..." manipulował na niespotykaną skalę, ale koniec końców podejmował tematy już wielokrotnie poruszane przez lewicowo-liberalnych historyków i publicystów (faszyzm i antysemityzm). „Nacjonalizm i tajemnica" to praca, która idzie w zupełnie innym, niespodziewanym kierunku.

NA LINII NACJONALIZM – HOMOSEKSUALIZM

Fundamentalny zarzut dotyczący pracy Barłowskiego polega na tym, że nie jest ona analizą twórczości lidera endecji, tylko wielkim esejem napisanym za pomocą naukowej metodologii do udowodnie-

eprasa.pl 8823c38a33

nia z góry założonej tezy – Dmowski był gejem. Autor już na wstępie stwierdza, że jego praca dąży do przestudiowania „szczelin, przemilczeń czy pęknięć w sferze seksualności, płci społeczno-kulturowej oraz w innych wymiarach tożsamości” w powieściach Dmowskiego. Książka jest bowiem osnuta na idei wielkiej „tajemnicy” rzekomo bijącej z twórczości lidera endecji.

Praca Barłowskiego rozpoczyna się od niezbyt subtelnej sugestii dotyczącej silnych powiązań na linii nacjonalizm – homoseksualizm, czego dowodzić miałaby sytuacja w III Rzeszy, a także w przedwojennej Polsce: „W obserwacjach polskich twórców pojawia się wspólny wniosek o wręcz homoerotycznym charakterze nacjonalistycznego splotu młodości, męskości oraz politycznego ruchu masowego”.

Barłowski a priori zakłada, że proza Dmowskiego nie jest po prostu próbą literacką, z którą lider endecji nosił się od lat, ale zawiera w sobie „pęknięcia” skrywające wstydliwe pragnienia polityka (to jest owa „tajemnica”). W pewnym momencie autor stwierdza choćby, że Dmowski „fascynuje się mężczyznami”, a dowodem ma być fakt, że postaci kobiece w powieściach lidera endecji mają drugorzędne znaczenie dla fabuły.

Badacz z UJ nie dopuszcza do siebie prostej myśli, że Dmowski był – na dzisiejsze standardy – seksistą, dla którego rola kobiety powinna być ograniczona do zajmowania się domowym ogniskiem. Trudno oczekiwać, aby w tej sytuacji kobiece postaci ścigały żydowskich spiskowców i wygłaszały nacjonalistyczne manifesty. Co jednak oczywiste, nie musi to oznaczać żadnej „fascynacji mężczyznami”. Równie dobrze można by podobne zarzuty stawiać pod adresem tak różnych pisarzy jak Stanisław Lem, Cormac McCarthy czy J.R.R. Tolkien. W ich dziełach kobiety odgrywają drugorzędną rolę.

Barłowski stwierdza, że w książkach Dmowskiego „można się doszukać [sic!] (swoiście perwersyjnych) homoerotycznych inklinacji autora”. W całej pracy jednak nie ma ani jednego dowodu na tezę o „różowym Dmowskim”; 400-stronicowa książka opiera się wyłącznie na interpretacjach i „intuicji” autora, co w publikacji naukowej jest co najmniej kłopotliwe.

W jaki sposób jednak Barłowski tropi te „szczeliny”, „pęknięcia” i „tajemnicze” żądze? Przykładem jest choćby interpretacja zapomnianego opowiadania Dmowskiego z ostatniej dekady XIX w. („Wędrówka do ideałów”), w której to noweli bohater wdaje się w rozmowę z otyłym mężczyzną. Barłowski całkiem poważnie stwierdza, że „charakterystyka grubego mężczyzny w pełni odpowiada klasycznym […] przedstawieniom »zniewieściałego homoseksualisty«”. Autor kreśli wielki projekt demaskacji „homo-Dmowskiego” na podstawie opisu postaci z opowiadania, mężczyzny, od którego bije „homoerotyczny urok”, gdyż jest... niski, otyły, ma rumianą twarz i jowialny sposób bycia. Jeżeli to ma być dowód, to tylko patrzeć, jak powstanie demaskatorski doktorat o lubieżnym obliczu Onufrego Zagłoby i Sancho Pansy.

Jeszcze bardziej kuriozalnie wypada jednak analiza powieści Dmowskiego „Dziedzictwo” i „W połowie drogi”, które autor stara się interpretować poprzez twórczość Hansa Blühera – niemieckiego filozofa opisującego męskie wspólnoty. Barłowski zatem śledzi w obu powieściach „trójkąty narodowe”, w które mają się grupować bohaterowie Dmowskiego w celu przeżywania swych męskich więzi. Padają też sugestie dotyczące „homoerotycznych emocji” typowych dla takich relacji oraz pojawiają się odwołania do „greckiej miłości” i „spartańskich zwyczajów”.

Najbardziej jednak komicznie sytuacja zaczyna wyglądać, gdy autor przechodzi do wątków antysemickich. Barłowski stara się tu dowieść – znowu na mocy swej intuicji – że „nienawiść antysemickiego podmiotu do żydowskiej nadmiernej pożądliwości jest w rzeczywistości nienawiścią do własnej nadmiernej, homoerotycznej pożądliwości antysemickiego podmiotu”. Dmowski miałby przenosić na Żydów własne ukryte pragnienia i „erotyczne żądze”. To wszystko na mocy brawurowej interpretacji dwóch powieści. I – przypominam, gdyby w natłoku tych spiskowych teorii umknęło – cały czas mówimy o publikacji naukowej, rozprawie doktorskiej, którą zaaprobował Uniwersytet Jagielloński!

UKRYTE POCHODZENIE ŻYDOWSKIE?

Już sam pomysł, by napisać całą książkę o „męskościach” w prozie Dmowskiego, jest wielce dyskusyjny – głównie ze względu na brak materiału źródłowego. Lider endecji opublikował bowiem w latach 30. raptem dwie – raczej tendencyjne i nieszczególnej wartości – powieści. „W połowie drogi” i „Dziedzictwo” poświęcone są jednak nie – jak twierdzi Barłowski – mężczyznom, ale sensacyjnym historyjkom o polskiej rzeczywistości po zamachu majowym i Żydach zagrażających państwu. Jeżeli do tego dołączymy dwa krótkie opowiadania z końcówki XIX w., to stanie się oczywiste, że trudno o osobną publikację książkową poświęconą „męskościom”.

Nic zatem dziwnego, że „Nacjonalizm i tajemnica” – praca licząca ponad 400 stron – wręcz tonie w dygresjach. Dostajemy wielostronicowe omówienie teorii gender, rozważania o Żydach, rewolucyjnej młodości Dmowskiego, faszyzmie, caracie etc. Ostatecznie samym „męskościom” poświęcona jest może połowa książki. Ale nawet to nie musiałoby być zarzutem dyskwalifikującym, gdyby meritum pracy nie było tak kuriozalne.

Książka bowiem nie ogranicza się do wątku gejowskiego i prezentuje o wiele więcej spektakularnych odkryć, które z naukowym warsztatem mają niewiele wspólnego. W jednym miejscu autor sugeruje np., że Dmowski – po matce – miał żydowskie pochodzenie (gdyż jego matka zajmowała się szyciem rękawiczek, co było „żydowską profesją”), w innym – że mógł zostać zwerbowany przez carski wywiad, jeszcze gdzie indziej, że miał jakiś udział w pomówieniu Stanisława Brzozowskiego. I oczywiście za każdym razem nie dostajemy żadnych dowodów na te teorie. Wszystko opiera się na intuicji autora. Jak Barłowski tłumaczy, że Dmowski bodaj nigdy nie napisał ani słowa o Brzozowskim? Otóż „to tajemnicze milczenie – pisze pracownik UJ – wydaje się być znaczące…”. Parafrazując klasyka – Dmowski nienawistnie milczał, co samo w sobie jest niepodważalnym dowodem jego winy.

Sam Barłowski to oczytany i niewątpliwie utalentowany historyk. Sięga do stosunkowo mało znanych tekstów, próbuje interpretować życie i twórczość Dmowskiego nie tylko przez pryzmat tzw. gender studies, lecz także odnosząc się do dzieł Ernsta Jüngera. Padają też odwołania do Jacques'a Lacana czy Slavoja Žižka. Autor błyszczy w tych dygresjach, prześlizguje się po dyscyplinach i czaruje nawiązaniami do klasyków, jednak pomija zupełnie meritum sprawy. Nawet więcej – wykoślawia je, podporządkowuje całą książkę z góry postawionej tezie, na którą – jak

eprasa.pl 8823c38a33

już zostało powiedziane – nie dostarcza żadnych dowodów.

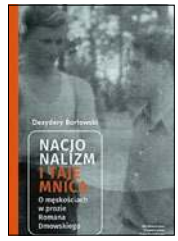
WYCIĄGANIE TRUPA Z SZAFY

Barłowski na wstępie do swej pracy stwierdza, że Dmowski mógł w prozie „dawać upust swym skrywanym latami fantazjom i pragnieniom”. Teza, że literatura służy jako pewien wentyl, w który autor może wrzucić, po wcześniejszym ich zamaskowaniu, wstydliwe żądze, jest co najmniej dyskusyjna. Próbując w ten sposób badać literaturę, należy działać niezwykle ostrożnie, jakbyśmy stąpali po lodzie. Twierdzenie, że bohater noweli jest homoseksualistą ze względu na swą otyłość, takim rozważnym stąpaniem nie jest.

Niemniej jest to bardzo wygodne narzędzie do „demaskowania” historycznych postaci, gdyż w ten wentyl można wrzucić absolutnie wszystko, co nam przyjdzie do głowy. Jest to narzędzie popularne wśród progresywnych badaczy, czego dowodem jest inna głośna „demaskatorska” praca: „Słowacki. Wychodzenie z szafy”. To wydana kilka lat temu książka Marty Nowickiej, w której autorka zastosowała jeszcze bardziej mglisty sposób argumentacji niż Barłowski, nie dowodzi niczego, a jedynie buduje wieloznaczny „klimat” dotyczący rzekomych tajemnic seksualnych poety.

Autorka z rozbrajającą szczerością przyznaje, że „dzieło Słowackiego jest niewyczerpane, a czerpiemy z niego (i dzięki swojej interpretacji zamieszczamy w nim) to, co chcemy”. Tylko że praca naukowa nie polega na „zamieszczaniu, czego się chce”, tylko na analizie źródeł i – ewentualnie – ich interpretacji.

Nowicka stwierdza, że „nieheteronormatywna postać Słowackiego – może aseksualna, może biseksualna, a może homoseksualna – niekwestionowaną odmiennością wyróżnia się na tle polskiego romantyzmu”. Tylko na poparcie tych niezwykle mocnych sądów nie prezentuje żadnych dowodów. Wszystko jest hipotezą, zaledwie pomysłem, pod który zostaje następnie podciągnięta interpretacja listów wieszcza. Najpierw pojawia się koncepcja dotycząca orientacji seksualnej Słowackiego, a dopiero potem autorka dobiera do niej argumenty. Przyznaje to zresztą ona



DEZYDERY BARŁOWSKI „NACJONALIZM I TAJEMNICA. O MĘSKOŚCIACH W PROZIE ROMANA DMOWSKIEGO” WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO, KRAKÓW 2025

sama, kiedy we wstępie pisze: „W mojej pracy za kryterium wyboru [omawianych tematów – przyp. J.F.] przyjęłam hipotezę o odmieńczości Słowackiego”. Stawianie hipotezy samo w sobie nie jest niczym złym, ale ma sens jedynie wtedy, gdy służy zbadaniu danego tematu (dowiedzenia jego prawdziwości bądź też obalenia), a nie budowaniu narracji.

Centralnym punktem pracy Nowickiej jest teza, że między Słowackim a Krasińskim doszło do romansu. Koronnym dowodem ma być natomiast fakt, że „w korespondencji z każdego okresu znajomości wieszczów widnieją ślady niewyrażonego wprost marzenia o charakterze seksualnym”. Oto cała moc dowodu. Doktorat obroniony. Bo tak, ta praca też była doktoratem.

W KOLEJCE CZEKAJĄ KOPERNIK, WYSPIAŃSKI, HLOND

Już w tym roku nieocenione Wydawnictwo Krytyki Politycznej wydało kolejną sensacyjną pracę. Tym razem jest to praca dr Kornelii Sobczak „Zośka i Rudy. O miłości, przyjaźni i Polsce”. Po prawdzie pomysł pośmiertnego „ugejowania” bohaterów „Kamieni na szaniec” nie jest nowy. Ponad dekadę temu dr Elżbieta Janicka z PAN próbowała wzbudzić sensację na temat seksualności dwóch bohaterów. Dowodem miał być opis, gdy po akcji pod Arsenałem skatowany „Rudy” trzymał przyjaciela za rękę i wspominał wczasy na wsi. Wiedząc, w jakim stanie znajdował się „Rudy”, trzeba być wyzbytym jakiejkolwiek empatii, by zachowanie umierającego człowieka próbować podciągnąć pod przejaw homoseksualizmu.

Wielu domorosłych odkrywców, którzy niemal wiek po wydarzeniach poszukują sensacyjnych tropów, zapomina, jak bardzo przedwojenne zwyczaje, zachowania oraz etykieta różniły się od dzisiejszych. Nie zwracają uwagi, że poziom seksualizacji życia publicznego, z którym obecnie obcujemy, był niewyobrażalny dla ludzi przed wojną. Nie oznacza to, że pokolenie II RP było nieskazitelne i z seksem czekało do ślubu, tylko że niekoniecznie coś, co nam się jawnie kojarzy z seksualnością (a tym bardziej z „nieheteronormatywnością”), te kilka dekad temu musiało mieć taki wydźwięk. Jeszcze wiek temu widok mężczyzn trzymających się za rękę czy całujących się na powitanie nie miał wydźwięku erotycznego, podobnie jak wylewne okazywanie przyjaźni. To dopiero współczesne pokolenia, spaczone dyktaturą popkultury, stały się tak zafiksowane na tym punkcie.

Wracając jeszcze do bohaterów „Kamieni na szaniec”, obaj oni – „Zośka” i „Rudy” – spotykali się z kobietami: jeden z Halą Glińską, drugi z Maryną „Monią” Trzcińską. Jednak i to nie jest dla „demaskatorów” żadnym dowodem, gdyż – jak stwierdza Kornelia Sobczak w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” – „nawet jeżeli przyjmiemy, że Rudy i Zośka byli homoseksualnymi mężczyznami, to jest bardzo mało prawdopodobne, by zdawali sobie z tego sprawę [sic!]. Jeszcze mniej prawdopodobne, by byli w stanie to sobie zakomunikować”.

Jest to rewolucyjna metodologia badawcza, która uprawnia nas do stwierdzenia absolutnie wszystkiego. Pozostaje tylko czekać na kolejne książki Wydawnictwa Krytyki Politycznej i doktoraty promowane na Uniwersytecie Jagiellońskim. Już niedługo powinniśmy być świadkami prac o „nieheteronormatywności” Mikołaja Kopernika, queerowych tropach w twórczości Stanisława Wyspiańskiego czy wielkiej „tajemnicy” wyłaniającej się z kazań prymasa Polski kard. Augusta Hlonda. A i to pewnie dopiero początek sensacyjnych odkryć. Jest tylko kwestią czasu, aż któryś z doktorantów przy owacji autorytetów naukowych i blasku medialnych kamer oznajmi z niezachwianą pewnością: Dmowski był kobietą!

Jeszcze wiek temu wylewne okazywanie przyjaźni nie miało wydźwięku erotycznego. To dopiero współczesne pokolenia, spaczone dyktaturą popkultury, stały się tak zafiksowane na tym punkcie

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 8823c38a33



Filip Memches

Książka „Stygmat" przyczynia się do tego, żeby Żydów postrzegać poprzez pryzmat ich znaczącej reprezentacji we wszelkich rewolucyjnych ruchach, które w imię idei naprawy świata w istocie go dewastują



Helena Wolińska (w środku) na stanowisku prokuratora wojskowego nadzorowała śledztwa przeciw żołnierzom Armii Krajowej

FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Alibi dla „żydokomuny"

Napisać dzieło o zbrodniarce po to, żeby w gruncie rzeczy ją usprawiedliwić, wydaje się zadaniem karkołomnym. A takiego zadania podjęła się historyk i reporterka Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz w książce „Stygmat. Helena Wolińska i Włodzimierz Brus. Biografia". Tytułowe postaci to małżeństwo znanych prominentnych funkcjonariuszy systemu komunistycznego w czasach, w których w Polsce wdrażano stalinizm.

Przypomnijmy, z nich dwojga szczególnie ponurą sławą okryta jest Helena Wolińska. W III Rzeczypospolitej jej działalność na stanowisku prokuratora wojskowego stała się tematem gorących sporów pod koniec lat 90. Wtedy władze polskie podjęły starania – bezskutecznie – o ekstradycję Wolińskiej z Wielkiej Brytanii. Mieszkała ona z mężem na Wyspach od lat 70., oboje zresztą zostali obywatelami brytyjskimi. Tymczasem w okresie stalinizmu Wolińska nadzorowała śledztwa przeciw żołnierzom Armii Krajowej. Spośród tych postępowań najgłośniejsze było to prowadzone przeciw zastępcy dowódcy AK gen. Augustowi Emilowi Fieldorfowi „Nilowi", zakończone zamordowaniem go z wyroku wydanego przez sąd, który stanowił organ systemu totalitarnego w Polsce.

Wolińska stała się twarzą stalinowskich represji w nadwiślańskim wydaniu. Natomiast jej mąż w odróżnieniu od niej robił za intelektualną podporę reżimu komunistycznego. Włodzimierz Brus był w PRL szanowanym ekonomistą, wykładowcą akademickim, teoretykiem gospodarki planowej, którą wprowadzano do Polski po roku 1945.

Co takiego jednak się wydarzyło, że para funkcjonariuszy systemu komunistycznego wylądowała na emigracji w Wielkiej Brytanii? Odpowiadając na to pytanie, dochodzimy do sedna opowieści Kwiatkowskiej-Moskalewicz.

WIARA W IDEOLOGIĘ

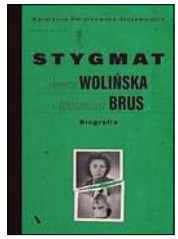
Wolińska (rocznik 1919) i Brus (rocznik 1921) wywodzili się z rodzin żydowskich. Nazywali się naprawdę Fajga Mindla Danielak i Beniamin Zylberberg. Oboje zaangażowali się w ruch komunistyczny jeszcze przed drugą wojną światową. Uwierzyli w ideologię obiecującą rozwiązanie dojmujących problemów, z którymi się stykali od dzieciństwa – takich jak bieda i antysemityzm. W programie komunizmu była zapowiedź likwidacji różnic dzielących klasy społeczne i narody. Kiedy jednak w latach 60. wybuchły walki frakcyjne w łonie PZPR, małżeństwo znalazło się politycznie w odwrocie. Do głosu w komunistycznym aparacie władzy doszła bowiem grupa, która na celownik wzięła towarzyszy o korzeniach żydowskich. Oskarżyła ich o wysługiwanie się obcym interesom (czyli interesom Izraela – skonfliktowanego z państwami arabskimi popieranymi przez Związek Sowiecki). Rozkręcono zatem kampanię „antysyjonistyczną" (jej kulminację stanowiły protesty studentów w marcu 1968 r.), która uderzyła również w Wolińską i Brusa. W efekcie opuścili oni Polskę. Obydwoje zmarli w Oksfordzie: Wolińska w roku 2008, Brus – w 2007 r. Zostali pochowani na tamtejszym Cmentarzu Wolvercote.

Oczywiście, żeby napisać przekonującą apologię zbrodniarki, trzeba użyć odpowiednich środków perswazyjnych. Nie może to być toporna propaganda. I pod tym względem „Stygmat" jest książką napisaną bardzo inteligentnie. A przede wszystkim wypada przyznać, że autorka tego ponad 700-stronicowego dzieła wykonała solidną benedyktyńską pracę.

Można odnieść wrażenie, że Kwiatkowska-Moskalewicz nie upiększa swojej bohaterki. Charakteryzuje ją jako osobę z krwi i kości, jej męża zresztą też. To jeden z najciekawszych wątków „Stygmatu".

Weźmy choćby przytoczoną w książce relację Marii Jakubowicz, która tuż po wojnie współpracowała z Wolińską w Milicji Obywatelskiej. Wyraziła się o niej, że ta była „wredna" i z tego powodu jej nie lubiano. Kwiatkowska-Moskalewicz dodaje, że

eprasa.pl 8823c38a33



KATARZYNA KWIATKOWSKA-MOSKALEWICZ „STYGMAT. HELENA WOLIŃSKA I WŁODZIMIERZ BRUS. BIOGRAFIA" WYDAWNICTWO AGORA, WARSZAWA 2026

wynikało to „po części z apodyktycznego charakteru Wolińskiej" i cechującej ją „coraz bardziej fanatycznej wierności partii". Przymioty te dały się potem brutalnie we znaki AK-owcom, ale nie tylko. Bezwzględność Wolińskiej zdarzało się boleśnie odczuć też komunistom, którzy znaleźli się w kręgu podejrzeń bezpieki. Autorka bynajmniej tych faktów nie przemilcza.

Z książki Kwiatkowskiej-Moskalewicz dowiadujemy się również o ciemnych plamach w życiorysie Włodzimierza Brusa. Gdy władze w Polsce przejmowali komuniści, ekonomista zaczynał karierę naukową. Z opisu jego ówczesnej postawy wyłania się koniunkturalista i tchórz. Brus wojnę spędził w ZSRS. Już wtedy nabrał do pewnego stopnia krytycznego nastawienia do stalinowskich porządków. Jako ideowego komunistę raziły go jednak nie tyle represje, którym poddawana była ludność Kraju Rad, ile rehabilitacja przez Józefa Stalina w warunkach wojny „wielkorosyjskiego imperializmu" (można byłoby z przekąsem skwitować: „prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie" przywódcy Związku Sowieckiego), czemu ekonomista dawał wyraz w swoim dzienniku wojennym. A przecież – stwierdza Kwiatkowska-Moskalewicz – gdy przebywał w ZSRS, „na własne uszy słyszał o »dyktaturze większości nad mniejszością«: wielkim głodzie i wielkiej czystce". W drugiej połowie lat 40. w pismach Brusa była już tylko pochwała Stalina. Uczestniczył on też w usuwaniu ze szkolnictwa wyższego ekonomistów, których traktowano jako relikty minionej „burżuazyjnej" epoki bądź jako ludzi, którzy, choć byli gotowi dostosować się do nowej rzeczywistości, nie nadążali za wyzwaniami rewolucji komunistycznej w Polsce.

Innym ciekawym wątkiem książki są burzliwe stosunki Wolińskiej z Brusem. Autorka próbuje nakreślić psychologiczny portret pary. Brus był mężem Wolińskiej dwukrotnie. Po wybuchu wojny znaleźli się w okupowanym przez Sowietów Lwowie. Tam wzięli pierwszy ślub. Potem Brus przeczekiwał wojnę w Związku Sowieckim, a Wolińska wróciła do Warszawy. W Polsce pod okupacją niemiecką działała w podziemiu komunistycznym. Wtedy poznała Franciszka Jóźwiaka, szefa sztabu Gwardii Ludowej, późniejszego pierwszego komendanta głównego MO. I to on został jej drugim mężem. Ale pod koniec wojny Brus dotarł do Warszawy. Był oficerem politycznym w wojsku Zygmunta Berlinga. Zaczął się z byłą żoną spotykać. Ich związek się odnowił. W rezultacie Wolińska rozstała się z Jóźwiakiem i wzięła ślub z Brusem po raz drugi. Niemniej Kwiatkowska-Moskalewicz wskazuje, że zanim do tego doszło, para borykała się z różnicą doświadczeń wojennych, przez które przeszła. Wolińska miała za sobą dużo cięższe przeżycia niż Brus. Była – podkreśla autorka – m.in. świadkiem płonącego getta warszawskiego. Dlatego Brus – czytamy w książce – „musiał się [Wolińskiej] wydawać dzieckiem, gdy przechwalał się, jaki jest diabelsko sprytny, bo włączył się do pracy nad »Historią Wojska« tylko po to, by spotykać się z nią podczas zbierania materiałów o Gwardii Ludowej. Młodzieńcza naiwność przebijała niemal w każdym zdaniu jego listów".

PROWOKACYJNY BILDUNGSROMAN

A jednak – jak już zostało powiedziane – Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz nie napisała swojej książki po to, by Helenę Wolińską i Włodzimierza Brusa piętnować lub z nich dworować. Autorka jest nie tylko badaczką dziejów, lecz także lewicową aktywistką. Pracuje w Instytucie Narutowicza – instytucji zatrudniającej ludzi zajmujących się zawodowo walką z „faszyzmem" – zjawiskiem pojętym na tyle szeroko, że może być pod nie podciągnięte niemal wszystko, co się nie mieści w dyskursie polskiej wersji wokeizmu. To zobowiązuje. „Stygmat" zaś ukazał się nakładem Wydawnictwa Agora, więc tropy prowadzą do „Gazety Wyborczej", medium, które było zaangażowane w obronę Wolińskiej, gdy władze III RP próbowały ją ekstradować do Polski.

Choć książka Kwiatkowskiej-Moskalewicz jest literaturą faktu, to zarazem ma w sobie coś z przewrotnego Bildungsroman. Oto śledzimy w pewnym sensie polityczne dojrzewanie głównych postaci. Nasuwa się wniosek, że owszem, ich akces do ruchu komunistycznego był bardzo poważnym błędem, ale przecież ostatecznie rozpoznali mądrość etapu. Znaleźli się po dobrej stronie historii, stali się rewizjonistami marksizmu. Poza tym – nie ustaje w przekonywaniu czytelników autorka – trzeba wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, w których przyszło im żyć. Jako Żydzi musieli się od dzieciństwa w Polsce zmagać z antysemityzmem. To właśnie determinowało ich wybory polityczne. Prawica, Kościół katolicki, „narodowi komuniści", wszystkie te siły, niezależnie od panującego w Polsce ustroju, prześladowały Żydów. Działo się to też nawet w czasach stalinowskich, gdy towarzysze narodowości żydowskiej stawali się dygnitarzami (dlatego, żeby nie zrażać do komunizmu antysemicko nastrojonego plebsu, zmieniali tak jak Wolińska i Brus swoje żydowskie imiona i nazwiska na polskie).

Zasadnicza teza „Stygmatu" jest taka, że polski antykomunizm splótł się z antysemityzmem. Przekaz autorki brzmi: wielu Polaków chciało, żeby Wolińska odpowiedziała przed sądem III RP za zamordowanie „Nila" , dlatego że była Żydówką. A zatem w polskim antykomunizmie kryją się złe intencje, więc trzeba go zdelegitymizować. Kwiatkowska-Moskalewicz podziwia zatem Wolińską za to, że ta nie dała się postawić władzom polskim przed sądem. Oto dziarska starsza pani pokazała przebrzydłym polskim antysemitom środkowy palec („Nie zgięła karku" – to cytat z wypowiedzi jej przyjaciółki Ireny Powell). Swoją drogą autorka szokuje sugestią, że w kwestii skazania „Nila" na śmierć wina Wolińskiej jest wyolbrzymiona, a nawet dyskusyjna (ponoć o wielu sprawach prokurator wojskowa nie wiedziała, a tak przy okazji: z raportów AK-owskich wypełzł mroczny polski nacjonalizm).

Podsumowując, „Stygmat" to prowokacyjna książka w obronie środowiska określanego mianem „żydokomuny". Dla Kwiatkowskiej-Moskalewicz ów termin jest przypuszczalnie krzywdzący, bo służy utrwalaniu antysemickich schematów. Tyle że ona sama swoim dziełem przyczynia się do tego, żeby Żydów postrzegać poprzez pryzmat ich znaczącej reprezentacji we wszelkich rewolucyjnych ruchach, które w imię idei naprawy świata w istocie go dewastują.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33



Fragment muralu Diego Rivery „Człowiek – kontroler wszechświata". Po lewej stronie Lew Trocki (w okularach), Fryderyk Engels i Karol Marks dzierżą w rękach czerwony sztandar FOT. PIOTR WŁOCZYK

Czerwony demon wśród kaktusów



Piotr Włoczyk z miasta Meksyk

W tym megalopolis ostatni rozdział swojego życia zapisał czerwony komisarz, który rządził bolszewicką armią, a po śmierci Lenina został wypchnięty z ZSRS. Lew Trocki próbował tu organizować światową rewolucję, romansował z Fridą Kahlo i skończył z czekanem wbitym w czaszkę. Tutejsze muzeum wciąż sączy spreparowaną przez niego jadowitą opowieść

Przy wejściu witają nas duże portrety Włodzimierza Lenina i Lwa Trockiego. Obok kasy mieści się salka z czasowymi ekspozycjami sztuki antykapitalistycznej, ale prawdziwe atrakcje czekają odwiedzających kilka metrów dalej, po wyjściu na ogród muzealnego kompleksu. Wśród smukłych kaktusów widać nagrobek z sierpem i młotem, powiewającą nad nim czerwoną flagą i prostym napisem: „Leon Trotsky". Obok stoi domek, w którym Trocki przeżył ostatni rok swojego życia i gdzie agent nasłany przez Józefa Stalina rozłupał mu głowę czekanem.

Gdy odwiedzam muzeum, po obiekcie krąży tylko kilka osób. Obok nagrobka spotykam parę z Argentyny. Wymieniamy kilka uwag na temat Trockiego. Dla moich rozmówców to wielki rewolucjonista, który – gdyby tylko wygrał konflikt o schedę po Leninie – na pewno rządziłby mniej brutalnie niż Stalin. Gdy zwracam uwagę, że Trocki był w latach 1918–1925 ludowym komisarzem do spraw wojskowych i morskich, zorganizował Armię Czerwoną, więc odpowiadał za niezliczone zbrodnie, w tym za atak na Polskę, moja rozmówczyni wzrusza tylko ramionami: – No tak, takie są rewolucje: zawsze leje się krew. Ale on chciał dobrze.

I taki jest generalny przekaz płynący z narracji serwowanej przez muzeum Trockiego w Coyoacán. Idealista, wielki myśliciel, który chciał powstrzymać Stalina pchającego ZSRS w kierunku przepaści.

NIEBIESKI I CZERWONY

Trocki wiedział, gdzie wynająć dom na swoim meksykańskim wygnaniu. Coyoacán to urocza willowa dzielnica w południowej części tego 22-milionowego molocha. W tej części Coyoacán wśród wielu kolorowych domów wyróżniają się dwa: krwistoczerwony, w którym mieści się dziś muzeum Trockiego, i niezwykle intensywny niebieski, gdzie funkcjonuje muzeum jego przez jakiś czas kochanki, słynnej malarki Fridy Kahlo. O ile z dostępnością biletów do tego pierwszego nie ma żadnych problemów, o tyle dobrze zaopatrzyć się w bilet do muzeum Kahlo z co najmniej kilkutygodniowym wyprzedzeniem – to jedno z najważniejszych miejsc na mapie turystycznej miasta Meksyk i niemal zawsze gromadzą się tu tłumy.

Trocki mieszkał w obu tych willach. Dom należący do Kahlo był jego pierwszym schronieniem po tym, gdy w 1937 r. przybył do Meksyku. Wypchnięty przez Stalina ze Związku Sowieckiego Trocki tułał się przez kilka lat po Turcji, Francji i Norwegii. Jednak nigdzie nie mógł rzucić kotwicy, bo albo gospodarze uginali się pod presją Sowietów i sugerowali mu, że czas już wyjechać gdzie indziej, albo on sam prosił się o problemy, angażując się w krajową politykę, przez co stawał się persona non grata.

eprasa.pl 8823c38a33

Azyl Trockiego w Meksyku to zasługa Diego Rivery, męża Kahlo, słynnego malarza muralisty, który był wtedy zdeklarowanym trockistą-leninistą. Rivera, mając świetne kontakty po lewej stronie meksykańskiej sceny politycznej, wyprosił u ówczesnego prezydenta Lázaro Cárdenasa wizę dla Trockiego. Cárdenas chciał na krajowym podwórku walczyć z wielkim kapitałem, więc wzmocnienie lewicowego zaplecza ideowego było mu jak najbardziej na rękę.

Rivera od lat był zapatrzony w Trockiego, zresztą rosyjski rewolucjonista również interesował się twórczością Meksykanina (jeszcze w 1928 r., w czasie wewnętrznego zesłania w Kazachstanie, gdy jasne już było, że to Stalin wygrał walkę o władzę, Trocki wypożyczył z biblioteki miejskiej w Ałmaty książkę z reprodukcjami dzieł Rivery).

Żeby zobaczyć jeden z ciekawszych efektów tych komunistycznych fascynacji Rivery, musimy przemieścić się 10 km na północ od muzeum Trockiego. Najłatwiej przebić się przez zakorkowane miasto trolejbusem jadącym swoim własnym pasem po alei nazwanej imieniem prezydenta, który ściągnął Trockiego do Meksyku. Wysiadamy w centrum pod Torre Latinoamericana – wieżowcem z 1956 r., który jest jednym z najbardziej znanych punktów tej metropolii (właściciele do dziś chwalą się jego antysejsmiczną konstrukcją, która pozwoliła mu w niemal nienaruszonym stanie przetrwać potężne trzęsienie ziemi z 1985 r.; kataklizm ten pochłonął być może nawet kilkadziesiąt tysięcy ofiar).

O każdej porze dnia pełno jest tu krzyków. Jedni zachęcają do kupna swoich tacos, tamales czy churros, czyli ulubionych meksykańskich przekąsek, inni, krzycząc, zachwalają sprzedawane przez siebie przeróżne drobiazgi. Rzut kamieniem na północ leży słynny Plaza Garibaldi, gdzie zastępy mariachi za 100–200 pesos grają meksykańskie szlagiery; w mieszczącej się przy tym placu restauracji Tenampa, gdzie jednocześnie potrafi grać kilka kapel mariachi, często pojawiała się Frida Kahlo. Nic dziwnego, że Meksyk bywa nazywany najgłośniejszym miastem świata (jeszcze na początku XXI w. dzierżył tytuł największej metropolii świata).

Gdybyśmy poszli spod Torre Latinoamericana kilkaset metrów w prawo, doszlibyśmy do Zócalo, olbrzymiego placu miejskiego z monumentalną, niestety przechylającą się coraz bardziej katedrą metropolitalną, pałacem prezydenckim i pozostałościami Templo Mayor – głównej świątyni Azteków, gdzie składano bóstwom w ofierze tysiące ludzi. W tym miejscu, w centrum azteckiej stolicy Tenochtitlan, znajdował się też pałac Montezumy, azteckiego władcy, który w 1521 r. przegrał starcie z garstką Hiszpanów dowodzonych przez Hernána Cortésa.

Natomiast po lewej stronie widać okazały gmach Palacio de Bellas Artes (Pałac Sztuk Pięknych), jedną z głównych instytucji kultury i sztuki w stolicy Meksyku. W jego wnętrzu zobaczyć można wiele prac najważniejszych meksykańskich artystów, w tym Diego Rivery. Na honorowym miejscu wystawiony jest „Człowiek – kontroler wszechświata".

Pośrodku tego ogromnego muralu widzimy robotnika o heroicznym obliczu, obsługującego skomplikowaną maszynę. Po jego prawej stronie bawią się zepsuci kapitaliści, nad nimi maszerują żołnierze strzegący tradycyjnego porządku. Z kolei po lewej stronie widzimy napierający tłum rewolucjonistów, Lenina ściskającego ręce całej ludzkości, a obok niego Trockiego, Karola Marksa i Fryderyka Engelsa dzierżących w rękach czerwony sztandar.

– To list miłosny Diego Rivery pod adresem komunizmu – mówi młody przewodnik, zwracając się do dwóch starszych Amerykanek. Gdy pytam, czy to dzieło, namalowane w 1934 r., mogło powstać w takiej formie kilka lat później, gdy Trocki miał już za sobą romans z Kahlo, przewodnik odpowiada, śmiejąc się: „Nie ma szans – Rivera nie mógł już patrzeć na jego twarz!".

UTRATA GŁOWY

Po przybyciu do Meksyku Trocki bez zahamowań korzystał z gościny u Kahlo i Rivery. Zainstalował się w części ich willi z całym swoim – niemałym – sztabem. Do Meksyku ciągnęli z innych państw zagorzali trockiści, którzy chcieli być jak najbliżej swojego wodza. Trocki był wyklęty przez sowiecką prasę, w 1936 r., w czasie pierwszego procesu moskiewskiego, został zaocznie uznany za zdrajcę i skazany na śmierć, ale wciąż liczył, że uda mu się kiedyś wrócić w glorii chwały do ZSRS i naprawić „wypaczenia" Stalina. A jeżeli byłoby to niemożliwe, to liczył na to, że świat zachodni niedługo pogrąży się w wielkim kryzysie i wojna będzie wielką szansą dla jego IV Międzynarodówki. Trocki wierzył gorliwie w „permanentną rewolucję", stojącą w opozycji do stalinowskiej idei „socjalizmu w jednym państwie".

Właściwie dla wszystkich było jasne, że Stalin musi zgładzić swojego arcywroga, który od lat atakował go w zagranicznej prasie. Jednak w pierwszym okresie po przybyciu do Meksyku Trocki miał spore problemy, by całkowicie poświęcić się pisaniu i pracy rewolucyjnej. W końcu jego wieloletnia partnerka, która wiernie towarzyszyła mu w czasach triumfu w ZSRS, a także na przymusowej emigracji, zorientowała się, co tak absorbuje jej mężczyznę.

„Do 1937 r. Natalia [Siedowa] nie miała żadnych poważnych powodów, by wątpić w jego wierność. Przez kilka lat przez dom przewijały się atrakcyjne młode kobiety, z którymi utrzymywał poprawne relacje. Żadna z nim nie flirtowała, zachowując szacunek dla politycznego idola. Frida Kahlo nie miała takich skrupułów. Nie robiła tajemnicy ze swoich pozamałżeńskich romansów, przynajmniej wtedy, gdy jej równie rozwiązły mąż Diego Rivera znajdował się poza zasięgiem wzroku" – pisze brytyjski historyk Robert Service w książce „Trocki. Demon czerwonego terroru". Czytamy o malarce dalej: „Była żywiołowa, impulsywna i pełna ekstrawaganckich pomysłów. Zupełnie niepodobna do kobiet, z którymi dotychczas zetknął się Trocki. Zakochał się w niej. W połowie kwietnia 1937 r. nawiązali romans".

Trocki stracił głowę dla malarki o egzotycznej urodzie, ale gdy ta po kilku miesiącach znudziła się nim w roli kochanka, cały układ polityczno-towarzyski zbudowany w niebieskim domu Kahlo zaczął trzeszczeć. Trocki obawiał się agentów Stalina, ale przez pewien czas najbardziej bał się pistoletów Rivery, które ten często nosił przy pasie. W końcu porywczy Meksykanin pokłócił się z Trockim również na płaszczyźnie politycznej, co ostatecznie zrujnowało ich relacje. Arcywróg Stalina musiał się wynieść z niebieskiej willi. W oko wpadł mu kompleks budynków położonych

eprasa.pl 8823c38a33

niemal po sąsiedzku przy Avenida Viena, gdzie przeprowadził się z Natalią i swoją świtą w maju 1939 r. Trocki pracował wówczas nad biografią Stalina, za którą przyjął sowitą zaliczkę, pozwalającą mu wygodnie żyć.

PIERWSZY ZAMACH

Cztery miesiące później do Meksyku przybył z Francji 13-letni wnuk Trockiego. Poza nim „demon czerwonego terroru" nie miał już nikogo z najbliższej rodziny. Do końca lat 30. zginęły lub zmarły wszystkie jego dzieci – dwóch synów i dwie córki.

Chłopak do tego czasu nazywał się Wsiewołod. Od sierpnia 1939 r. stał się Estebanem. Jego matką była najstarsza córka Lwa Trockiego, Zinajda, która popełniła samobójstwo w 1933 r. na emigracji w Berlinie. Jego ojciec, gorliwy komunista Płaton Wołkow, w czasie czystek został zesłany do łagru, gdzie zginął w latach 30. Chłopak był wychowywany przez kilka lat przez ukochanego syna Trockiego – Ljowę, który mieszkał w Paryżu i zarządzał trockistowskim pismem „Biullietień Oppozicji" („Biuletyn Opozycji"). Po śmierci Ljowy, do której doszło w tajemniczych okolicznościach w 1938 r., wnuk Trockiego trafił w końcu pod opiekę dziadka.

Gdy rozmawiałem z nim dekadę temu (pełnił funkcję dyrektora muzeum Trockiego), 89-letni wówczas Esteban Volkov podkreślał, że rok z dziadkiem i babcią był wyjątkowo szczęśliwym okresem jego trudnego dzieciństwa.

Pierwszym dzwonem alarmowym, zwiastującym koniec tej meksykańskiej sielanki, był zamach, do którego doszło 24 maja 1940 r. Akcją dowodził inny słynny meksykański malarz – David Alfaro Siqueiros, stalinowiec i członek Meksykańskiej Partii Komunistycznej z doświadczeniem bojowym wyniesionym z hiszpańskiej wojny domowej. Trocki pilnowany był przez kilku prywatnych ochroniarzy (wiernych trockistów) i policjantów na posterunkach przed domem. Funkcjonariusze zeznali potem, że zmyliły ich wojskowe mundury napastników i to, że jeden z ochroniarzy Trockiego – jak się później okazało: agent NKWD – otworzył im bramę.

– Gdy tylko rozległy się strzały, rzuciłem się w róg pokoju i nakryłem się kocami. Jeden z napastników wystrzelił cały magazynek w moje łóżko. Miałem mnóstwo szczęścia – zostałem tylko lekko ranny w duży palec u stopy – wspominał ten moment w rozmowie ze mną Esteban Volkov.

Po ostrzelaniu domu grupa Siqueirosa szybko uciekła, nie upewniając się przedtem, czy ich cel został wyeliminowany. Trocki i jego partnerka byli cali i zdrowi – ranę odniósł jedynie ich wnuk.

Po ataku Siqueirosa (organizator został potraktowany bardzo ulgowo – meksykańskie władze nie chciały robić krzywdy swojemu słynnemu artyście) willę Trockiego zamieniono w fortecę. Wzmocniony został system alarmowy, dobudowano wieżyczkę strażniczą, zmniejszono okna i pojawiło się więcej ochroniarzy oraz policjantów.

CZEKAN W PŁASZCZU

Sześćdziesięcioletni Trocki wciąż jednak przyjmował ludzi z zewnątrz, w gruncie rzeczy bagatelizując zagrożenie. Jednym z nich był mężczyzna przedstawiający się jako Frank Jackson, kanadyjski biznesmen, partner Sylvii Ageloff, amerykańskiej trockistki, która była jedną z sekretarek Trockiego. Ageloff nie wiedziała, że Jackson tak naprawdę nazywa się Ramón Mercader i jest hiszpańskim komunistą pracującym dla NKWD.

– Mercader chciał zyskać nasze zaufanie. Bardzo dobrze mu to wyszło. Nigdy nie okazywał jakiegoś nadzwyczajnego zainteresowania Lwem Trockim. Był pod tym względem bardzo profesjonalny. Wielu współpracownikom dziadka robił przysługi, przykładowo małżeństwo, które przywiozło mnie z Europy, sam odwiózł do portu w Veracruz swoim autem. Spacerowaliśmy razem, nie było w nim niczego podejrzanego. Zdawał się być bardzo dobrym człowiekiem – wspominał Esteban Volkov.

20 sierpnia 1940 r. Mercader przyszedł do willi Trockiego, by pokazać wodzowi trockistów swój tekst i poprosić o naniesienie uwag. Nikogo z ochrony nie zdziwiło, że gość w piękny, słoneczny dzień przyszedł w płaszczu przeciwdeszczowym. Gdyby strażnicy przeszukali go, znaleźliby w kieszeniach płaszcza sztylet i czekan z upiłowanym trzonkiem.

Mężczyźni rozmawiali w gabinecie Trockiego. Oglądając to pomieszczenie, zobaczymy na biurku te same dokumenty i książki, które wtedy na nim leżały, m.in. sprawozdanie gen. Aleksandra Jegorowa z przebiegu wojny polsko-bolszewickiej (Jegorow został zgładzony na rozkaz Stalina w 1939 r.).

Cios czekanem nie był „czysty", ponieważ Trocki w ostatniej chwili się poruszył.

„Uderzyłem go tylko raz. Gdy to się stało, wydał z siebie piskliwy, rozdzierający krzyk, rzucając się jednocześnie na mnie i gryząc mnie w lewą rękę. Jak możecie sami zobaczyć, mam tu trzy ślady po zębach – zeznawał potem Mercader. – Następnie tyłem odszedł wolno z tego miejsca. Jak tylko inni usłyszeli krzyk, na miejscu zjawili się ludzie; w związku z tym, co się stało, prawie straciłem przytomność i nie próbowałem uciec. Harold [jeden z ochroniarzy] pojawił się tam pierwszy i zaczął mnie okładać pistoletem […]".

Esteban wracał właśnie ze szkoły, gdy z daleka zobaczył zamieszanie na Avenida Viena.

– Obok domu widziałem człowieka otoczonego przez ochroniarzy dziadka i policjantów. Miał zmasakrowaną twarz. Nie rozpoznałem go wtedy, ale to był Mercader – wspomniał w rozmowie ze mną wnuk Trockiego. – Gdy zobaczyłem dziadka leżącego w kałuży krwi, od razu wiedziałem, że tym razem to już naprawdę koniec. Dziadek powiedział tylko do swoich ludzi: „Trzymajcie chłopaka z daleka, nie powinien na to patrzeć". To był dla mnie strasznie bolesny dzień. Dziadek był dla mnie jak ojciec.

Mercader usłyszał wyrok 20 lat więzienia, ale Moskwa nie zapomniała o jego zasługach. Za wyeliminowanie Trockiego Mercader dostał od Stalina najwyższe odznaczenie państwowe ZSRS: Order Lenina. Gdy wyszedł na wolność, został jeszcze odznaczony tytułem Bohater Związku Sowieckiego, a także otrzymał awans na generała KGB. Zabójca Lwa Trockiego zmarł w 1978 r. na Kubie.

W 2023 r. na otoczonym kaktusami nagrobku z sierpem i młotem pojawiło się trzecie nazwisko. Obok Lwa Trockiego i Natalii Siedowej pochowano tu Estebana Volkova, który zmarł w wieku 97 lat, do końca żarliwie wierząc w trockistowski mit.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Program zachodni

Podczas okupacji lat 1939–1945 tylko ugrupowania narodowe (polityczne i wojskowe) zajmowały się programowo sprawą powojennego urządzenia Europy w kontekście losu pokonanych Niemiec. Ich klęska traktowana była jako pewnik od samego początku, wbrew ich oczywistym sukcesom z lat 1939–1942. Najbardziej pełny program zachodni sformułowały NSZ, i to już w okresie niemieckich triumfów. Współtwórcami i głównymi propagatorami programu byli: Lech Karol Neyman, Antoni Goerne, Jan Lilpop i prof. Karol Stojanowski. Warto zwrócić szczególną uwagę na nazwiska – aż trzy były… niemieckie.

W październiku 1942 r. w organie Dowództwa NSZ opublikowany został artykuł Lecha Neymana „Osiągnąć cel za wszelką cenę!", w którym czytamy: „Celem [wojny] musi być zdobycie takich warunków, które by zabezpieczyły na długie dziesiątki lat byt Narodu i zapewniły jego swobodny rozwój". Była to zapowiedź polskich oczekiwań, sformułowanych niezwykle śmiało i wizjonersko – pozbawienie Niemiec ich wszystkich zdobyczy terytorialnych, pełne rozbrojenie po wojnie i wieloletnią okupację przez państwa zwycięskie. Miało to miejsce trzy lata przed konferencją pokojową w Poczdamie 1945 r.! Ale Neyman dostrzegał już wtedy, że pokonane Niemcy znajdą wielu orędowników na Zachodzie.

Cel główny dla Polski to zdobycie bezpiecznej i trwałej granicy: „Jednym z fundamentalnych warunków trwałego rozbrojenia Niemiec i trwałego pokoju w Europie jest uzyskanie przez Polskę na zachodzie linii Odry i Nysy Łużyckiej z lewymi ich brzegami (względy strategiczne), co wraz z czeskimi Sudetami stworzyłoby potężny szaniec obronny". Od tego Polska nie może odstąpić za żadną cenę. Dlatego programowym postulatem musi być m.in. „prowadzenie wojny z Niemcami aż do pełnego zwycięstwa, aż armia nasza stanie na szańcu Bolesławów, aż polski sztandar zawiśnie w okupowanym Berlinie, a maszyny niemieckie zaczną w Polsce pracować dla naszej potęgi. To stanowi nasz narodowy cel wojny". Niestety, Europa została podzielona na strefy wpływów, Polska utraciła suwerenność i nie miała już nic do powiedzenia.

Jakie były dalsze losy autorów tego programu? Jan Lilpop zginął w czerwcu 1944 r. w walce z Niemcami. Karol Stojanowski, śmiertelnie chory, zmarł tuż przed aresztowaniem przez UB. Antoni Goerne trafił na wiele lat do komunistycznego więzienia, tuż przed śmiercią zwolnili go, jak wtedy mawiano, „na zdechnięcie", Lech Neyman został przez komunistów zamordowany. A NSZ do dziś są fałszywie oskarżane o… współpracę z Niemcami. ©℗



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kanał

Andrzej Wajda odniósł sukces „Pokoleniem" i niebawem przystąpił do realizacji „Kanału" (premiera 20 kwietnia 1957 r.) na podstawie scenariusza Jerzego Stefana Stawińskiego. Tym razem jednak produkcję poprzedziła burzliwa dyskusja na posiedzeniu Komisji Ocen Filmów i Scenariuszy. Dziwnym trafem spotkanie odbywało się w budynku stojącym kilkanaście metrów od włazu, którym Stawiński schodził w powstaniu do kanałów, aby przebić się do Śródmieścia…

Scenariusz był jednak sprawą polityczną. „[…] musimy się zastanowić – mówił Ludwik Starski – czy ludzie są w stanie przez półtorej godziny patrzeć, jak inni tarzają się w gównie. Ja osobiście nie wyobrażam sobie, żeby to można było znieść […]. Ludzie zobaczą swoich bliskich, którzy ginęli jak szczury, i będą występowali z pytaniem, co robili tamci, którzy stali po drugiej stronie Wisły".

Film uratował Tadeusz Konwicki, który przytomnie zauważył, że scenariusz nie godzi w podstawy PRL. Natomiast w ostatnich latach przyzwyczajono się „do potraw bardzo jałowych", toteż gdy „otrzymuje się potrawę pełną treści", powstają problemy.

Rzeczywistość okazała się jednak bardziej skomplikowana, a po pokazie filmu w Cannes Stawiński nie mógł opędzić się od amerykańskich producentów. Uznano go za człowieka o niezwykłej wyobraźni i chciano natychmiast zatrudnić w Hollywood. Amerykanie uważali bowiem, że sam wymyślił „wojnę w kanałach", a gdy tłumaczył, że scenariusz napisał na podstawie własnych przeżyć, nikt nie chciał w to uwierzyć.

Podczas realizacji filmu napotykano również poważne problemy techniczne.

„Przeczytałem scenariusz – wspominał asystent Wajdy, Kazimierz Kutz – i zdałem sobie sprawę, że film będzie ciężki. Dekoracje zbudowano na podwórku wytwórni: ogromne kanały zalane breją. Rozbieraliśmy się do kąpielówek, wypijaliśmy po dwie sety i wchodziliśmy w gówno na cały dzień. Było to tak straszne i odrażające, że Andrzej ani razu nie odważył się tam wejść. Pod koniec nie wytrzymałem, podupadłem na zdrowiu i kończył za mnie Kuba [Janusz – przyp. S.K.] Morgenstern".

„Kanał" wraz z „Człowiekiem na torze" Munka uchodzą za pierwsze w pełni dojrzałe obrazy polskiej szkoły filmowej – kierunku, który miał nadawać ton naszej kinematografii przez kolejne 10 lat. Oznaczał on zerwanie z estetyką poprzedniej epoki, indywidualne podejście do ludzkich postaw i mitów narodowych. Wyczuwalna też była obecność skutków wojny, nawet wtedy, gdy na ten temat nie padało z ekranu ani jedno słowo. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33



Z Krzysztofem Drozdowskim, publicystą, popularyzatorem historii
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Twarda ręka Wacława Kostka-Biernackiego



FOT. NAC

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Stanisław Cat-Mackiewicz nazwał bohatera pańskiej książki „chorobliwym sadystą". Słusznie?

KRZYSZTOF DROZDOWSKI: To jest mocne stwierdzenie i jak wiele im podobnych ma przede wszystkim siłę publicystyczną. Ja bym od razu oddzielił dwie warstwy: emocjonalną etykietę i rzeczywistość człowieka zanurzonego w bardzo trudnych dla Polski czasach. Kostek-Biernacki funkcjonował w świecie, gdzie przemoc była narzędziem polityki, państwa i rewolucji. Przez lata pracował na reputację człowieka twardej ręki. Już w Legionach narodził się jego przydomek i czarna legenda „wieszatiela", karmiona opowieściami o surowych karach i bezwzględnej dyscyplinie. Choć jak zajrzymy do relacji osób, które o tym wspominały, to rzadko znajdziemy jakiegoś bezpośredniego świadka. Przeważnie są to informacje zasłyszane, jednak podawane jako bezwzględnie wiarygodne.

Natomiast „chorobliwy sadysta" sugeruje osobowość, która czerpie przyjemność z zadawania cierpienia. W materiałach, które analizowałem, widzę raczej figurę urzędnika żołnierza: przekonanego, że porządek da się utrzymać tylko presją, kontrolą i strachem. To nie uniewinnia go moralnie, ale zmienia perspektywę: zamiast psychologicznej diagnozy mamy mechanikę władzy. I warto pamiętać, że po wojnie komunistyczny aparat śledczy i propagandowy miał interes w tym, żeby uczynić z niego symbol „piłsudczykowskiego faszyzmu". W tajnych notatkach i materiałach procesowych wprost budowano taki obraz, przypisując mu „wyjątkowy sadyzm". A w powojennej rozprawie zeznawali w dużej mierze ci sami komuniści, których w II RP uważano za wywrotowców i osoby niebezpieczne. Zatem oczywiste, że ciężko w ich słowach znaleźć jakąś pozytywną opinię.

Wacław Kostek-Biernacki za młodu marzył o medycynie?

Tak, i to jest w nim fascynujące, bo pokazuje, że czasami nie jesteśmy kowalami własnego losu. Naprawdę próbował wejść na drogę „normalnego" życia: zdał maturę i został przyjęty na Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego. Rewolucja 1905 r., policyjny nacisk, a także jego własny temperament sprawiły, że studia przegrały z konspiracją. I kiedy patrzymy na tę zmianę – od przyszłego lekarza do bojowca – widać nie tyle nagły kaprys o zmianie drogi życiowej, ile pewien logiczny wybór. Moim zdaniem wynikający z patriotycznego wychowania odebranego w domu rodzinnym. Na dodatek poznał Józefa Piłsudskiego i dał się porwać walce o odzyskanie przez Polskę niepodległości.

Kiedy i w jakich okolicznościach zasilił szeregi Polskiej Partii Socjalistycznej?

Kluczowe są rewolucyjny rok 1905 i środowisko Zagłębia Dąbrowskiego. PPS miała w nim realne zaplecze społeczne, a konspiracja stanowiła codzienną praktykę. Został przyjęty do tej partii w listopadzie 1905 r., a – co ciekawe – pseudonim Kostek nadał mu sam Piłsudski. To oczywiście nobilituje w oczach biografów, ale dla niego wtedy oznaczało przede wszystkim wejście w świat wymagający absolutnej dyspozycyjności. Szybko się jej poddał.

Rozgłos uzyskał brawurową ucieczką z więzienia?

To scenariusz do dobrego filmu. Zamek Lubelski, kilku osadzonych i plan, którego powodzenie zależało od dostępu do kanału kloacznego. W relacjach pojawia się wątek pomocnego strażnika, jednak ryzyko było niesamowite. Najbardziej działa na wyobraźnię przebyty dystans: około półtora kilometra w kanałach, aż do rzeki Bystrzycy. Pochyleni, zgarbieni, umazani w odchodach, a jednak pragnący wolności tak bardzo, że nic nie mogło stanąć im na przeszkodzie. Po ucieczce został skazany zaocznie na osiem lat katorgi i zesłanie na Syberię, do guberni tobolskiej. W realiach imperium carskiego nierzadko oznaczało to powolne „umieranie na raty".

Schronił się w Legii Cudzoziemskiej?!

Usiłował zniknąć z pola rażenia ochrany. Do Legii Cudzoziemskiej wstąpił 3 marca 1908 r. w Oranie, później przerzucono go do Maroka. Za dużo się nie nawojował. Jego służba była nużąca i polegała na ciągłych przemarszach z jednego miejsca na drugie. A potem nastąpił punkt zwrotny: we wrześniu 1908 r. zdezerterował.

Jak rzutowała na jego biografię pierwsza wojna światowa?

Ustawiła mu życiorys na lata. Przede wszystkim dlatego, że w Legionach wykuwają się i legenda, i przekleństwo Kostka-Biernackiego. To tam zaczynają krążyć opowieści o bezwzględnej dyscyplinie, tam pojawia się przydomek Kostek Wieszatiel, a jego postać zaczyna funkcjonować w żołnierskiej wyobraźni jako uosobienie kary. W końcu został twórcą

eprasa.pl 8823c38a33

i pierwszym dowódcą Żandarmerii Wojskowej. A przecież wiadomo, że w wojsku jest to formacja niekochana. W pewnym momencie napięcia były na tyle silne, że został odsunięty od dowodzenia, co też jest ważne, gdyż pokazuje, że nawet w realiach wojennych istniała granica akceptowalności metod. To również wtedy zaczynamy go postrzegać w roli człowieka do zadań specjalnych. Tych najtrudniejszych, które powierzał mu Brygadier, mogąc liczyć na ich spełnienie bez zająknięcia. Biernacki później często wspominał, że wykonywane rozkazy często nie sprawiały mu satysfakcji, że były wbrew niemu, ale nie odmawiał, ponieważ wiedział, że taka jest potrzeba.

W obozie w Beniaminowie, do którego trafił po tzw. kryzysie przysięgowym, potrafił przeistoczyć się w intelektualistę: wygłaszał wykłady o Afryce i uczestniczył w życiu obozowej „kultury", co burzy obraz wykonawcy „mrocznych" rozkazów. Choć i tu, prowadząc obozową gazetkę, potrafił wejść w konflikt z oficerami, którzy w jego uznaniu byli koniunkturalistami, chcąc iść na jakąś formę współpracy z Niemcami.

Ów dysonans – między żołnierzem egzekutorem a człowiekiem o ambicjach kulturowych – będzie mu towarzyszyć już do końca.

Dlaczego w interbellum trafił na ławę oskarżonych?

W tle są dramatyczne wypadki krakowskie z listopada 1923 r., społeczny kryzys, strajki, interwencja wojska. Kostek-Biernacki pojawia się w Krakowie w czasie zajść i w materiałach procesowych opisuje się jego rozmowy z oficerami 16. Pułku, kiedy sytuacja była skrajnie napięta. 8 listopada znów jest w Krakowie. Tym razem na spotkaniu z działaczami PPS i wtedy zostaje aresztowany oraz postawiony w stan oskarżenia, co wywołuje rozmaite reakcje. Jedni widzą w nim bohatera, który nie pozwolił na przelanie polskiej krwi. Dla drugich uosabia człowieka podburzającego strajkujących. Uwolniono go od wszelkich oskarżeń. Śledztwo się przeciągało, sprawę utajniono, a zarzuty wiązano z interpretacją jego wpływu na zachowanie oficerów i przebieg rozbrojenia oddziałów. W mojej ocenie pojawił się w złym miejscu o złej porze.

Czym zapisał się w pamięci, zarządzając Polesiem?

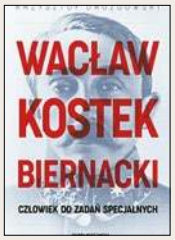
Przede wszystkim stylem: kontrola, inspekcja i presja na administrację. Jest w tym sporo anegdot, ale one są cenne, bo pokazują mechanizm działania. Kostek-Biernacki potrafił prowadzić inspekcje incognito, przebierając się w chłopską sukmanę, przechowywaną w szafie własnego gabinetu. Sprawdzał posterunki, urzędy, zachowanie policji i kancelistów w chwilach, kiedy nie byli „przygotowani na wizytę". Jeśli ich działania i zachowanie nie spełniały jego wymagań, to wracał tam w kolejnych dniach już oficjalnie, karcąc wszystkich, od góry do dołu.

Nawet oficjalne wizytacje potrafił organizować w sposób wyczerpujący: zaczynały się późno i trwały godzinami, żeby zobaczyć, kto naprawdę pracuje, a kto jedynie odgrywa rolę w urzędowym teatrze. Z drugiej strony – i to jest ważne – zawsze starał się być sprawiedliwy. Pewnego razu będąc pod przebraniem, został zatrzymany przez policjanta, który podniósł na niego rękę. Gdy wyjawił, kim jest naprawdę, najpierw pochwalił policjanta za sumienność, a następnie ukarał go za bicie zatrzymanego.

Biernacki chciał państwa twardego, ale sprawnego i sprawiedliwego. I właśnie na Polesiu ta „państwowość" zaczęła mu się kojarzyć z żelazną dyscypliną, która w jego wizji miała zastąpić słabość instytucji.

Drugą wojnę światową spędził w Rumunii?

We wrześniu 1939 r. mianowano go komisarzem cywilnym przy Naczelnym Wodzu, co oznaczało bycie w samym środku chaosu ewakuacji i rozpadu struktur państwa. Po przekroczeniu granicy rumuńskiej został internowany. To upokarzające, pełne bezsilności doświadczenie jest istotne, bo diametralnie różni się od jego wcześniejszej pozycji osoby nawykłej do kontroli nad innymi. Rumunia staje się sześcioletnim przystankiem na drodze do więzienia w Polsce. Warto podkreślić, że transport do Warszawy nie był najprawdopodobniej „powrotem z wyboru", tylko elementem operacji komunistycznego państwa, po której trafił do aresztu i wszedł w tryby śledztwa.



KRZYSZTOF DROZDOWSKI „WACŁAW KOSTEK-BIERNACKI. CZŁOWIEK DO ZADAŃ SPECJALNYCH" SKARPA WARSZAWSKA 2025

Polska Ludowa obeszła się z nim surowo.

To prawda, potraktowała go tak, jak system totalitarny postępuje z symbolami poprzedniego porządku: miał stać się przykładem demoralizacji sanacji. Najpierw przeprowadzono siedmioletnie (sic!) śledztwo i zbudowano akt oskarżenia, potem doszło do procesu podporządkowanego politycznej tezie. Prokuratura dążyła do kary śmierci i 14 kwietnia 1953 r. taki wyrok zapadł. Cel rozprawy był jasny, chodziło o „wykazanie społeczeństwu istoty piłsudczyzny jako faszyzmu", czyli o spektakl wychowawczy, a nie ważenie racji. Po apelacji złagodzono karę na 10 lat więzienia. Nie z litości, lecz z kalkulacji: zaawansowany wiek i fatalny stan zdrowia skazanego. Cierpiał na przewlekłe schorzenia, znaczną część odsiadki spędził w warunkach szpitalnych, a prokuratura i tak nie chciała słyszeć o złagodzeniu rygorów.

Parał się też literaturą...

Pisał sporo i nie był to jedynie dodatek do CV, ale ważna część jego tożsamości. W tworzonych utworach widać odzwierciedlenie życia autora. Pokazuje też, że czuje się niedoceniony przez społeczeństwo, któremu poświęcił swą służbę. W relacjach z lat wojennych pojawia się informacja, że pracował nad powieścią historyczną o Bolesławie Śmiałym, czytując jej fragmenty współinternowanym. Niestety, żaden z akapitów się nie zachował. To pięknie komplikuje portret człowieka kojarzonego wyłącznie z przemocą instytucji. W PRL jego dorobek literacki nie miał szansy zaistnieć, a i dziś pozostaje praktycznie nieznany. Szkoda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Drozdowski – publicysta i popularyzator historii. Doprowadził do wznowienia przez IPN śledztwa dotyczącego niemieckich zbrodni w Dolinie Śmierci w Bydgoszczy. Autor 24 książek, m.in. najnowszej pt. „Wacław Kostek-Biernacki. Człowiek do zadań specjalnych".

eprasa.pl 8823c38a33

Brunatne ziarno z Rosji



Denis Kapustin FOT. OLEKSII CHUMACHENKO/REPORTER



Maciej Pieczyński

Chwali Goebbelsa, na miejscu Niemców popierałby Hitlera, podziwia estetykę III Rzeszy. Oto Denis Kapustin – dowódca proukraińskiego Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego

Jego skrajnie nacjonalistyczne poglądy nie były żadną tajemnicą. Ostatnio jednak wyraził je tak obszernie i z tak rozbrajającą szczerością, że wywołał prawdziwą burzę. Na początku kwietnia 2026 r. dowódca Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego (RDK) Denis Kapustin, znany też pod pseudonimami Denis Nikitin i White Rex, udzielił prawie pięciogodzinnego wywiadu na antenie youtube'owego kanału wDud'. Gospodarzem był bodaj najpopularniejszy rosyjski opozycyjny vloger – Jurij Dud'. Było to fascynujące starcie dwóch światopoglądów. Liberalny dziennikarz ugościł skrajnego nacjonalistę. Obaj są zadeklarowanymi przeciwnikami Władimira Putina, obaj popierają Ukrainę jako ofiarę agresji Rosji. Poza tym jednak dzieli ich właściwie wszystko. Stąd też nic dziwnego, że w ostatnich dniach ta rozmowa stała się jednym z najczęściej i najchętniej komentowanych tematów w rosyjskojęzycznych mediach – zarówno tradycyjnych, jak i społecznościowych. Między 2 a 13 kwietnia wywiad zebrał prawie 6 mln odsłon.

Gwoli krótkiego wyjaśnienia: Denis Kapustin wywodzi się z rosyjskich środowisk pseudokibicowskich i skrajnie nacjonalistycznych. W 2022 r. założył Rosyjski Korpus Ochotniczy walczący po stronie Ukrainy. Głośno było o nim pod koniec ubiegłego roku. Media obiegła wówczas wieść o jego śmierci. Zamach, rzekomo przeprowadzony na polecenie Kremla, okazał się operacją ukraińskiego wywiadu wojskowego (HUR), mającą na celu skompromitowanie rosyjskich służb.

Wróćmy do wywiadu. W pewnym momencie Jurij Dud' zapytał swojego gościa o stosunek do ministra propagandy III Rzeszy. „Doktor Joseph Goebbels, nie od razu, ale jednak przekonany o słuszności swoich poglądów narodowy socjalista, geniusz, zły geniusz marketingu, propagandy, ojciec sześciorga, jeśli się nie mylę, dzieci, wierny towarzysz Führera, zwolennik idei narodowego socjalizmu do końca" – odpowiedział Kapustin. Dopytywany, czy aby na pewno to wszystko, co ma do powiedzenia na temat nazisty, dorzucił jeszcze pełnioną przez Goebbelsa funkcję gauleitera Berlina. Przyznał też, że nie widzi niczego złego w hasłach „Sieg heil", a nawet „Heil Hitler". Choć co prawda zapewnił, że jego stosunek do Hitlera, „jako do zabójcy milionów ludzi", jest „skrajnie negatywny". Dud' przypomniał jednak Kapustinowi jego wcześniejsze publiczne wypowiedzi, w których przekonywał, że „jest dwóch Hitlerów: jeden dla Niemców, drugi dla wszystkich innych". Gość nie zaprzeczył. Rozwinął natomiast swoją myśl. Jego zdaniem Niemcy wiele Hitlerowi zawdzięczają, w tym przedwojenny „cud gospodarczy". Kapustin bronił też tezy, w myśl której przywódca nazistów nie szedł do władzy „z myślą o zabijaniu ludzi". „Hitler dla Niemiec był zbawcą, dla Żydów – katem" – podsumował. Zachwycał się też nazistowską estetyką.

IDEOWA PRZEPAŚĆ

Kapustin bardzo niechętnie krytykował III Rzeszę. Zarówno z treści, jak i z tonu jego wypowiedzi wybrzmiewały podziw i szacunek dla nazistów. Wywiad nagrywany był na terenie należącym do uniwersytetu w Kiszyniowie. Sprawą zainteresowały się władze Mołdawii. Tamtejsze ministerstwo edukacji wszczęło kontrolę na uczelni. W oświadczeniu resortu podkreślono, że uniwersytet powinien być wolny od „propagandy przemocy, nienawiści i dyskryminacji". Wywiad wywołał oburzenie również w środowisku rosyjskiej opozycji liberalnej. Nie tylko z uwagi na „nazistowskie" wątki. Jak wiadomo, w marcu 2023 r. Kapustin na czele oddziału rosyjskich ochotników przeprowadził rajd na obwód briański. Dwa miesiące później brał udział w ataku na obwód biełgorodzki. Były to pierwsze ukraińskie próby lądowego uderzenia na Rosję na jej własnym terenie. Próby, przeprowadzone rękami samych Rosjan. Jurij Dud' wypominał swojemu gościowi, że podczas tych akcji ginęli cywile. Krytycznie odniósł się też do pomysłu Kapustina, by zająć jakieś większe terytorium, np. cały obwód briański, i ogłosić tam referendum albo wybory. Zdaniem dziennikarza byłoby to działanie w stylu Putina. Głosowanie w warunkach okupacji, pod lufami karabinów nie ma bowiem nic wspólnego z demokracją.

Kapustin argumentował, że skoro operację przeprowadziliby rosyjscy ochotnicy, to nie ma mowy o żadnej agresji z zewnątrz. I tu widoczna była ideowa przepaść między rozmówcami. Dla walczącego na froncie żołnierza o poglądach nacjonalistycznych (albo wręcz neonazistowskich) przemoc jest oczywistą i naturalną metodą walki. Jego celem jest pokonanie Putina, choćby własną bronią prezydenta Rosji. Natomiast dla Dud'a większym wrogiem niż Putin jest jego sposób działania. Zgodnie ze swoimi liberalno-pacyfistycznymi przekonaniami dziennikarz odrzuca przemoc i łamanie prawa, nawet jeśli prowadzą do zwycięstwa nad władcą Kremla. Dud'a (i jego widownię) oburzyło również stosowanie kar cielesnych w RDK, do czego Kapustin w toku wywiadu się przyznał. Po jednej stronie barykady znalazł się więc wyznawca kultu siły, po drugiej – pryncypialny tego kultu przeciwnik. Oburzenie Dud'a, wyrażane w kąśliwych pytaniach, podzie-

eprasa.pl 8823c38a33

lali komentujący wywiad rosyjscy antyputinowscy liberałowie. „Nie mam zamiaru popierać zwolenników III Rzeszy. Zamiana jednego Führera na drugiego (»dobrego«) nie jest mi potrzebna" – napisał na swoim Facebooku emigracyjny działacz opozycyjny, Artiom Ważenkow. Z kolei bloger Alosza Stiepanow nazwał Kapustina „absolutnym bydlakiem" (ros. absolutnoje czudowiszcze). „Kiedy Ukraina wygra wojnę, zderzy się z bardzo poważnymi problemami, gdy na jej ulicach pojawią się Kapustin i jego towarzysze" – skomentował Stiepanow.

NIEPODLEGŁOŚĆ UKRAINY VERSUS ZACHODNI LIBERALIZM

Gwoli sprawiedliwości warto zauważyć, że światopogląd dowódcy RDK nie ogranicza się do pronazistowskich sympatii i pochwały przemocy. Kapustin wyznaje też cały katalog wartości prawicowych – od niezgody na nielegalną imigrację z krajów muzułmańskich do Europy, przez negatywny stosunek do feminizmu i LGBT, aż po krytykę poprawności politycznej. Te wszystkie kwestie poruszył w wywiadzie, co również oburzyło jego rodaków o poglądach liberalnych. Jak wiadomo, akurat w sprawie LGBT polityka Moskwy jest bardzo konserwatywna. „W tym punkcie nasz kremlowski Führer i wielbiciel niemieckiego Führera z RDK są wzajemnie swoimi kopiami" – stwierdził tęczowy aktywista, Aleksandr Choc. Tego rodzaju komentarzy pojawiło się mnóstwo. Wielu rosyjskich liberałów stawia znak równości między Kapustinem a Putinem, obu z powodu ich antyliberalnych poglądów uważając za swoich ideologicznych wrogów. To, że RDK walczy po stronie Ukrainy, nie dla wszystkich jest okolicznością łagodzącą. Dlaczego? Przyczyna tkwi w charakterze przekonań.

Wielu rosyjskich liberałów kibicuje nie tyle walczącemu o niepodległość narodowi ukraińskiemu, ile zachodniemu liberalizmowi, walczącemu z putinizmem, rozumianym jako coś w rodzaju miksu despotyzmu, szowinizmu i konserwatyzmu. Dlatego skrajni nacjonaliści – czy to ukraińscy, czy to rosyjscy, stojący po stronie Kijowa – są dla nich albo mniejszym złem, albo złem porównywalnym do Putina. A poza wszystkim są to Rosjanie, którym nie podoba się, że ich rodak Kapustin gotów jest zabijać innych Rosjan. Jednak nie wszyscy rosyjscy przeciwnicy Putina są do RDK nastawieni negatywnie. Publicysta Aleksandr Popkow, związany ze Zjazdem Deputowanych Ludowych Ilji Ponomariowa, były dziennikarz Wot tak! (rosyjskojęzyczna telewizja Biełsatu), otwarcie popiera działalność Kapustina. Jego zdaniem wywiad okazał się wielkim medialnym triumfem dowódcy RDK, który dzięki rozmowie z Dud'em tylko zyska na rozpoznawalności i popularności. „Dziś polityka to wojna, a wojna to polityka i tak będzie jeszcze długo" – przekonuje Popkow i właśnie dlatego, w jego ocenie, Kapustin jest przyszłością rosyjskiej opozycji. Antyputinowscy Rosjanie mają dość spokojnych, pokojowo nastawionych liberałów. Potrzebują ludzi czynu, nawet takich, którzy wyznają radykalne poglądy. W wywiadzie Kapustin słusznie zauważył, że RDK to jedyna uzbrojona antyputinowska opozycja. Dud'a i ludzi o podobnych poglądach jednak raczej nie przekonał. Dla nich bowiem zbrojna walka o władzę jest moralnie wątpliwa. Ciekawą opinię wyraziła też opozycyjna politolog Natalia Szawszukowa. W jej ocenie dzięki ochotnikom z RDK i ich dowódcy choć trochę upadł stereotyp Rosjan jako „tierpił" [rosyjskie słowo „tierpiła" oznacza człowieka, który biernie wytrzymuje poniżenia i krzywdy – przyp. red.]. Rosyjscy opozycjoniści przynajmniej w pewnym stopniu udowodnili, że potrafią siłą przeciwstawić się Putinowi.

PREZENT DLA KREMLA

Nie brak też komentarzy, w myśl których neonazistowskie wynurzenia Kapustina mogą zaszkodzić – zarówno Ukrainie, jak i rosyjskiej opozycji. To w końcu piękny prezent dla kremlowskiej propagandy. W tym konkretnym wypadku nie musi ona fabrykować dowodów na to, że walczy z nazistami. Oczywiście jest to prezent niezamierzony. Nie ma żadnych dowodów na to, by Kapustin był agentem Putina. Prawnik Michaił Bieniasz w felietonie na stronie Radia Echo Moskwy celnie zauważył dwie rzeczy.

Po pierwsze, wywiad Kapustina to PR-owska klęska HUR, czyli ukraińskiego wywiadu wojskowego, którego rozkazom podlega RDK. Po drugie, neonazistę zgubiła próżność. Pytany o swoje zdanie na temat III Rzeszy, zamiast przemilczeć albo skłamać, postanowił nie tylko odpowiedzieć, lecz także odpowiedzieć wyczerpująco. „Kapustin pozostanie z nami na długo i zamierza zagospodarować to audytorium, którego nie byli w stanie zatrzymać przy sobie liberałowie" – zauważa Bieniasz.

Oburzenia części rosyjskiej opozycji nie podzielają co do zasady komentatorzy ukraińscy. Znamiennym przykładem jest znana publicystka Janina Sokołowa. W obszernym wpisie na Facebooku zaznaczyła, że w sprawach światopoglądowych kompletnie się z Kapustinem nie zgadza. W odróżnieniu od niego jest zwolenniczką LGBT i feminizmu. Zdaje sobie jednak sprawę, że w tych sprawach Kapustin ma przekonania takie same jak „wielu ukraińskich nacjonalistów z heroicznych batalionów szturmowych". Broni go jednak z kilku powodów. Po pierwsze, jest Rosjaninem, więc docelowo wróci do swojego kraju i nie będzie Ukraińcom narzucał swoich przekonań. Po drugie, w poglądach Kapustina nie interesuje jej podejście do LGBT i feminizmu, tylko stosunek do Putina i rosyjskiego imperializmu, a ten jest skrajnie negatywny. Po trzecie, „i najważniejsze", RDK walczą po stronie Ukrainy.

Podejście Sokołowej podziela spora część ukraińskiej sceny polityczno-medialnej. Na wojnie z Rosją ideologia jest drugorzędną sprawą. Rosyjska opozycja liberalna funkcjonuje na emigracji, daleko od Putina, więc może sobie pozwolić na komfort krytykowania tych, z którymi się światopoglądowo nie zgadza. Natomiast z punktu widzenia walczącego o życie Kijowa „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem", bo każde wsparcie może się przydać. Dlatego Ukraina korzysta z pomocy zarówno zachodniej lewicy, jak i rosyjskich neonazistów, ulegając wpływom ideowym jednych i drugich. Biorąc pod uwagę banderowskie tradycje, rozwinięte twórczo przez środowisko Pułku „Azow", Ukraina jest bardziej podatnym gruntem dla brunatnego niż dla tęczowego ziarna. W warunkach wojny może ono szybko zakiełkować. W zasadzie to już kiełkuje.

Ukraińcy czy antyputinowscy Rosjanie mogą się martwić, że neonazistowskie przekonania Kapustina szkodzą im wizerunkowo. Polska i Zachód powinny zaś bacznie przyglądać się Ukrainie. Żeby nie przegapić momentu, w którym Kapustin nie będzie już zbrojnym ramieniem Kijowa, stanie się natomiast wyrazicielem dominujących nad Dnieprem poglądów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33



Tino Chrupalla i Alice Weidel nie zawsze się ze sobą zgadzają

FOT. CHRISTIAN MARQUARDT/AFP/NURPHOTO/EAST NEWS

Na prawo patrz!



Jan Bogatko z Berlina

Alice Weidel i Tino Chrupalla pochodzą z odmiennych środowisk. Miewają też odmienne poglądy na różne sprawy. Zdarza się, że Weidel bywa krytyczna wobec stanowiska Chrupalli, gdy broni on wyjazdów kolegów partyjnych do Moskwy czy wizyt w ambasadzie Rosji

Kto stoi na czele niemieckiej partii AfD (Alternatywy dla Niemiec), która miała być zdaniem niemieckich mediów sprzed niewielu przecież lat muszką jednodniówką, a okazała się stałym elementem niemieckiej sceny politycznej? Ponadto zagrażającej tutejszemu partyjnemu establishmentowi do tego stopnia, że nie wystarcza już kordon sanitarny, słynny „Brandmauer" wokół AfD, lecz pojawia się absurdalne żądanie delegalizacji partii – bądź co bądź potężnej siły politycznej w Niemczech? Alice Weidel i Tino Chrupalla to opowieść o dwojgu takich, którzy nie wiadomo, skąd przyszli, ale doskonale wiadomo, dokąd zmierzają – po władzę w Niemczech. Według opublikowanego 15 kwietnia sondażu YouGov AfD może liczyć na 27 proc. poparcia wyborców i wyprzedza o cztery punkty procentowe CDU. Tym samym jest liderem notowań wyborczych.

Alice Elisabeth Weidel jest politykiem młodszego pokolenia. Urodziła się ona 6 lutego 1979 r. w Gütersloh, powiatowym mieście w Westfalii, skąd pochodzi pumpernikiel, nad rzeczką Dalke. Jest ono nadal w rękach CDU, aczkolwiek burmistrzem jest aktywista SPD, ale statystyka zmienia się bardzo szybko. „Nazaret", jak to niegdyś protestanckie miasto nazywają okoliczni katolicy (a w którym szybko wzrasta liczba mahometan), to także ojczyzna medialnego koncernu Bertelsmanna i znanej firmy AGD Miele.

Tino Chrupalla, współprzewodniczący AfD, jest politykiem z pokolenia Alice Weidel. Urodzony w Weisswasser, niegdyś górniczym, dziś wymarłym miasteczku nad potokiem Struga na Górnych Łużycach (po serbołużycku Beła Woda) niedaleko niemieckiego Zgorzelca (Görlitz) 14 kwietnia 1975 r. Ostatnie wybory w Bełej Wodzie wygrała wprawdzie AfD, lecz kordon sanitarny wokół tej partii ze strony wspólnych sił lewicy (CDU, komuniści z Die Linke i socjaliści SPD) sprawił, że burmistrzem została i tu aktywistka SPD. Chrupalla jest wspólnie z Alice Weidel od 2021 r. także przewodniczącym klubu poselskiego Alternatywy dla Niemiec w Bundestagu.

RÓŻNICE KULTUROWE

Nie ma chyba bardziej od Weidel i Chrupalli różnych kulturowo polityków, stojących na czele jednej partii.

Alice Weidel i Tino Chrupalla pochodzą z odmiennych środowisk. Weidel to dziecko solidnego, mieszczańskiego domu. Jej ojciec, Gerhard Weidel, pochodzi ze Śląska, z Głubczyc w Opolskiem, gdzie urodził się na krótko przed napaścią Niemiec, Słowacji i Związku Sowieckiego na Polskę. W 1945 r. Gerhard Weidel z rodziną uciekł przed Sowietami do Verl w Westfalii. Tu założył rodzinę. Dziad Alice Weidel („Nie utrzymywałam z nim kontaktu" – mówi polityk AfD) był doktorem prawa i funk-

eprasa.pl 8823c38a33

cjonariuszem NSDAP. Podobno nic nie wiedziała o jego przeszłości (jak czytamy w tekście „Nieznana historia dziadka Alice Weidel", „Welt am Sonntag", 15 listopada 2024 r.). Wielu Niemców niechętnie wspominało po wojnie rodzinne dzieje ze znanych powodów. Nie była to przeszłość, którą się można było pochwalić. Trudno znaleźć w Niemczech przedstawicieli tego pokolenia, nieobarczonych brunatną przeszłością. W rodzinie Weidlów nie musiało być inaczej. Ale niewątpliwie fakt pochodzenia ojca Alice Weidel z utraconego po wojnie Śląska wpłynął na jej historyczną i pewnie też polityczną świadomość. W Westfalii Alice Weidel zrobiła w 1998 r. maturę, w gimnazjum (tak nazywają się w Niemczech licea ogólnokształcące, uczące dzieci po czteroletniej podstawówce) Jugenddorf-Christophorus w Versmold. Po maturze zdolna i pracowita uczennica podjęła studia ekonomii i administracji biznesowej na Uniwersytecie w Bayreuth. Skończyła je w 2004 r. jako prymuska swego rocznika pracą o roli banków w ładzie korporacyjnym jako koncepcji polityki transformacji na przykładzie Chińskiej Republiki Ludowej.

Inną drogą podążał nieco wcześniej późniejszy współprzewodniczący Alternatywy dla Niemiec, Tino (dla przyjaciół „Pinsel", po niemiecku: „Pędzel") Chrupalla. Jego ojciec był z zawodu mechanikiem. Najbliższy dzisiaj kolega partyjny Alice Weidel urodził się i dorastał w NRD, w Krauschwitz (po serbołużycku Kruszwica) w powiecie Beła Woda. Po ukończeniu szkoły realnej, co dało mu małą maturę, zdobył pożądany w tych latach w zapuszczonych, szaroburych Niemczech Wschodnich zawód malarza lakiernika. Po ukończeniu szkół zawodowych w niemieckim Zgorzelcu i w Dreźnie Chrupalla dostał dyplom mistrzowski i założył własne przedsiębiorstwo. Wiadomo, że ma żonę i troje dzieci oraz że na ogół nie upublicznia informacji o swej rodzinie, najprawdopodobniej obawiając się o ich zdrowie i życie. Sam doskonale pamięta incydent z Ingolstadt sprzed trzech lat. Zdaniem prokuratora nic poważnego: ot, ukłucie pineską. Chrupalla jest innego zdania. Kilka lat temu ktoś mu w nocy podpalił samochód. To też raczej nie przypadek. Volkswagen Caddy polityka doszczętnie spłonął, jego właściciel, próbując zgasić pożar, znalazł się w szpitalu. Nawet politycy z nieformalnej „koalicji demokratycznej" wyrazili oburzenie z powodu incydentu w saksońskim Gablenz. Jak premier Saksonii, Michael Kretschmer (CDU), który oznajmił: „Nie ma absolutnie żadnej tolerancji dla przemocy wobec mienia i ludzi. Każdy, kto ucieka się do takich metod, dzieli społeczeństwo i podsyca dalszą agresję". Konieczne jest przerwanie „cyklu przemocy".

Także Alice Weidel nie mówi wiele o swym związku z kobietą – czy dla ochrony, czy z innych powodów. Zamachy na polityków konserwatywnych, a także uważanych przez lewicę za prawicę, jak działacze CDU, są w Niemczech na porządku dziennym. Są oni często narażeni na akty przemocy ze strony przeciwników politycznych. Atakują biura poselskie, samochody (np. w Lipsku niedawno doszło do podpalenia samochodu radnego z AfD), a nawet spotykają się z groźbami zabójstwa ze strony „obrońców demokracji" czy uczestników „pokojowych demonstracji".

Kiedy Tino Chrupalla rozwijał swą firmę, Alice Weidel pięła się po szczeblach zawodowej kariery. Po studiach w Bayreuth została analitykiem w renomowanym banku Goldman Sachs we Frankfurcie nad Menem, po czym zajęła się pisaniem pracy doktorskiej pod kierunkiem ekonomisty Petera Oberendera (sygnatariusza Inicjatywy Wyborczej 2013, z której wyłoniła się Alternatywa dla Niemiec) na wydziale prawa i ekonomii uniwersytetu w Bayreuth. Nadal interesowała się Chinami. Za doktorat na temat przyszłości chińskiego systemu emerytalnego uzyskała wysokie wyróżnienie magna cum laude. Na pisanie pracy doktorskiej i wyjazdy do Chin Alice Weidel uzyskała stypendia promocyjne dla talentów, zarówno ze strony Fundacji im. Konrada Adenauera, jak i Deutscher Akademischer Austauschdienst (DAAD) i resortu oświaty.

CDU – ŻAŁOSNY CIEŃ DAWNEJ ŚWIETNOŚCI

Zapamiętajmy te dwa nazwiska: Alice Elisabeth Weidel i Tina Chrupalli. Niebawem usłyszymy o nich więcej. To nie są kawiarniani politycy. Ta partia, której przyczepiają etykietkę siły skrajnie prawicowej, ekstremistów, antydemokratów, jest w istocie partią konserwatywną nowego typu. Lewica, czyli demokraci, jak się sami nazywają, walczy z tą formacją całkiem niedemokratycznymi metodami: kordon sanitarny, pojawiające się tu i tam żądania delegalizacji. Przeciwnicy AfD uważają, że wrogom demokracji nie należy dawać szansy na jej likwidację. To zasada leżąca u podstaw koncepcji „demokracji walczącej" – twierdzą oni. Dlatego możliwe jest ich zdaniem również zakazanie działalności partii antydemokratycznych. Jak w NRD? Od dawna pojawiają się w Niemczech zwolennicy zakazu działalności AfD. Uznanie AfD w Turyngii, Saksonii i Saksonii-Anhalt za ugrupowania skrajnej prawicy zaogniło tę debatę. Pomagają w tym lewicowe media – a poza niszowymi tylko takie są w Niemczech. Partie politycznego establishmentu w Niemczech, jak niegdyś konserwatywne CDU i CSU, przeszły tymczasem na lewo, tak oddaliły się od swoich ideałów i wartości, że niczym nie przypominają chrześcijańskiej demokracji z czasów Konrada Adenauera. Dzisiaj są one tylko żałosnym cieniem dawnej świetności. Z chrześcijaństwem nie ma wiele wspólnego partia, która flirtuje z islamem do tego stopnia, że imputuje się jej zgoła utworzenie „platformy islamskiej". Przyjęty przez partyjną komisję aplikacyjną CDU w 2024 r. fragment programu, dotyczący islamu zaczyna się teraz od słów: „Muzułmanie są częścią religijnej różnorodności Niemiec i naszego społeczeństwa". Ponadto CDU zobowiązuje się w nim do dalszego rozwijania badań i nauczania w zakresie teologii islamskiej oraz kształcenia niemieckojęzycznych imamów na niemieckich uniwersytetach. Muzułmanom w Niemczech to nie wystarcza: Centralna Rada Muzułmanów w Niemczech krytykuje także ten nowy fragment programu. Jej zdaniem stanowi on jedynie „kolejną próbę Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej łowienia ryb w mętnej wodzie, mającą na celu stygmatyzację muzułmanów" – grzmiał przewodniczący Centralnej Rady, Aiman Mazyek, w wywiadzie dla Editorial Network Germany. Muzułmanie w Niemczech z niemieckim obywatelstwem wybierają lewicę, a nie partię niegdyś Angeli Merkel. Była prawica to nie ich bajka. Po co wybierać kopię, skoro można oryginał?

eprasa.pl 8823c38a33

Przyjrzyjmy się aktualnej przedwyborczej mapie politycznej Niemiec. Okazuje się, że nie ma ani jednego kraju związkowego w Republice Federalnej, w którym nie wzrosłoby poparcie dla Alternatywy dla Niemiec od poprzednich wyborów (brak danych jedynie z Bremy, gdzie AfD ma 15 proc. poparcia), prowadzonej przez Alice Weidel i Tina Chrupallę. I tak: Badenia-Wirtembergia – 20 proc., wzrost o 10,3 punktu procentowego, Bawaria – 18 proc., wzrost o 3,4 p.p., Berlin (czerwona twierdza) – 16,3 proc., wzrost o 7,2 p.p., zapewne w związku ze styczniowym zamachem na sieć energetyczną stolicy, Brandenburgia – 34 proc., wzrost o 4,8 p.p., Brema – 15 proc., Hamburg (bastion SPD i Zielonych) – 7,5 proc., wzrost o 2,2 p.p., Hesja (CDU traci 4 proc.) – 20 proc., wzrost o 1,6 p.p., Meklemburgia-Pomorze Zachodnie (Zaodrzańskie) – 37 proc., wzrost o 20,3 p.p. (to rekordowy wynik), Dolna Saksonia – 20 proc. (CDU traci 6 proc.), wzrost o 9 p.p., Nadrenia Północna-Westfalia (mała ojczyzna Alice Weidel) – 15 proc., wzrost o 9,6 p.p., Nadrenia-Palatynat – 18 proc., wzrost o 9,7 p.p., Kraj Saary – 23 proc., wzrost aż o 17,3 p.p., Saksonia – 35 proc., wzrost o 4,4 p.p., Saksonia-Anhalt 39 proc., wzrost o 18,2 p.p., Szlezwik-Holsztyn – 14 proc., wzrost o 9,6 p.p. i wreszcie Turyngia – 38 proc., wzrost wobec ostatnich wyborów o 5,2 p.p.

W tym roku do parlamentów krajowych mają miejsce wybory w Badenii-Wirtembergii, Nadrenii-Palatynacie, Saksonii-Anhalt, w Berlinie i Meklemburgii-Pomorzu Zachodnim. Wszędzie AfD się wzmacnia. Sygnał po tych wyborach odbije się na wyborach do Bundestagu – uważają politolodzy, do czego zresztą nie potrzeba ani kryształowej kuli, ani czarnego kota.

Skąd wzięła się popularność prowadzonej przez Alice Weidel i Tina Chrupallę nowej, prawicowej, wielkiej partii politycznej Alternatywa dla Niemiec? Czy jest to – jak uważano – partia protestu przeciwko zaproszeniu przez byłą kanclerz i szefową CDU, Angelę Merkel, islamskich osadników do Niemiec? Zwłaszcza pamiętna noc sylwestrowa w Kolonii na Placu Katedralnym w 2015 r., kiedy to doszło do napaści seksualnych ze strony przybyszów z krajów arabskich na mieszkanki miasta witające nowy rok, otworzyła wielu Niemcom oczy na sytuację, do której doszło w kraju między Renem a Odrą. A szczególnie na milczenie mediów, zazwyczaj aktywnych, jeśli chodzi o prawa człowieka. Alice Weidel wielokrotnie ostro krytykowała wydarzenia nocy sylwestrowej w Kolonii przełomu lat 2015 i 2016, atakując błędną – co przyznaje dzisiaj także CDU Friedricha Merza – politykę migracyjną rządu Niemiec. Lapidarnie mówiąc, uznała ona wydarzenia i ściganie sprawców za formalne ogłoszenie upadłości przez państwo niedorosłe do rozwiązania problemów, przed którymi stoi. Chyba nie dziwi nikogo, że tego samego zdania jest Tino Chrupalla. W wywiadzie, którego udzielił on berlińskiej redakcji Deutsche Welle 2 września 2021 r., zabierając głos na temat przybyszy z Afganistanu, opowiedział się za odmową udzielenia im ochrony na mocy konwencji genewskiej w sprawie uchodźców.

Po uzyskaniu nominacji na czołową kandydatkę AfD w wyborach w 2017 r. Weidel rozprawiła się z polityczną poprawnością bronią masowego rażenia lewicy, mówiąc, że powinna się ona znaleźć na cmentarzysku historii. Zaatakował ją za to stwierdzenie satyryk Christian Ehring w programie stacji NDR „extra 3": „Tak, dość z poprawnością polityczną. Bądźmy wszyscy niepoprawni. Ta nazistowska suka miała rację. Czy to było wystarczająco niepoprawne? Mam nadzieję, że tak". Sąd w Hamburgu odrzucił wniosek Weidel o wydanie postanowienia w tej sprawie przeciwko Ehringowi. Oczywiście broniąc wolności słowa. Jakże inaczej ocenia się wolność słowa takiej Weidel czy takiego Chrupalli.

BRAK KONTAKTÓW ZE STRONY POLSKIEJ

Obaj politycy nie czują sympatii ani do Unii Europejskiej w obecnym kształcie, ani do wspólnej waluty, z której jest ona dumna. Bez mała 10 lat temu Weidel apelowała o usunięcie Hiszpanii i Portugalii ze strefy euro. Mniej więcej w tym samym czasie opowiedziała się za rezygnacją Niemiec z euro i powrotem do pieniądza opartego na parytecie złota. Jeśli chodzi o Unię Europejską, to Weidel skorygowała później swe stanowisko. Chrupalla w „wywiadzie tygodnia" w radiu Deutschlandfunk z lutego 2024 r. wypowiedział się przeciwko wyjściu Niemiec z Unii Europejskiej. „Na dexit jest za późno" – powiedział współprzewodniczący AfD, dodając, że taką samą opinię zajmuje dziś Weidel. Ta w rozmowie z tabloidem „Bild" (w 2017 r.) powiedziała, że jej politycznym idolem jest Margaret Thatcher. Ciekawa jest opinia Weidel na temat Adolfa Hitlera. Rozmowa z Elonem Muskiem na Platformie X (9 stycznia 2025 r.) wywołała szok na lewicy: Weidel stwierdziła wobec swego rozmówcy, że Hitler nie był wcale konserwatystą, był komunistycznym, socjalistycznym typem polityka. Antysemickim socjalistą. W RTL szefowa AfD dodała, że to oczywiste, iż Hitler był lewakiem uciekającym się do dzisiejszych metod, jak urawniłowka mediów, ograniczenie wolności słowa, innych zakazów i wykluczenia odmiennych opinii. Hitler i Stalin – dodała – to bracia w duchu.

Zamachy na polityków konserwatywnych są w Niemczech na porządku dziennym. Są oni często narażeni na akty przemocy ze strony przeciwników politycznych

I można by opinie liderów AfD na różne tematy jeszcze długo wyliczać. Dodam tylko, że stosunek Weidel wobec Rosji (na ogół pozytywny – tak jak i np. CDU oraz SPD) bywa jednak krytyczny i odmienny w porównaniu ze stanowiskiem Chrupalli, który broni wyjazdów kolegów partyjnych do Moskwy czy wizyt w ambasadzie Rosji. Jeśli chodzi o Polskę, Weidel i Chrupalla podzielali stanowiska Warszawy w sprawie budowy zapory na granicy Polski z Białorusią przeciwko nielegalnej migracji, apelując o wsparcie rządu Niemiec dla wysiłków ówczesnego rządu w Warszawie. Naturalnie jest wiele tematów związanych z Polską jak kwestia reparacji czy gazociąg na dnie Bałtyku, w których stanowiska są odmienne. W tych sprawach nie pomaga jednak brak kontaktów z AfD ze strony polskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33

Megametropolie nowego świata



Megamiast przybywa w coraz szybszym tempie. Według prognoz ONZ w 2050 r. będzie ich 37, o cztery więcej niż obecnie. Na zdjęciu: Dżakarta, miasto zamieszkane przez 42 mln osób FOT. ADOBE STOCK



Teresa Stylińska

Po latach nieprzerwanego panowania Tokio zostało zdetronizowane. Już nie jest największym miastem świata. Na pierwszym miejscu znalazła się Dżakarta. Stolica Indonezji ma 42 mln mieszkańców, liczbę wprost niewyobrażalną. Tokio, z 33 mln mieszkańców, spadło na trzecie miejsce. Druga jest stolica Bangladeszu, Dhaka, w której mieszka 37 mln ludzi

Takie wyniki przyniósł opublikowany pod koniec ubiegłego roku ONZ-owski raport o stanie urbanizacji na świecie. Zaskakujące? W dużej mierze tak. Nie od dziś wiadomo, że Tokio, Meksyk czy Szanghaj, a z miast mniej egzotycznych przede wszystkim Nowy Jork, to prawdziwe miejskie giganty. Wiadomo także, że w Trzecim Świecie miasta rosną w zawrotnym tempie. Ale żeby na czele listy znalazły się stolice krajów, które do grona gospodarczych tygrysów doszlusowały stosunkowo niedawno? Czy zresztą Bangladesz, choć jest potentatem w masowej produkcji tekstyliów, można w ogóle uznać za tygrysa?

Jak do wielkich miast ma się intensywnie lansowane w Europie miasto 15-minutowe? Mała miejska ojczyzna, gdzie wszystko – praca, szkoły, lecznice, bary i parki – jest w zasięgu ręki. Z Dżakarty dałoby się wykroić przynajmniej kilkaset 15-minutowych miast, a może nawet więcej, ale tylko matematycznie, nie w rozumieniu społecznym. Można też wykroić aż cztery megamiasta. Próg dla megamiasta to 10 mln mieszkańców.

AZJA I CAŁA RESZTA

Angielskie „megacity" brzmi dobrze. A po polsku? Metropolia? To nie to samo. Wystarczy milion mieszkańców, by uznać miasto za metropolię, zwłaszcza gdy liczy się ono w życiu kraju. Jesteśmy więc chyba skazani na „megamiasto". Nie brzmi najlepiej, ale przynajmniej jest klarowne, bo grecka cząstka „mega" – „jestem megaszczęśliwy!" – zadomowiła się na dobre w potocznej mowie polskiej. Angielski ma łatwiej o tyle, że miasta małe i duże są językowo odmienne: małe „town" i wielkie „city" to zupełnie różne światy. Po polsku miasto to miasto.

Przetasowania w czołówce rankingu wynikają nie tylko ze zmiany sytuacji, czyli nieprzerwanego i w dużej mierze niekontrolowanego napływu ludności do miast, lecz także ze zmiany sposobu liczenia liczby ludności. Niezależnie jednak od tego, które miasto gdzie się plasuje i jak szybko się rozrasta, pewne tendencje są aż nadto wyraźne. To przede wszystkim dominacja Azji. W pierwszej dziesiątce ONZ-owskiej listy jest dziewięć miast azjatyckich i tylko jedno spoza Azji – Kair, który z 25,6 mln mieszkańców zajmuje siódme miejsce. Za wspomnianą pierwszą trójką jest New Delhi (30,2 mln), następnie Szanghaj (29,6 mln) i Kanton (27,6 mln). Ósme miejsce, za Kairem, zajmuje Manila (24,7 mln, ma przy tym największą gęstość zaludnienia), za nią Kalkuta (22,5 mln) i na końcu Seul (22,5 mln).

Oto co mówi raport: na świecie istnieją dziś 33 megamiasta, tyle samo co w 2018 r., gdy opublikowano poprzednią jego wersję. Na Azję przypada ponad

eprasa.pl 8823c38a33

połowa, bo aż 19 megamiast. To m.in. Karaczi (21,5 mln), Bombaj (20,2), Bangkok (18,2 mln) i Pekin (17 mln). A na innych kontynentach? W Ameryce Południowej największe miasta to Sao Paulo (19 mln) i Meksyk (17,7 mln). W Europie – Moskwa (14,5 mln) i Londyn (10,4 mln), a także Stambuł (15 mln), który w równej mierze można przypisać Azji. W Ameryce Północnej – Nowy Jork (14 mln) i Los Angeles (12,7 mln). W Afryce drugie po Kairze jest Lagos (12,8 mln).

Suche liczby, a takimi operuje ONZ-owski raport, rzadko są w stanie przemówić do masowej wyobraźni. Z megamiastami jest inaczej. Wielkie liczby mówią. Nie potrzeba barwnych opisów, by dostrzec, jak przez ostatnie lata zmienił się świat, gdzie dziś ma punkt ciężkości i czego można się spodziewać czy może nawet obawiać?

Dżakarta, co ciekawe, największym miastem świata może być już od dłuższego czasu. Przypuszczalnie wysunęła się przed Tokio ok. 2010 r. Dlaczego umykało to statystykom? To skutek stosowanej metodologii. Do tej pory podstawę sporządzania rankingów stanowiły informacje przekazywane ONZ przez poszczególne kraje, więc z założenia niespójne, a czasem też niedokładne. Władze Indonezji np. nie uwzględniały podobno rozmiarów slumsów, dzielnic najbiedniejszych, a te w miastach Trzeciego Świata zawsze są rozległe. Stąd niedoszacowanie Dżakarty.

WIELKIE KRAJE, WIELKIE MIASTA

Dodajmy jednak, dla jasności, że na tym polu jasności i precyzji tak naprawdę nie ma. Różne instytucje sporządzają własne zestawienia, w oparciu o własne kryteria, a efekty bywają tyleż rozbieżne, co zaskakujące. W jednym z takich rankingów na czele znalazło się indyjskie miasto Bangalore (obecnie oficjalnie nazywane Bengaluru), zamieszkane przez 13 mln ludzi. W innym pierwszy miał być Szanghaj. A na stronie internetowej miarodajnej przecież Encyclopaedia Britannica znalazła się ostatnio informacja, że największym miastem świata jest Kanton, z niewiarygodną liczbą ponad 73 mln mieszkańców. Rzecz w tym, że w tym wypadku wzięto pod uwagę całą ogromną strefę metropolitalną, obejmującą, poza Kantonem, aż sześć miast, w tym 13,5-milionowy Shenzhen. Shenzhen, gigant wyrosły na produkcji przemysłowej, sam w sobie spełnia kryteria megamiasta i w rankingu ONZ-owskim występuje samodzielnie.



Tokio straciło już tytuł najludniejszej metropolii świata, a według prognoz do roku 2050 może wypaść nawet z pierwszej piątki FOT. ADOBE STOCK

Oto obraz, który zna każdy: morze małych domów, a nad nimi albo w tle, na horyzoncie skupisko wysokościowców. Cóż to za miasto? Trudno powiedzieć, bo w takim ujęciu wszystkie są do siebie łudząco podobne. Taki obraz miasta ujmuje jednak w telegraficznym skrócie to, co tworzy megamiasto: z jednej strony wielki biznes, rezydujący w wieżowcach, z drugiej ogromne masy ludzi, którzy przybywają do miasta w poszukiwaniu pracy.

Gdyby obraz poszerzyć, mogłoby się okazać, że na megamiasto składa się również wianuszek miast mniejszych, które zresztą wcale nie są małe. W skład aglomeracji Dżakarty wchodzi kilka miast, z których najmniejsze mają milion mieszkańców, większe zaś blisko 3 mln. A Tokio, liczone wraz z 3,5-milionową Jokohamą i mieszkańcami trzech w sumie prefektur? Taka kombinacja kilku miast to układ zrozumiały i może nawet pożądany. Jak rządzić 40-milionowym miastem, zlepionym w jeden potężny organizm? Lepiej, gdy jego składniki są rozdzielone.

To nie przypadek, że w rankingu megamiast dominują Chiny i Indie. Wielkie miasta powstają w krajach wielkich, to oczywiste. Albo takich, które, jak Korea Południowa, dokonały wielkiego skoku czy też właśnie go dokonują. Miasta, oferujące możliwości, perspektywy i szanse, działają jak magnes dla rzesz ludzi, szukających – przepraszam za banał – lepszego życia. Czy naprawdę jest ono lepsze?

Nie zawsze. Sądząc po problemach, z którymi muszą sobie radzić i zwykli ludzie, i władze megamiast. Wszędzie jest tak samo. Przeludnienie i ogromne różnice społeczne. Problemy życia codziennego: żywność i woda, szkoły i komunikacja, hałas i smog. Wszystko to są sprawy doskonale znane i po tysiąckroć opisane. Choć trzeba powiedzieć, że nie dotyczą wszystkich megamiast. Tokio, choć ogromne, nie jest miastem slumsów i nierówności i w niczym nie przypomina innych azjatyckich gigantów. To inny świat,

– Mieszkam w Jokohamie, bo tam mogę mieć dom z ogródkiem i moje dzieci mogą się w nim bawić – opowiadała mi znajoma Japonka. – Codziennie dojeżdżam do pracy w Tokio, półtorej godziny w jedną stronę. Tracę w sumie trzy godziny dziennie, ale warto, bo dzięki temu mamy zupełnie inną jakość życia.

Takie problemy mogą być udziałem mieszkańców zamożnego, cywilizowanego Tokio. Ale Dhaki, Dżakarty czy Lagos, miast na etapie niekontrolowanego rozwoju?

BRASILIA W DŻUNGLI, NEOM NA PUSTYNI

Zdarzają się jednak problemy nietypowe. Wobec takiego stoją władze nie tylko Dżakarty, lecz także całej Indonezji. Miastu, położonemu nad morzem, na gęsto zaludnionej Jawie, grozi zalanie. Grunt się powoli zapada, Dżakarta tonie.

Władze postanowiły rozwiązać problem niejako od podstaw: stolicę należy

eprasa.pl 8823c38a33

przenieść. Decyzja zapadła już jakiś czas temu i jest rzeczywiście radykalna. Nusantara, jak nazwano nową stolicę, powstaje z dala od Jawy, na Borneo, w prowincji Kalimantan. Budowa jest już zaawansowana. Jest tylko jedno pytanie: Jak przeprowadzić ponad 40 mln ludzi?

Takie pytanie mogą jednak zadawać wyłącznie ludzie naiwni. Któż by zaprzątał sobie głowę losami masy ludzkiej! Do Nusantary przeniosą się ci, którzy przenieść się powinni: władze, administracja, urzędnicy, a także wielkie firmy i ci, których na to stać. W sumie z pewnością kilka milionów ludzi. Reszta zostanie na miejscu, w Dżakarcie i okolicznych miastach, i będzie musiała jakoś sobie radzić.

Budowa nowej stolicy to rozwiązanie, które od czasu powstania Brasilii, zbudowanej w latach 60. w głębi amazońskiej dżungli, nie cieszy się najlepszą sławą. Przedsięwzięcie było ogromne, kształt miasta i nowoczesne budynki projektowali światowej sławy architekci i urbaniści, zadbano także o podbudowę ideową, bo miasto miało być demokratyczne, dla wszystkich. Brasilia powstała. Ale cóż z tego? Ludzie nie palili się do przenosin daleko w głąb kraju, w nowej stolicy zamieszkali więc ci, którzy musieli. I do dziś, jeśli wierzyć relacjom, jest to miejsce bez duszy, choć zamieszkane przez kilka milionów ludzi.

Brasilia nie jest jedyna. W późniejszym czasie parę stolic straciło swój uprzywilejowany status na rzecz nowych miast. W Nigerii powstała Abudża, w Kazachstanie Astana. W Malezji władze państwowe przeniosły się do nowego miasta Putrajaya, zbudowanego z myślą o odciążeniu Kuala Lumpur (które formalnie pozostało stolicą). Władze Egiptu zaś od paru miesięcy urządzają się w Nowym Kairze, nowoczesnej dzielnicy, zbudowanej kilkadziesiąt kilometrów od ogromnego Kairu megamiasta.

Program budowy nowych miast przygotowuje także laburzystowski rząd Wielkiej Brytanii. Nie zamierza on oczywiście przenosić Londynu ani się z niego wyprowadzać. Nowe miasta mają być średniej wielkości, na razie siedem, a docelowo być może więcej, oczywiście zielone i ekologiczne. Ich budowa, według zamysłów władz, ma stać się kołem zamachowym brytyjskiej gospodarki.



Dhaka, stolica Bangladeszu, to drugie największe miasto świata. Mieszka w nim 37 mln ludzi FOT. ADOBE STOCK

Na takim realistycznym tle tym bardziej szaleńczo – bardzo oględnie mówiąc – przedstawia się saudyjski pomysł na miasto na pustyni: mariaż ekstrawagancji architektonicznej z wielkimi pieniędzmi i jeszcze większymi rojeniami. Projektowi Neom, jak nazwano planowane miasto, osobiście patronuje książę Muhammad bin Salman, faktyczny władca Arabii. Na Neom składa się jeden element: The Line. Owa Linia to budynek o szerokości 200 metrów i wysokości 500 metrów, z zewnątrz obłożony lustrami. Ale to nic. Prawdziwa esencja projektu to długość: 170 km, prostopadle do zatoki Akaba, a także liczba mieszkańców: 9 mln ludzi, którzy w tej jednej, wspólnej budowli mają znaleźć wszystko.

Gigantyczne koszty, z którymi należałoby się liczyć, a zapewne także kłopoty z realizacją sprawiły, że projekt mocno zmodyfikowano. Kosztem długości: już nie 170, a tylko 24 km. Czy Neom stał się przez to bliższy realizacji, naprawdę nie wiadomo.

DHAKA ALBO DELHI

W ciągu ostatniego półwiecza liczba megamiast wzrosła czterokrotnie. W 1975 r. było ich osiem. Trend zapoczątkował Nowy Jork, który w 1910 r. przekroczył magiczny 10-milionowy próg, stając się pierwszym w świecie megamiastem. Później dołączyły Tokio. Meksyk, São Paulo i inni.

Ale to tylko jeden, bardzo, co prawda, wyrazisty, aspekt urbanizacji, która – jak się wydaje – jest trendem nieodwracalnym. W miastach, od małych po giganty, żyje dzisiaj, według raportu ONZ, 45 proc. mieszkańców kuli ziemskiej. To blisko 4 mld ludzi. W 1950 r. ludność miejska stanowiła tylko 20 proc. z 2,5 mld ówczesnych mieszkańców globu. Za to w 2050 r. w miastach będzie mieszkać aż 60 proc. ludzi. Czy będą wybierać do życia miasta średniej wielkości, jak teraz? Preferencje tak bardzo się nie zmieniają, a miasta mające ok. 250 tys. mieszkańców uchodzą za dobre do życia.

Megamiast przybywa w coraz szybszym tempie. W 2050 r., przewiduje ONZ, będzie ich 37, o cztery więcej niż dzisiaj. Do ich grona miałyby dołączyć trzy stolice: Addis Abeba, Dar es Salaam i Kuala Lumpur plus indyjskie miasto Hadżipur. A może stanie się to wcześniej? Według innych prognoz, sformułowanych w 2020 r., już w 2030 r. do listy megamiast dojdzie sześć nowych: Chicago, Bogota, Madras (inaczej Czennai), Bagdad, Luanda i Dar es Salaam. Jest rok 2026 i dwa ostatnie miasta już w tym gronie są. Dżakarta zaś w przyszłości być może odda prymat Dhace albo Delhi.

Wagi pozycji w ONZ-owskim rankingu, jak zresztą we wszelkich rankingach, nie należy jednak przeceniać. Przeciwnie: dystans jest ze wszech miar pożądany.

Weźmy bowiem Londyn i Paryż. Oba miasta przez lata traktowano – nie bez racji – nieledwie jak stolice świata. Od tego czasu jednak oba wypadły ze ścisłej czołówki światowych metropolii. Londyn, mający 10,4 mln mieszkańców, mieści się jeszcze wśród megamiast, ale dopiero na 32. miejscu. Paryż, z 9,4 mln, ma miejsce 34., już poza gronem gigantów. Nie należy jednak zapominać, że 10 mln to próg umowny, a dla znaczenia obu miast – i nie tylko ich – pozycja na liście miast wielkich jest po prostu nieistotna. Ważne są inne, właściwie niewymierne czynniki, z historią i kulturą na czele. To też rywalizacja, ale jednak inna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33



FOT. FLORIAN HEISS/PAP/DE

REPLIKI AUSCHWITZ

Przed urzędem skarbowym w Eggenfelden (Bawaria) postawiono konstrukcję z drewna przypominającą piec krematoryjny. Była ona oznaczona swastykami, runami SS oraz napisem „Cyklon B". Nie jest to nowa sytuacja w tym miejscu. Kilka dni wcześniej ustawiona została replika bramy obozu koncentracyjnego Auschwitz (ze sławetnym złowieszczym hasłem „Arbeit macht frei"). Policja wszczęła śledztwo. Oba zdarzenia są traktowane jako akty antysemityzmu. Brane jest pod uwagę przestępstwo propagowania nazizmu.

SIEKIERĄ W SAMOLOT

Do strefy zamkniętej lotniska w Shannon wszedł nielegalnie ok. 40-letni mężczyzna. Intruz wspiął się na zaparkowany tam, należący do amerykańskich sił powietrznych samolot transportowy C-130 Hercules, a następnie zaczął maszynę dewastować. Siekierą uszkodził skrzydło i kadłub. Na miejsce przybyły policja i inne irlandzkie służby. Sprawca został aresztowany pod zarzutem zniszczenia mienia.

CHAOS NA POKŁADZIE

Kilkaset osób lecących z Londynu do Houston utknęło na kilka dni w St. John's w kanadyjskiej prowincji Nowa Fundlandia i Labrador. Samolot British Airways musiał awaryjnie lądować, gdyż jeden z pasażerów wymagał pilnej pomocy medycznej. Do tego doszła techniczna usterka maszyny. Pasażerowie skarżyli się na chaos organizacyjny w bardzo trudnych warunkach (na zewnątrz temperatura w nocy dochodziła do minus 10 st. Celsjusza).

TRUCICIELE?

Filipiny oskarżyły chińskich rybaków o używanie cyjanku w trakcie połowów na Morzu Południowochińskim. Manila uznała to za „sabotaż", którego celem jest niszczenie lokalnych zasobów ryb i odcinanie żywności dla filipińskich żołnierzy stacjonujących na wraku okrętu BRP „Sierra Madre". Filipiny oświadczyły, że przejęły butelki z trucizną i potwierdziły jej obecność w próbkach wody. Chiny odrzuciły zarzuty jako „niewiarygodne".

ZARABIAŁ ZA MAŁO

W Kalifornii aresztowano 29-letniego mężczyznę za podpalenie ogromnego magazynu firmy produkującej środki higieniczne. Według osób prowadzących śledztwo motywem działania była chęć zemsty. Mężczyzna był zatrudniony w tej firmie i uważał, że zarabia za mało. Sam nagrał moment podpalenia i rozesłał wideo znajomym z komentarzem, że chce w ten sposób ukarać swoich pracodawców. Straty firmy są szacowane na ok. 500 mln dol. Sprawcy grozi nawet 20 lat więzienia. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Innowacje wykute w ogniu

Generałowie zawsze szykują się do poprzedniej wojny. Konflikt na Ukrainie pokazuje, że to znane powiedzenie nadal ma w sobie dużo prawdy. Drony i roboty, obok artylerii, czołgów czy piechoty, stały się już nieodłącznym elementem współczesnego pola walki. W zeszłym tygodniu pierwszy raz w historii konfliktu rosyjsko-ukraińskiego same roboty (bez żadnego udziału piechoty) zdobyły rosyjską pozycję.

W Internecie przybywa filmów, w których żołnierze po obu stronach poddają się nie żołnierzom wroga, ale właśnie pojazdom bezzałogowym: latającym lub jeżdżącym. Tanie drony zdały też test podczas wojny na Bliskim Wschodzie, zmuszając obrońców do odpalania w ich kierunku wielokrotnie droższych pocisków.

Nie oznacza to, że zaawansowane systemy rakietowe czy czołgi nie są potrzebne. Amerykanie nie tylko wzmocnili pancerze Abramsów, lecz także zmodyfikowali je tak, aby załogi mogły wypuszczać drony bez wychodzenia z czołgu. Do strącania bezzałogowców wykorzystują np. karabin M134 Minigun. Brytyjska armia też integruje drony z czołgami.

Polska nie musi importować tych rozwiązań. Może opracować własne systemy. Polscy inżynierowie z różnych start-upów z sukcesem opracowują już nowoczesne i tanie technologie. NATO rozwija zaś centra badawcze w ramach programu DIANA. Jedno z nich – FORT Kraków – działa już w Polsce, łącząc start-upy, naukowców i wojskowych.

Jeśli nauczymy się błyskawicznie przechodzić od projektu innowacyjnych rozwiązań przez testy i finansowanie do wdrożenia, to polscy generałowie będą wreszcie przygotowani do pola walki przyszłości, a nie przeszłości. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33



HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



HORROR RABACJI GALICYJSKIEJ

Szał Szeli – w trakcie rabacji galicyjskiej rozegrały się sceny, jakich na ziemiach polskich nie widziano od czasów powstania Chmielnickiego i koliszczyzny. Szlachtę mordowano z wyjątkowym bestialstwem.

Stalowy filantrop – Andrew Carnegie był najbardziej wpływowym filantropem w dziejach. Amerykański bogacz odegrał też pewną rolę w promowaniu sprawy polskiej.

Kozielska wojna nerwów – film „Pojedynek" pokazuje, jak Sowieci starali się pozyskać agenturę wśród polskich jeńców. Zważywszy na skalę podjętych działań, „urobek" enkawudzistów był dosyć mizerny.

Czmychający Bierut – namiestnik Stalina nie mógł darować młodzieży upokorzenia, które przeżył w Szczecinie podczas uroczystości państwowych.

Kod Voynicha – konspirator, Sybirak i rzutki przedsiębiorca zasłynął jako posiadacz tajemniczego manuskryptu z późnego średniowiecza.

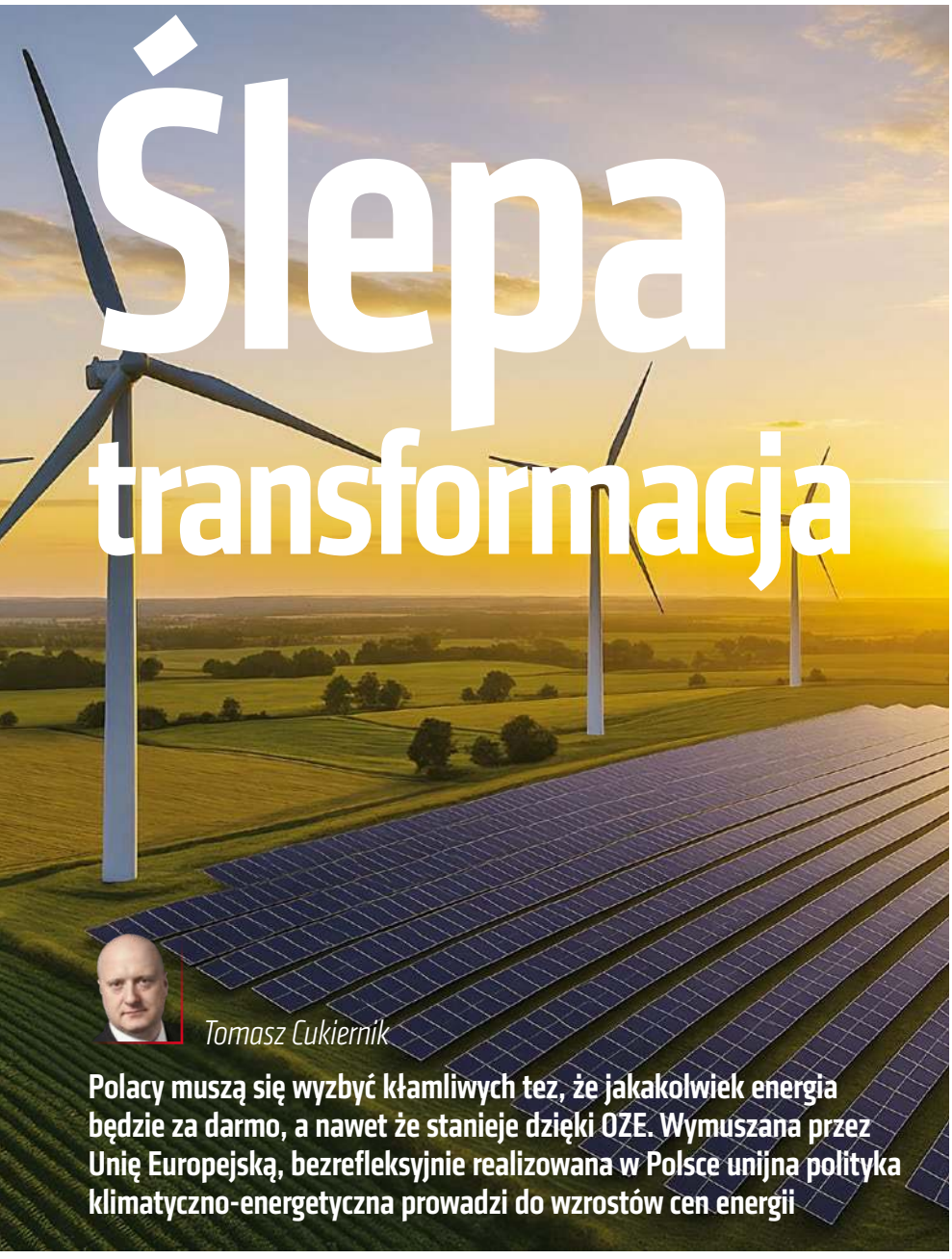
Burzliwa młodość geniusza – wydawać się mogło, że wielka kariera stoi otworem przed młodym da Vinci. Wtedy jednak doszło do wydarzenia, które omal nie zakończyło się dla niego tragicznie.

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 8823c38a33

Ślepa transformacja



Tomasz Cukiernik

Polacy muszą się wyzbyć kłamliwych tez, że jakakolwiek energia będzie za darmo, a nawet że stanieje dzięki OZE. Wymuszana przez Unię Europejską, bezrefleksyjnie realizowana w Polsce unijna polityka klimatyczno-energetyczna prowadzi do wzrostów cen energii

FOT. ADOBE STOCK

Najpierw kłamali, że jak zainwestujemy w OZE, to energia będzie za darmo, bo przecież wiatr i słońce są za darmo. Potem łgali, że dzięki OZE będziemy płacili znacznie mniej, a teraz kłamią, że nie będziemy płacili więcej. Jednak wbrew temu, co opowiadają eksperci i politycy uśmiechniętej koalicji, im więcej odnawialnych źródeł energii w systemie, tym energia jest droższa, a nie tańsza. „Ceny rachunków za prąd rosną we wszystkich krajach Unii Europejskiej niezależnie od tego, jak bardzo one zdekarbonizowanymi krajami są" – mówiła w jednym z programów ekspertka do spraw energetyki Wanda Buk, która przeanalizowała rachunki za energię we wszystkich krajach Unii Europejskiej za pięć ostatnich lat.

OPŁATA MOCOWA

Od stycznia 2026 r. Polakom znowu wzrosły rachunki za energię elektryczną. Z 3,5 zł/MWh do 7,3 zł/MWh, czyli o 108 proc. (!), wzrosła opłata OZE, z której finansowane jest wsparcie dla producentów energii ze źródeł odnawialnych. Opłata kogeneracyjna została podwyższona z 3 zł do 4,36 zł/MWh, czyli o 45 proc. Z kolei stawka tzw. opłaty mocowej dla gospodarstw domowych wzrosła o ok. 50 proc., a dla przedsiębiorców – ze 141,2 zł/MWh aż do 219,4 zł/MWh, czyli o ponad 55 proc.

Co to jest opłata mocowa i po co w ogóle została wprowadzona? Otóż z pieniędzy zebranych z tego tytułu płaci się za energię, która nie została wyprodukowana. Konkretnie chodzi o to, że mając w systemie pogodozależne farmy wiatrowe i fotowoltaiczne, trzeba zabezpieczyć system przed tym, że są one niestabilne i niesterowalne. W tym celu stabilne i sterowalne elektrownie, jak węglowe czy gazowe, za otrzymaną zapłatę zobowiązują się nie do faktycznego wyprodukowania i dostarczenia mocy, a do gotowości do dostarczenia energii w przypadku wezwania ze strony Operatora Systemu Przesyłowego, czyli Polskich Sieci Elektroenergetycznych. Takie wynagrodzenie mogą otrzymywać również firmy przemysłowe, które na wezwanie operatora są w stanie ograniczyć pobór energii w godzinach szczytu.

Jakie są to kwoty? Według Krajowego Planu Energii i Klimatu system wsparcia rynku mocy kosztuje nas 4 mld zł rocznie. To niestety kwota zaniżona. Rynek mocy ruszył w roku 2021. W pierwszych latach kosztował ok. 5,5 mld zł, ale w latach 2024 i 2025 przekroczył 6 mld zł. Kolejne lata nie napawają optymizmem: będzie drożej. W 2026 r. będzie to koszt ok. 10 mld zł. To więcej niż co roku dopłacamy do likwidacji górnictwa węglowego (ok. 8–9 mld zł rocznie). Trzeba sobie zdać sprawę, że de facto są to dotacje nie dla tych, którzy otrzymują te pieniądze, tylko jest to koszt systemu spowodowany tym, że do sieci dołączone są OZE.

Jaki jest sens płacić komuś tylko za „gotowość do dostarczenia energii"? „Farmy wiatrowe i fotowoltaika są źródłami zależnymi od pogody, więc nie są w stanie dostarczać energii zawsze w takiej ilości, jakiej oczekują odbiorcy. Mechanizmy mocowe rozwiązują ten problem poprzez stworzenie rynku, na

eprasa.pl 8823c38a33

którym jednostki są wynagradzane za gotowość do pracy, czyli dostarczanie mocy" – tłumaczy Maciej Wapiński, rzecznik prasowy PSE. Jednak wkrótce może się okazać, że po zamknięciu pewnej liczby bloków węglowych zabraknie tych jednostek, które pracują w sposób stabilny i sterowalny. Chodzi o to, że bloki węglowe będą wyłączane w najbliższych latach, a pierwsza elektrownia jądrowa o mocy 3,75 GW, która teoretycznie miałaby je zastąpić, mówiąc optymistycznie, pojawi się za jakieś półtorej dekady. Choć niektórzy twierdzą, że taka elektrownia w ogóle w Polsce nie zostanie wybudowana. Ale nawet jeśli ok. roku 2040 zacznie dostarczać energię do sieci, to i tak nie zastąpi elektrowni węglowych, które mają moc 28 GW. Zastąpi zaledwie 13 proc. istniejących aktualnie mocy węglowych! Oczywiście budowane są stabilne elektrownie gazowe, ale jest ich zbyt mało, a co więcej, będą zasilane surowcem importowanym, a przez to jeszcze bardziej uzależnimy się od zagranicy. Jak bardzo jest to niebezpieczne, dobitnie pokazuje aktualna wojna na Bliskim Wschodzie, która momentalnie doprowadziła do wzrostu światowych cen gazu.

SZKODLIWE REGULACJE

Regulacje dotyczące OZE powodują jeszcze inne problemy dla stabilnej energetyki konwencjonalnej. Otóż priorytet dostępu do sieci dla źródeł odnawialnych wymusza nieefektywną pracę jednostek węglowych, ponieważ dochodzi do redukcji mocy lub cyklicznego ich wyłączania. „Jeśli elektrownia czterokrotnie zmniejszy swoją nominalną moc, to okaże się, że jej sprawność zmalała dwukrotnie. Co to znaczy? Czterokrotnie spadną przychody, ale jedynie dwukrotnie spadnie zużycie węgla, jedynie dwukrotnie zmniejszy się emisja wszystkich spalin" – mówił w Radiu Wnet prof. Ludwik Pieńkowski z Wydziału Energetyki i Paliw AGH, dodając, że mechanizm skutkuje rzeczywistym zwiększeniem emisji CO_2, a ta nadmiarowa emisja z elektrowni węglowych jest wyłącznie skutkiem włączenia wiatraków.

Na dodatek, jak zauważa ekspert energetyczny Władysław Gawroński, drastycznie wymuszana zmiana reżimu pracy jednostek cieplnych w okresie letnim (na cykl dobowy przez instalacje fotowoltaiczne) spowoduje wzrost awaryjności tych jednostek, a to obniży współczynnik jednoczesności i dostępności mocy w systemie. Zredukuje także ich żywotność.

Dopłacamy też właścicielom farm wiatrowych i fotowoltaicznych za to, że wyprodukowali nikomu niepotrzebną energię. Otóż jeżeli prognozowana produkcja energii przekracza zapotrzebowanie, to PSE dla zapewnienia bezpieczeństwa pracy systemu po wykorzystaniu innych środków muszą ograniczyć produkcję energii ze źródeł odnawialnych. W 2024 r. PSE kazały odłączać farmy wiatrowe i fotowoltaiczne od sieci 91 razy. W 2025 r. – już 281 razy (!). Kwoty wypłaconych rekompensat za redysponowanie OZE łączne dla farm wiatrowych i fotowoltaicznych w 2023 r. wyniosły ponad 19,5 mln zł, w 2024 r. – prawie 2,7 mln zł, a w 2025 r. – 25,4 mln zł (są to kwoty, które w danym roku PSE wypłaciły, a nie należności za redysponowanie w danym roku). Tak więc to w dużej mierze regulacje faworyzujące OZE generują koszty, które musimy płacić nie tylko w naszych rachunkach za energię, lecz także w cenach wszystkich produktów i usług.

GIGANTYCZNE INWESTYCJE

Wybudowanie nowych mocy niewęglowych bardzo dużo kosztuje. Według przygotowanej w 2021 r. i nadal obowiązującej „Polityki energetycznej Polski do 2040 r." zaprojektowana w dokumencie transformacja energetyczna Polski wymagać będzie ogromnych nakładów inwestycyjnych, których skala może osiągnąć w latach 2021–2040 ok. 1,6 tys. mld zł. Z tego nakłady inwestycyjne na energetykę jądrową (6–9 GW) oszacowano na ok. 150 mld zł, na morską energetykę wiatrową (8–11 GW) – 130 mld zł. Już wiemy, że są to kwoty niedoszacowane. Z „Polskiej strategii rozwoju przemysłu morskich farm wiatrowych", przygotowanej w tym roku przez Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej i Fundację Wind Industry Hub, wynika, że do 2050 r. inwestycje w morskie farmy wiatrowe na Bałtyku mogą wynieść ponad 400 mld zł.

Absurd inwestycji w morskie farmy wiatrowe opisał prof. Ziemowit Malecha z Wydziału Mechaniczno-Energetycznego Politechniki Wrocławskiej. Oszacował, że w ostatnich latach w Polsce na paliwo do produkcji energii elektrycznej (węgiel, gaz) przeznaczano rocznie ok. 30 mld zł, co zaspokajało średnie dzienne zapotrzebowanie na moc rzędu 17 GW. Z drugiej strony budowa farm wiatrowych na Bałtyku pochłania minimum 20 mld zł na każdy zainstalowany 1 GW. Aby pokryć średnie dzienne zapotrzebowanie na poziomie 17 GW, trzeba by wybudować

REKLAMA



eprasa.pl 8823c38a33

co najmniej 43 GW morskich farm wiatrowych, co oznacza wydatki rzędu 860 mld zł. Zakładając optymistycznie czas życia takiej farmy na poziomie 20 lat, oznacza to wydatek 43 mld zł rocznie. Więc aby zaoszczędzić 30 mld zł, trzeba wydać minimum 43 mld zł. A pamiętajmy, że jednak węgiel wydobywany jest w Polsce i gaz po części też, co przynosi dodatkowe korzyści dla kraju, technologie wiatrakowe zaś są w zdecydowanej większości importowane.

Nowe moce wiatrowe i słoneczne powodują problemy całej sieci elektroenergetycznej i wymuszają w niej gigantyczne inwestycje. Według PEP 2040 w latach 2021–2040 łączne nakłady na sieć przesyłową mają wynieść 42,6 mld zł, a na dystrybucyjną – 137,5 mld zł, co łącznie daje 180 mld zł. W perspektywie do 2040 r. zostanie zbudowany niemal nowy system elektroenergetyczny, w tym m.in. lądowa linia stałoprądowa z Pomorza na Śląsk. Jednak kwoty z PEP 2040 już są nieaktualne. Według projektu aktualizacji strategii z 2023 r. łączne nakłady na rozwój sieci mogą sięgnąć nawet 500 mld zł. Z kolei PSE podaje, że „plan rozwoju systemu przesyłowego przewiduje budowę ok. 5 tys. km nowych linii 400 kV i 30 nowych stacji, a także modernizację lub rozbudowę wszystkich 110 istniejących stacji. Szacowane koszty inwestycyjne to ok. 64 mld zł. Inwestycje te mają na celu przyłączenie nowych źródeł wytwórczych – nie tylko OZE, lecz także bloków jądrowych i gazowych oraz magazynów energii – oraz odbiorców, a także przystosowanie systemu do zachodzących zmian związanych m.in. z elektryfikacją gospodarki".

Konieczne są dodatkowe inwestycje także w sieci transgraniczne, aby w razie braku generacji energii z OZE móc ratować się importem energii elektrycznej. Co już się dzieje, a nie tylko kupowana energia jest bardzo droga, lecz także fakt, że zaczynamy się opierać na imporcie, powoduje, że tracimy suwerenność i bezpieczeństwo energetyczne. Tym bardziej że Wapiński podkreśla, iż „na obecnym etapie rozwoju technologicznego nie jest jednak możliwe oparcie pracy systemu wyłącznie na źródłach odnawialnych i magazynach. Wynika to z uwarunkowań technicznych oraz ekonomicznych. W dającej się przewidzieć perspektywie niezbędne będą zasoby pracujące synchronicznie i zapewniające systemowi niezbędną moc i parametry techniczne, czyli np. źródła gazowe czy jądrowe". Lub oczywiście węglowe. Sam Wapiński zaznacza, że „w perspektywie najbliższej dekady funkcjonowanie bloków węglowych będzie kluczowe dla zapewnienia wystarczalności generacji", a „do czasu budowy nowych mocy dyspozycyjnych nie jest możliwe wycofanie istniejących jednostek – na każdy megawat wycofywanej mocy w jednostkach węglowych powinna powstawać ekwiwalentna moc w nowych jednostkach". Niestety, poczynania i plany uśmiechniętej koalicji, która w miejsce stabilnej energetyki węglowej stawia niestabilne wiatraki morskie, kłócą się z tym słusznym punktem widzenia.

Władimirowi Putinowi raczej zależy na rozwoju OZE w Europie. Tak jak Chińczykom

ZABIJANIE KONKURENCYJNOŚCI

Wiatr może i jest za darmo, ale olbrzymi jest koszt zarówno wybudowania farm wiatrowych, jak i ich serwisowania, szczególnie w przypadku farm morskich, a także późniejszego demontażu. O kosztach dla środowiska nie wspominając. W tym sensie węgiel leżący pod ziemią też jest za darmo. Trzeba go jednak przecież wydobyć, a potem spalić w elektrowni. Ale wybudowanie morskiej farmy wiatrowej, która jest w stanie generować tyle samo energii co blok węglowy, kosztuje około sześć–siedem razy więcej. To tylko początek. Bo porównując koszty wyprodukowania energii, zwolennicy OZE podają LCoE, czyli sam koszt budowy, paliwa oraz koszty operacyjne. To niepełna miara. Do tego trzeba dodać m.in. koszty bilansowania, magazynowania energii czy koszty przestrzeni – 1 GW blok węglowy potrzebuje ok. 50 ha powierzchni, a farma fotowoltaiczna o takiej samej mocy zajęłaby powierzchnię co najmniej 10 razy większą i generowałaby 10 proc. mocy elektrowni węglowej! Istotna jest również żywotność – instalacje węglowe funkcjonują ponad pół wieku, a wiatraki w Niemczech demontowane są po 15 latach. Trzeba sobie też zdać sprawę z tego, że budowa OZE oznacza dublowanie infrastruktury energetycznej, co jest dodatkowym kosztem.

Polacy muszą się wyzbyć kłamliwych tez, że jakakolwiek energia będzie za darmo, a nawet że stanieje dzięki OZE. Wymuszana przez Unię Europejską, bezrefleksyjnie realizowana w Polsce unijna polityka klimatyczno-energetyczna prowadzi do wzrostów cen energii, ale to nie jest najgorsze, choć już powoduje zamykanie polskich firm i ucieczkę zagranicznych inwestorów. Najgorsze przed nami: nadmiar niestabilnych źródeł energii będzie prowadził do wyłączeń energii, tak jak to się stało na wiosnę 2025 r. w Hiszpanii. Zdaniem prof. Malechy przyczyną hiszpańskiego blackoutu był brak inercji, co było spowodowane nadmiarem odnawialnych źródeł energii w sieci. A przy ciągłych wyłączeniach energii nie może funkcjonować żadna nowoczesna gospodarka. Tym bardziej że z drugiej strony te same uśmiechnięte władze wymuszają elektryfikację mobilności i ciepłownictwa.

Pytanie zasadnicze: Czy to konsumenci energii są dla funkcjonowania systemu elektroenergetycznego czy to system elektroenergetyczny istnieje po to, by służyć konsumentom energii? Bo coraz bardziej wygląda na to, że cała ta transformacja energetyczna jest nie po to, żeby Polacy i polska gospodarka mieli dostępny i tani prąd, ale żeby ktoś na całym tym cyrku zarobił: Niemcy, Chińczycy, Amerykanie, spekulanci, finansjera i kto tam jeszcze. A konsumenci energii traktowani są jak zbędny dodatek, który ma tylko za to wszystko płacić. I to bez zadawania zbędnych pytań oraz z uśmiechem na twarzy. Na dodatek osoby podchodzące racjonalnie do OZE są piętnowane jako rosyjska dezinformacja i przypisuje się im złe intencje. A prawda jest taka, że Władimirowi Putinowi raczej zależy na rozwoju OZE w Europie, bo to oznacza konieczność importu dużych wolumenów gazu (Niemcy wciąż importują LNG z Rosji). Sama Rosja nie robi nic w kierunku zmniejszania emisji, ale zapewne kibicuje w tym zakresie UE. Polityce tej przyklaskują też Chińczycy, bo w ten sposób Bruksela zabija konkurencyjność europejskiej gospodarki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8823c38a33



PROSTO ZYGZAKIEM

Czarnek a „reformy”

PIOTR GABRYEL

Już wiemy, co prof. Czarnek – kandydat na premiera z PiS – sądzi o „OZE-sroze” jak się wyraził o tzw. Zielonym Ładzie. Czyli o ETS1 i ETS2 – jeszcze niedawno, bo do końca 2023 r., forsowanymi przez rząd PiS – z których prof. Czarnek chce Polskę wyprowadzić, jak tylko szybko się da.

Wszelako nadal nie jest jasne, skąd potencjalnie przyszły premier Czarnek zamierza brać 20 mld zł rocznie, których zabraknie mu w budżecie państwa po rezygnacji z wpływów z ETS1, czyli z „handlu emisjami CO_2”, ani też co sądzi np. o będącej częścią ETS2, zawartej w 2021 r. przez rząd Morawieckiego ze związkami zawodowymi, „umowie społecznej”, na mocy której – na żądanie Brukseli – do 2049 r. mają zostać zamknięte w Polsce wszystkie kopalnie węgla. A także wszystkie elektrownie na węgiel.

A co prof. Czarnek sądzi o sprowadzonym przez rząd Morawieckiego na głowy polskich przedsiębiorców tzw. Polskim Ładzie, bo to głównie w nich (a nie w międzynarodowe korporacje) uderzył on z całą siłą? Czy należy go cofnąć czy wręcz przeciwnie – utrzymać w mocy, tak jak to czyni rząd Tuska, który doszedł do władzy m.in. dzięki przyrzeczeniu anulowania tzw. Polskiego Ładu, po czym się z tej obietnicy wycofał? Bo z KSeF – najbardziej na świecie inwigilacyjnego systemu wymierzonego w przedsiębiorców, który zaczął wprowadzać Morawiecki, a dokończył Tusk, Czarnek chce się – ale tylko w odniesieniu do małych i średnich firm – wycofać; bo „to jest bandytyzm” – jak zaznaczył.

Nie od rzeczy byłoby też wiedzieć, czy prof. Czarnek jest za skasowaniem przepisów o niezwykle wysokich, corocznych podwyżkach pensji lekarzy i pielęgniarek, wprowadzonych przez rząd Morawieckiego w 2022 r., które już doprowadziły do ruiny budżet NFZ, a z nimi państwowe szpitale i przychodnie, przekierowując pieniądze z leczenia pacjentów właśnie na podwyżki płac medyków. Bo jeśli nie, to jaki ma pomysł na naszą bankrutującą ochronę zdrowia? Podniesienie składek z obecnych 9 aż do horrendalnych 12, a może 15 proc. wysokości pensji i emerytur?

A przede wszystkim warto byłoby wiedzieć, jaki prof. Czarnek ma pomysł na katastrofę finansów Polski, do której doprowadziło rozdawnictwo pieniędzy podatników na niespotykaną skalę, zainicjowane przez premiera Morawieckiego i kontynuowane przez premiera Tuska. Czy chce dalej topić Polskę, której dług właśnie przekroczył konstytucyjny limit 60 proc. PKB, czy ratować przed bankructwem, obniżając wydatki lub/i podnosząc podatki? A jeśli tak, to które wydatki zamierza obniżyć lub/i które podatki zamierza podnieść? ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

„Dług”, „Lincz”, Bystrzyca Kłodzka

ŁUKASZ WARZECHA

Być może za kilka lat o wydarzeniach w Bystrzycy Kłodzkiej powstanie film, tak jak powstały filmy na temat innych dramatycznych zdarzeń o kryminalnym charakterze: słynny, wstrząsający „Dług” Krzysztofa Krauzego z 1999 r. czy „Lincz” Krzysztofa Łukaszewicza z 2010 r. Oba te filmy mają wspólny wątek: ludzie zostali zmuszeni do złamania prawa, bo państwo nie stanęło w ich obronie, gdy powinno było to zrobić.

W sprawie z Bystrzycy nie znamy przebiegu wypadków, bo trudno wierzyć w każde słowo prokuratury, prezentującej własną interpretację zdarzeń. Skąd np. wniosek prokuratorów, że mężczyzna, który – jak twierdzi – w samoobronie zastrzelił jednego z trzech napastników, po pierwszym z nimi spotkaniu „wrócił po broń” do domu? Sformułowanie „wrócił po broń” to już nie relacjonowanie faktów, ale interpretacja, zakłada bowiem to, o co prokuratura mężczyznę oskarża: o działanie z zamiarem zabójstwa.

Tymczasem można sobie wyobrazić inny bieg wypadków: mężczyzna, wiedząc już, że po osiedlu chodzi banda agresywnych typów, wychodząc po raz drugi z domu w konkretnym celu wziął ze sobą broń na wszelki wypadek (miał do tego prawo). Doszło do ponownego spotkania z bandytami, konfrontacji i padły strzały. Jeśli w czasie tej konfrontacji życie mężczyzny było zagrożone, to mógł skorzystać z prawa do obrony koniecznej niezależnie od wcześniejszego spotkania z tą samą grupą.

W rozumowaniu prokuratora porażające jest zawarte w nim, jak się zdaje, oczekiwanie, że praworządny obywatel, jeśli napotka w pobliżu domu bandytów, powinien zabarykadować się w mieszkaniu i na wszelki wypadek już z niego nie wychodzić. Jeśli bowiem wyjdzie, to zostanie napadnięty, będzie miał się czym bronić i napastnika zabije – zostanie to zakwalifikowane jako zabójstwo.

Grupa, z którą zderzył się instruktor strzelectwa w Bystrzycy, to byli przedstawiciele miejscowej patologii – tak prezentują to mieszkańcy w swoich wypowiedziach. Jeśli tak było, to można postawić pytanie identyczne jak w sprawach, które stały się podstawą do scenariuszy „Długu” i „Linczu”: gdzie było państwo, gdzie była policja, gdy ci ludzie przez wiele godzin nękali innych na bystrzyckim osiedlu? ©℗

eprasa.pl 8823c38a33

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Siedem wież cierpienia



JACEK KOMUDA

Jedykuł, albo jedykuła, to nazwa złowroga dla każdego mieszkańca Rzeczypospolitej. Yedikule Hisar, po turecku Zamek Siedmiu Wież, był bizantyjską twierdzą wzniesioną na południowym krańcu Konstantynopola, używaną do przetrzymywania więźniów. Jak pisze Gloger w „Encyklopedii staropolskiej": „Prawie nie było rodziny szlacheckiej w narodzie polskim, której bliższy lub dalszy krewny pojmany w niewolę nie przechodził kaźni Jedykułu, zbroczonej krwią męczeńską Wiśniowieckich i Koreckich. Bohaterom naszym, skazanym na śmierć, odbierano tu życie przez zawieszenie za żebro na haku żelaznym. Zamykano tu posłów mocarstw, z którymi Turcja prowadziła wojnę, jako zakładników, jeżeli nie zdołali umknąć przed wypowiedzeniem wojny".

Zamek wzniesiony został jeszcze w X w., później był niszczony i odbudowany dwukrotnie: przez cesarza Jana VI Kantakuzena w 1350 r., a po zburzeniu za Jana V Paleologa; przez sułtana Mehmeda Zdobywcę. Początkowo był tutaj skarbiec, jednak Murad III pod koniec XVI stulecia zamienił go w ciężkie więzienie. Najgorszym miejscem do przetrzymywania nieszczęśników była Czarna Wieża znana także jako wieża inskrypcji (Kitabeler Kulesi) od napisów, które pozostawili tam więźniowie, albo wieża lochów (Zindan Kulesi).

Jednym z pierwszych chrześcijan, który przebywał w tym więzieniu i pozostawił jego opis, był Czech Vaclaw Vratislaw z Mitrowic, członek poselstwa uwięzionego przez Turków. Jak pisał: „Wieża była bardzo wysoka, a niezbyt szeroka, przeto z ledwością nas dwudziestu dwóch i tamtych czterech [innych więźniów – przyp. J.K.], to jest dwudziestu sześciu, obok siebie



FOT. DOMENA PUBLICZNA

ułożyć się mogło, jeden drugiego dotykając. Wewnątrz wieży była mocna, dębowa krata czy klatka jako dla lwów i strażnicy mogli spoza owej klatki bądź kraty oglądać, gdzie więźniowie siedzą, chodzą i co robią. W nocy w górze lampa ze szkła była zapalona. W klatce tej dookoła były belki lubo dyby, na których nogi oparte i w nich zamknięte mając siedzieć mieliśmy. Aliści Pan Bóg raczył okazać nam łaskawość w osobie naszego agi: nie trzymał nas w dybach, jedynie wtedy, gdy obcy Turcy mieli do wieży przybyć, znać dawał, by nam obie nogi w dyby wsadzić i zamknąć, aczkolwiek wyrokiem baszy mieliśmy dzień i noc tak siedzieć. A kiedy Turcy wychodzili, znów nas puścić nakazywał".

Pomimo łaskawości zarządzającego Yedikule agi nakazał on jednak nałożyć więźniom na nogi ciężkie okowy, które miały utrudnić im ucieczkę. W trakcie niewoli nieszczęśnikom doskwierało pragnienie, gdyż codziennie dawano im zaledwie dwa dzbany słodkiej wody. Mogli jednak pracować – pletli pończochy z bawełny, a za pieniądze ze sprzedaży kupili dzbanki do wody, dzieżę, garnek, który służył jako piec, węgiel drzewny i miech; dzięki czemu mogli warzyć breję z chleba, omaszczoną olejem, myć się i prać. Życie więźniów zależało całkowicie od kaprysów strażników, którzy jednego dnia dawali im do syta chleba, innego nie przynosili nawet wody. Pewnego razu okrutnie zadrwili sobie, dając niejadalną tzw. kocią rybę, z której jedynie wytapiano tłuszcz. Vaclaw Vratislaw i jego towarzysze pochorowali się wówczas i omal nie umarli.

W mury twierdzy wsiąkło wiele krwi Polaków. Spośród najsławniejszych więziono tutaj hetmana polnego Stanisława Koniecpolskiego, który dostał się do niewoli po bitwie pod Mohylowem w 1620 r. Umieszczono go razem z 12 innymi więźniami, wśród których był nawet inny Polak, służący, który w niewoli próbował udawać wielkiego pana i zwodził Turków obietnicą wypłacenia sowitego okupu, a przy okazji ogrywał ich i innych więźniów w karty. W twierdzy przybywali także inni jeńcy – Łukasz Żółkiewski, Wolmar Farensbach i Samuel Korecki, awanturnik, próbujący prowadzić na kresach Rzeczypospolitej własną politykę. Turcy jednak udusili go tutaj dwa lata później.

Koniecpolski traktowany był lepiej niż zwykli więźniowie, zwłaszcza że udało mu się uzyskać od krewnych kaftan z zaszytymi pieniędzmi. Poza tym wkradł się w łaski zarządzającego agi, który powierzył mu do naprawy kilka zegarów. Kiedy hetmana uwolniono w zamian za okup w wysokości 30 tys. talarów, ów aga wyprawił ucztę na jego cześć, darował wolność również Francuzowi i wspomnianemu polskiemu pachołkowi pochodzącemu spod Sieradza. Jednak kiedy hetman zabrał go ze sobą do służby, żałował odmiany losu, wypominając po pijanemu Koniecpolskiemu: „Lepiej mi tam było, bom nic nie robiąc, brał po 6 asprów (grając w karty)". Jak widać, los uwięzionych w Yedikule zależał od urodzenia, pieniędzy i szczęścia. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33

OMODA E5



FOT. JAP

Futurystycznie wyglądający elektryczny crossover kusi atrakcyjną ceną (139,9 tys. zł za egzemplarz z 2025 r.), siedmioletnią gwarancją, bogatym wyposażeniem standardowym, dobrym wyciszeniem i niezłą dynamiką. Główne wady: irytujące systemy „wspomagające" oraz niewielki bagażnik (300 l).

„Klient może otrzymać samochód w każdym kolorze, pod warunkiem że będzie to kolor czarny" – miał powiedzieć na początku XX w. Henry Ford. W przypadku Omody E5 klient naprawdę może wybrać kolor lakieru. Co więcej, może zdecydować się na połączenie dwóch kolorów (np. biały z czarnym dachem) i nic za to nie dopłaci. Wersja wyposażenia jest już jednak tylko jedna. I nie ma możliwości dokupienia opcjonalnych udogodnień. Na szczęście to standardowe wyposażenie jest naprawdę bogate: w cenie są m.in. 18-calowe obręcze kół, system kamer 540 st., wyświetlacz HUD, elektrycznie regulowane fotele pokryte ekologiczną skórą z funkcją podgrzewania i wentylacji, miękko wykończona deska rozdzielcza, dwa zakrzywione ekrany o przekątnej 12,3 cala, indukcyjna ładowarka do telefonu oraz bezprzewodowa obsługa Android Auto czy Apple CarPlay. W tej cenie taki pakiet robi wrażenie.

Pod maską crossovera o długości 442,4 cm i szerokości 183 cm (bez lusterek) pracuje silnik elektryczny o mocy 211 KM i momencie obrotowym 288 Nm. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 7,6 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 171 km/h. Dynamiczne auto prowadzi się poprawnie, ale układ kierowniczy mógłby być bardziej precyzyjny.

Omoda E5 jest wyposażona w baterię o pojemności 61 kWh. Teoretyczny zasięg wynosi 430 km. W praktyce w cyklu mieszanym jest to raczej 300 km. Na szczęście technologia szybkiego ładowania prądem stałym do 130 kW pozwala doładować baterię od 30 do 80 proc. w ok. 30 minut. Prądem zmiennym w domowym garażu akumulator od 10 do 100 proc. naładujemy w mniej więcej siedem godzin.

Dobrze wyciszona kabina w kluczowych miejscach jest wykończona miłymi w dotyku materiałami, a poszczególne elementy są prawidłowo spasowane. Brakuje mi fizycznych przycisków i pokręteł (mają je na pokładzie elektryczni konkurenci Omody). Miłym dodatkiem jest za to opcja wentylacji, gdy zostawia się czworonoga samego w aucie, a samemu idzie na szybkie zakupy. A co z miejscem? Z przodu go nie brakuje, ale podróżując z tyłu, trzeba zaprzyjaźnić się z podsufitką. Bagażnik ma tylko 300 l pojemności. Na szczęście po złożeniu oparcia tylnej kanapy można go powiększyć do 1300 l, a w kabinie jest sporo dużych schowków.

Zaletą jest komplet gwiazdek w testach zderzeniowych Euro NCAP. Systemy „wspomagające jazdę" są jednak w tym modelu wyjątkowo nadgorliwe. Na przykład podczas jazdy podmiejską drogą asfaltową, na której nie ma wymalowanych żadnych pasów, asystent drze się jak opętany, że przekroczyliśmy linię (a przecież jej nie ma). Przydałoby się też poprawić tłumaczenie poszczególnych elementów systemu operacyjnego na język polski.

Mimo tych minusów stosunek możliwości i wyposażenia do ceny wydaje się atrakcyjny.

DREAME A3 AWD PRO

Napęd na cztery koła z silnikami umieszczonymi w piastach, system nawigacji niewymagający instalowania anten RTK czy rozkładania przewodów, cicha praca, zdolność pokonywania stromych zboczy, opcja patrolu, łączność 4G oraz intuicyjna obsługa – to największe zalety kosiarki klasy premium chińskiej marki Dreame.

Znawcy nie mają litości: aby trawnik przypominał murawę na Wembley, trzeba kosić wysoko i często, a nie rzadko i krótko. Nie każdy ma jednak czas (i ochotę), aby uruchamiać kosiarkę spalinową dwa–trzy razy w tygodniu. I wtedy „całe na biało" wchodzą roboty. Kosić mogą nawet codziennie, uwalniając czas człowieka, a także zmieniając pokos w organiczny nawóz.

Testowany Dreame A3 AWD Pro występuje w trzech wariantach, które różnią się od siebie pojemnością baterii i maksymalnym obszarem koszenia. Przed pierwszym koszeniem z robotem należy przejść się po ogrodzie i stworzyć w aplikacji mapę stref, gdzie trawę należy równiutko strzyc, gdzie chcemy stworzyć wzór i gdzie absolutnie nic ścinać nie wolno. Potem wystarczy ustalić harmonogram pracy. Resztę robot robi sam. Dzięki systemowi nawigacji OmniSense 3.0 (łączącemu dwie kamery i sensor LiDAR) nie trzeba instalować anten RTK, rozkładać przewodów ani wirtualnych latarni. Potężnie wyglądający robot potrafi ominąć nie tylko meble, lecz także zwierzęta: nawet przed świtem robot z własnym oświetleniem powinien być zatem bezpieczny dla kotów, psów, jeży czy jaszczurek.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ważąca niemal 30 kg robokosiarka, wyposażona w dwie tarcze tnące, ma łączną szerokość koszenia wynoszącą 40 cm. Potrafi kosić w odległości mniejszej niż 3 cm od granicy trawnika (i robi to równo), zostawiając klasyczne pasy lub wycinając w murawie wybrane wzory (np. księżyc lub serce). Napęd na cztery koła z silnikami umieszczonymi w piastach umożliwia robotowi pokonywanie wzniesień o nachyleniu do 38,7 st. Dreame A3 AWD Pro dobrze radzi sobie z przeszkodami (o wysokości do 5,5 cm). Podobnie jak w tradycyjnych kosiarkach i tu można wybrać wysokość cięcia (od 3 do 10 cm). Co ważne, testowany robot nie niszczy trawnika nawet w tych miejscach, w których regularnie skręca. Dzięki kamerom robokosiarkę można wykorzystać w charakterze ochroniarza i zrobić zdalnie wirtualny „obchód".

Minusy? W trudniejszych ogrodach automatyczne mapowanie nie zawsze jest w pełni niezawodne. Aplikacja wymaga jeszcze pewnego dopracowania.

Wersja do 2500 mkw. kosztuje 8999 zł. Wariant do 3500 mkw. – 10799 zł, a robot do trawników o powierzchni do 5000 mkw. 13399 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 8823c38a33



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Mało tłuszczu, dużo białka

Mamy takie wspomnienie z dzieciństwa: obiad na niedzielę przygotowany na szybko przez mamę. Polędwiczki zdobyte z trudem w PRL-owskim sklepie mięsnym, usmażone z cebulą i pieczarkami, a podane z tłuczonymi ziemniakami, do tego obowiązkowo modra kapusta na ciepło.

Polędwiczki to jedna z naszych ulubionych części mięsa wieprzowego, są delikatne, miękkie, a przygotowanie ich zajmuje bardzo mało czasu. Co ważne, uważa się je za najzdrowszą część mięsa wieprzowego, bo zawierają mało tłuszczu, a dużo białka. Są zatem idealne dla osób, które dbają o zrównoważoną dietę, a także dla osób starszych, bo są wsparciem dla ogólnej kondycji i zapobiegają osłabieniu organizmu. Możemy je usmażyć i podać w sosie, upiec lub przygotować w cieście francuskim. Świetnie smakują także nafaszerowane, np. pieczarkami, serem feta i szpinakiem, a następnie owinięte cienkimi plastrami boczku. To wykwintne danie, idealne na szczególne okazje.



FOT. ADOBE STOCK

Pomysłów na przygotowanie polędwiczek jest wiele. My dziś podajemy przepis na polędwiczki w sosie śmietanowym z serem pleśniowym. Jest to szybkie w przygotowaniu danie. Potrzebne będą tylko jedna głębsza patelnia, przyprawy i świeże zioła.

Polędwiczki wieprzowe w sosie śmietanowym

• 1 duża polędwiczka wieprzowa 500 g • 1 szklanka bulionu lub rosołu • sól, pieprz, świeży rozmaryn • 2 ząbki czosnku • 1 cebula szalotka • 1 mała łyżeczka mąki pszennej • 2 łyżki tłuszczu do smażenia • 1 łyżka masła • 1 opakowanie sera pleśniowego • 1 opakowanie słodkiej śmietanki 200 g

Polędwiczki pokroić na jednocentymetrowe plastry, utłuc z każdej strony tłuczkiem lub pięścią. Oprószyć solą i pieprzem, odstawić na bok. Patelnię mocno rozgrzać z tłuszczem, obsmażyć polędwiczki z każdej strony na rumiany kolor. Zdjąć z patelni, na tej samej patelni dodać masło i podsmażyć pokrojoną w kostkę cebulę i przeciśnięty czosnek, dodać śmietankę, rozmaryn, pokruszony ser pleśniowy i pogotować 2–3 min. Dodać podsmażone polędwiczki, potrzymać na gazie kilka minut. Podawać z ziemniakami lub kaszą gryczaną. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Korzyści z chodzenia

Nie trzeba chyba nikogo przekonywać o dobrodziejstwie spacerów. Napisano o tym dziesiątki prac naukowych i nienaukowych. Ja, obserwując z mego miejsca zamieszkania (niedaleko lasu i parku na Kabatach) przypadkowo dobrane grupy do badań, stwierdzam, że chodzenie, spacerowanie stało się naszym sportem narodowym. Sama oddaję się czynności chodzenia regularnie, starając się nie schodzić poniżej pięciu tysięcy kroków dziennie. Telefon zapewnia mnie, że będę od tego żyła wiecznie.

Badaczom na amerykańskich uniwersytetach nie wystarczy jednak nawet ostatni model iPhone'a. Żeby dostać kolejne granty na badania, muszą się wykazać twardymi dowodami. W tych poczynaniach towarzyszy im dziennik „New York Times", który ma dział Science. Ja to wszystko czytam, nie wiadomo po co. Ale czasem zdarzy się coś ciekawego. W kwestii spacerów oczywiście.

Trzydziestu ośmiu studentów Uniwersytetu w Michigan wybrało się na spacer. Naukowy, ale miły, gdyż czterokilometrowa trasa wiodła przez aleje miejscowego arboretum. Aż chciałoby się być tam z nimi, szczególnie gdy się pomyśli, że druga grupa studentów (w ramach eksperymentu) musiała spacerować po ruchliwych ulicach Chicago.

Po co to wszystko? Otóż zanim wyruszyli na swoje spacery, studenci zostali poddani testom na koncentrację. Mieli zapamiętywać coraz dłuższe ciągi liczb, a potem powtarzać je w odwrotnej kolejności.

Po powrocie ze spaceru obu grupom zrobiono test na pamiętanie. I okazało się, że spacery pomogły w procesie zapamiętywania, ale nie tak samo. Ci, którzy chodzili po arboretum, mieli wyniki lepsze o 20 proc. od wędrujących po miejskich ulicach.

Chciałoby się powiedzieć: nic nowego. Każdy wie, że natura dobrze na nas działa, a ruch miejski męczy i rozprasza.

Nie takie oczywiste, jak można by myśleć. W książce „Nature and the Mind" prof. Marc Berman z Chicago przypisuje poznawcze korzyści płynące z natury „teorii przywracania uwagi". Teoria ta opiera się na założeniu, że nasza zdolność koncentracji jest ograniczonym zasobem, który łatwo się zużywa, a przebywanie na łonie natury to sposób na jego uzupełnienie.

Jedną z najważniejszych cech natury według badaczy stanowi to, że jest ona „delikatnie fascynująca", co oznacza, że delikatnie pobudza naszą uwagę, nie będąc przy tym zbyt nudna ani stymulująca. Nie nudzi obserwowanie fal albo wpatrywanie się w pole dzikich kwiatów. Z kolei miasto wymaga od nas czujności, i to w sposób, który nas wyczerpuje.

Ach, ci Amerykanie. Przecież dawno to wiedzieliśmy. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Czy rosyjscy artyści nawiedzą Wenecję?

Nie wiadomo, czy Kozacy znów będą poić konie w Sekwanie, jak w 1814 r. po klęsce Napoleona, ale wiele wskazuje na to, że rosyjscy artyści wezmą udział w rozpoczynającym się 9 maja 61. Biennale Sztuki w Wenecji. Słowem rosyjski pawilon, zamknięty w 2022 r. z powodu rosyjskiej agresji na Ukrainę, ma być znów otwarty, choć, używając prawniczego żargonu, „przyczyny zamknięcia nie ustały".

Zdecydował o tym prezes Biennale, dziennikarz i nagradzany pisarz Pietrangelo Buttafuoco. Minister kultury Alessandro Giuli jest przeciw i wdrożył postępowanie, które ma wyjaśnić, jak do tego doszło. Co więcej, 22 ministrów do spraw europejskich państw unijnych potępiło tę decyzję w liście do włoskiego rządu i fundacji organizującej Biennale. Ruszyła się w końcu Komisja Europejska. W liście do prezesa Buttafuoco zagroziła, że zamrozi lub cofnie dofinansowanie dla imprezy (2 mln euro od 2025 do 2028 r.), jeśli Rosja weźmie w niej udział. Komisja wskazała, że organizatorzy Biennale zgodzili się na udział rosyjskich artystów, mimo że jest oficjalnie finansowany przez rząd Rosji. A to zdaniem Brukseli godzi w zapisy regulaminu dotyczącego sankcji nałożonych na Rosję. Co więcej, jak napisano, „istnieje uzasadniona obawa, że Federacja Rosyjska może wykorzystać obecność na Biennale do celów propagandowych, np. stwarzając wrażenie, że Rosja bierze udział w imprezie legalnie i za zgodą społeczności międzynarodowej".

Szef włoskiej dyplomacji Antonio Tajani twierdzi, że problem go nie dotyczy, choć „przygląda się sprawie". Dodajmy: bezczynnie i od dwóch tygodni. Niezawodny w takich okolicznościach prorosyjski wicepremier i szef populistycznej Ligi Matteo Salvini uznał, że list KE jest „wulgarnym szantażem europejskiej biurokracji wobec Biennale, jednego z najważniejszych, całkowicie wolnych ośrodków kultury na świecie". Natomiast gubernator regionu Alberto Stefani, wiceszef kochającej Rosję Ligi, stwierdził, że kultura i sztuka dają szanse na budowanie mostów. Wskazał, że „pokoju nie buduje się poprzez cenzurę, a wolności nie broni się, ograniczając ją". Swoją drogą szkoda, że nie podzielił się tą refleksją z Putinem.

Przy okazji padają uwagi, że Unia, by uniknąć zarzutów o hipokryzję, powinna domagać się również wykluczenia z Biennale Amerykanów, których agresywny, chaotyczny i narcystyczny prezydent stanowi dziś nie mniejsze zagrożenie dla świata od Putina. KGB-ista przynajmniej jest przewidywalny, bo jeśli może zrobić coś złego, to zawsze zrobi. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Jonasz Trump

Donald Trump i jego ekipa krążą po świecie i rozdają… pocałunki śmierci. Kiedyś to był nawet niezły ton – dostać takie polityczne poparcie od nowego prezydenta USA. Lądowało się – chwilowo – w pierwszej lidze obcowania ze światowym liderem, a teraz jakoś tak wychodzi, że może lepiej byłoby, żeby jednak nie popierał. Przejechała się na tym trochę włoska premier Meloni, ale wydaje się, że najbardziej na tym stracił przegrany Orbán.

Przypomnijmy – najpierw Orbána poparto zjazdem konserwatystów CPAC i to by nie było takie złe, ale towarzystwo zaszczycił syn izraelskiego premiera Netanjahu, Jair, który zasunął na spotkaniu całą propagandę syjonizmu wojującego. Węgry mają bardzo potulne stosunki z Izraelem i może to tam jakoś i przeszło – u nas byłoby to trudne, choć wyporność na judaistyczne ekscesy była już pozytywnie przetestowana przez Shmuleya, zwanego pornorabinem, podczas jego występu w trakcie majowego zjazdu CPAC w Rzeszowie.

Szybko poszło z tym zawróceniem się wektorów. Co ciekawe, zdaje się, że w tej odwróconej percepcji poparcia zaczęło się od wojenek prezydenta USA. Mimo patrzenia przez palce i dostarczania broni do zagłady Strefy Gazy, dopiero napaść na Iran zdaje się sprowadzić poparcie Trumpa do rzeczonego pocałunku śmierci. To jednak staje się obciążeniem i jestem ciekaw, jakimi to wymówkami kierują się obecnie rządzący na świecie, by jednak wykręcić się czy to od wizyty prezydenta USA, czy od jego poparcia. Zresztą jak dotychczas wizyta Trumpa w danym kraju oznaczała raczej wydatki na rzecz Stanów, ale teraz – co dotyczy zwłaszcza krajów Zatoki Perskiej – okazało się, że były to płonne inwestycje odwiedzanych krajów w gwarancje bezpieczeństwa, których Waszyngton właśnie nie dowozi.

Ciekawe, jak to teraz będzie i u nas? Czy chociażby bezkrytycznie proamerykańska ekipa PiS i prezydenta z chęcią nadstawiałaby się do pocałunku śmierci ze strony Amerykanów? Jak znam kolegów, to sami będą o to zabiegali. My to jednak zawsze jakoś jesteśmy o jeden, najbardziej obciachowy, krok od mody.

Widać, że żyjemy jednak w zglobalizowanym świecie. Oto, poprzez łańcuszki poparcia, okazało się, że być może losy węgierskiego premiera rozstrzygnęły się w cieśninie Ormuz. Ciekawe, jak w tym samym układzie rozstrzygną się losy naszej sceny politycznej, powiedzmy w takim roku wyborczym 2027. Czy będziemy mieli jakiś polski Ormuz? Nikt nie wie, bo nikt nie wie, na co wskaże paluch kręcący globusem podczas współczesnego tasowania się mocarstw. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Papież Ludwik I

Niecodziennymi przemyśleniami podzielił się z całym światem amerykański prezydent Donald Trump. Tym razem dotyczyły one papieża Leona XIV. Ten ostatni pozwolił sobie niedawno skrytykować ogarniającą Bliski Wschód falę przemocy i śmierci. „Żaden cel nie jest wart ceny życia najsłabszych, niewinnych rodzin i dzieci. Żadna sprawa nie może usprawiedliwić rozlewu niewinnej krwi" – napisał papież.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Dla większości chrześcijan nie są to tezy zaskakujące, zwłaszcza gdy wypowiada je głowa Kościoła katolickiego. Amerykański prezydent wydał się nimi jednak osobiście dotknięty, podkreślając niewdzięczność ich autora. „Leon powinien być wdzięczny, ponieważ, jak wszystkim wiadomo, sam jest szokującą niespodzianką. Nie był on wymieniany na żadnej liście kandydatów na papieża i Kościół umieścił go tam jedynie dlatego, że jest Amerykaninem. Sądzono, że taka decyzja będzie najlepszym sposobem na dogadanie się z prezydentem Donaldem Trumpem. Gdyby nie było mnie w Białym Domu, Leona nie byłoby w Watykanie" – zagrzmiał amerykański przywódca. „Niestety, Leon jest słaby w dziedzinie przestępczości i okropny w dziedzinie polityki zagranicznej. Nie sądzę, by dobrze wykonywał on swoją robotę. Podejrzewam, że lubi przestępczość" – dopowiedział Trump w rozmowie z dziennikarzami.

„Lubiący przestępczość" papież to dla katolików niemały problem. O wiele sympatyczniejszą postacią wydaje się Donaldowi Trumpowi rodzony brat Leona XIV, Louis Prevost. „To wielki zwolennik MAGA i supergość". „On wszystko łapie, a Leon niestety nie" – zachwalał Louisa amerykański prezydent.

Dylematy Donalda Trumpa wydają się nieco spóźnione. Louis Prevost był wprawdzie w młodości ministrantem, nie jest jednak kardynałem ani osobą duchowną. Nawet jeśli Donaldowi Trumpowi wydaje się on postacią wygodniejszą w kontaktach, to trudno mu będzie zastąpić rodzonego brata na tronie Piotrowym. Jedynie w czasach wczesnego renesansu tak spektakularna kariera żonatego mężczyzny byłaby, teoretycznie, możliwa, choć i wtedy niezwykle trudna. Nawet jeśli aktualny papież Leon zawdzięcza swoje stanowisko wpływowi Donalda Trumpa, to autorytet amerykańskiego przywódcy jest dalece niedostateczny, by przekonać przyszłe konklawe do wyboru papieża Louisa. Zapewne z tego powodu prezydent Stanów Zjednoczonych zamieścił w Internecie niepokojący obraz, w którym prezentuje się jako postać podobna do tradycyjnej ikonografii Jezusa Chrystusa. Adorowany przez rozmodlone sylwetki aniołów i ludzi Trump pochyla się nad leżącym z zamkniętymi oczami wychudzonym mężczyzną. Jedną dłoń kładzie leżącemu na czole w geście błogosławieństwa, podczas gdy z drugiej ręki bije nieziemskie, nadnaturalne światło. Prezydent ubrany jest w śnieżnobiałą szatę, przypominającą antyczny „chiton", na ramionach ma purpurowy płaszcz, nazywany przez Greków „himationem". Niektórzy komentatorzy dopatrują się w leżącym mężczyźnie podobieństwa do Jeffreya Epsteina, wszyscy jednak kojarzą uzdrawiającego go (lub wskrzeszającego) Donalda Trumpa z wyobrażeniami Zbawcy Ludzkości. Nawet amerykańscy lekarze nie posługują się przecież w terapii oślepiającymi strugami światła, cudownie emanującymi z dłoni.

Jeżeli Donald Trump nabrał ostatnio pewności, że jest Postacią Mesjańską, to zamiar mianowania Louisa Prevosta papieżem byłby tego naturalną konsekwencją. Watykan należałoby wtedy przenieść w pobliże rezydencji Mar-a-Lago – choćby do Walt Disney World Resort na Florydzie. Jako atrakcja turystyczna amerykański Watykan generowałby z pewnością ogromne zyski, a „wikariusz Donalda Trumpa" akceptowałby, bez słowa sprzeciwu, wszystkie polityczne pomysły prezydenta. Scenariusz ten wydaje się wprawdzie dziwaczny i niedorzeczny, nie jest jednak ani odrobinę mniej absurdalny niż ostatnie tygodnie w amerykańskiej polityce. Wiemy, że apokaliptyczne wydarzenia nadejść mogą „jak złodziej w nocy". Nie obiecano nam jednak, że nie będzie to złodziej niespełna rozumu. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33



JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Towarzysz Pikacco

Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju zorganizowany we Wrocławiu w 1948 r. był wielką, wyreżyserowaną przez Stalina propagandową hecą, przedstawiającą Związek Sowiecki jako miłośnika pokoju, wymierzoną przeciw zachodnim wojennym podżegaczom. Zestaw gości był imponujący – przeszło 400 znanych zachodnich komunistów i lewicowców, tzw. pożytecznych idiotów, m.in. Jean-Paul Sartre, Louis Aragon, Irena i Frédéric Joliot-Curie, Bertolt Brecht, Julian Huxley, Michaił Szołochow, Ilia Erenburg, Jarosław Iwaszkiewicz, Leon Kruczkowski, Julian Tuwim. Gościem specjalnym, sensacją i gwiazdą numer jeden był Pablo Picasso. Pod Politechniką Wrocławską, gdzie obradował Kongres, gromadziły się tłumy, które chciały go zobaczyć, zdobyć autograf, oblegali go też fotoreporterzy i dziennikarze. Znakomity malarz, Fernand Léger, wyjechał kilka dni przed zakończeniem Kongresu, urażony fetowaniem Picassa, zaniedbywaniem innych gości.

Komuniści z głupoty i ze strachu nie skorzystali z okazji, którą był pobyt Picassa, do zdobycia dla Polski choć kilku jego bezcennych prac

Ściągnięcie go do Wrocławia nie było łatwe. Choć dobiegał siedemdziesiątki, miał kolejną młodą żonę w ciąży i małego synka, nie chciał ich zostawiać, przekonały go dopiero naciski przywódców francuskiej partii komunistycznej, której członkiem był do końca życia, oraz samej Dolores Ibárruri, La Pasionarii, starej hiszpańskiej komunistki. Skusił go też Jerzy Borejsza, organizator imprezy, obiecując mu wystawę jego ceramicznych prac. Picasso dbał bowiem o swoją sławę także za żelazną kurtyną. Zapewniono mu specjalny, prywatny samolot LOT, a leciał po raz pierwszy. Jak wszyscy goście zamieszkał w Monopolu, luksusowym wrocławskim hotelu, w najlepszych apartamentach, zajmowanych niegdyś przez Hitlera. Nie chciał przemawiać, wygłosił jedynie parę słów w obronie Pabla Nerudy, więzionego chilijskiego pisarza. Przemówienia delegatów nudziły go, wymykał się do sali, gdzie urządzono wystawę jego ceramicznych prac, które ze sobą przywiózł, rozmawiał z tymi, którzy ją oglądali, choć najczęściej z najmłodszą i najładniejszą kobietą, delegatką Cejlonu w narodowym stroju.

Był sympatyczny, bezpośredni i bezceremonialny – rozdawał autografy, ściskał dłonie, w kawiarni Monopolu rysował na bibułkach portrety wielbicieli i gości, a także słynnego gołąbka pokoju, który stał się ikoną Ruchu Obrony Pokoju, otrzymał za niego Nagrodę Stalinowską. Wszyscy uczestnicy Kongresu byli bardzo eleganccy, Picasso natomiast przyjechał w jedynym szarym, flanelowym, podniszczonym garniturku i ze względu na sierpniowe upały zarówno podczas obrad, jak i wystawnych kolacji zdejmował nie tylko marynarkę, lecz także koszulę, szokując nagim, opalonym torsem. W muzeach, które mu pokazywano, narzekał na brak krzeseł i siadał na podłodze. Smakowała mu polska Wyborowa, w Krakowie, gdzie również pojechał, podobały mu się Sukiennice z naszą sztuką ludową, kupił drewniane świątki, dla żony i synka haftowane góralskie kożuchy. W Warszawie, w Belwederze, prezydent Bierut nagrodził go jednym z naszych najwyższych odznaczeń – Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Komuniści wykorzystali tylko wielkie nazwisko Picassa, nie cenili i nie rozumieli jego „pikasów, bohomazów, dekadenckiej sztuki", atakowanej przez towarzyszy sowieckich nawet podczas Kongresu. Z głupoty i ze strachu nie skorzystali z okazji, którą był pobyt Picassa, do zdobycia dla Polski choć kilku jego bezcennych prac. Z własnej inicjatywy podarował nam 20 przywiezionych ze sobą, wykonanych przez siebie ceramicznych talerzy ozdobionych rysunkami, przyjętych ze zdziwieniem, że lepi garnki i talerze niczym Piast Kołodziej. Nie zadbano o zabezpieczenie jego licznych autografów, rysunków, nawet gołąbka pokoju. Oddano na przemiał dokumentację jego pobytu w warszawskim hotelu Bristol. Gdy już po Kongresie Jerzy Borejsza odwiedził Picassa w paryskiej pracowni, ten zaproponował mu, aby zabrał kilka prac. „Nie znam się na sztuce – wykręcił się – zrobi to dyrektor Muzeum Narodowego, prof. Lorentz". Ale gdy zjawił się w Paryżu, Picasso już wyjechał. Największym skandalem było zniszczenie rysunku Picassa, wykonanego w Warszawie, w mieszkaniu nowego osiedla na Kole. Narysował na ścianie niemal dwumetrową warszawską Syrenkę z wydatnym biustem i młotem w dłoni, ale stała się dla lokatorów wielkim utrapieniem – przychodziły wycieczki, brudziły podłogi. Nikt się nią nie interesował, zwrócili się więc do Zarządu spółdzielni, który pisał do Ministerstwa Kultury, nikt jednak nie odpowiadał, w 1953 r. wydał więc zgodę na usunięcie rysunku niejakiego „Pikacca". Zamalowano go farbą i wapnem. Nie został nawet ślad, tylko wielki wstyd. ©℗

eprasa.pl 8823c38a33

ZWARIOWAŁ?



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Na Instagramie ludzie palą czapki Trumpa. Kto pali? Ci, którzy te czapki kupowali w roku 2015 i nosili je w czasach, gdy za czerwoną czapkę z napisem „Make America Great Again" można było dostać w ryj na parkingu przed Walmartem. Mając naklejkę MAGA na samochodzie, ryzykowałeś, że ci ktoś lakier porysuje gwoździem. Mając na posesji flagę MAGA, ryzykowałeś wizytę wandali. Ale nas to wtedy nie powstrzymało – zwyczajni, bezpartyjni Amerykanie ruszyli odbijać swój kraj z rąk systemu. I odbili. Trump w trakcie pierwszej kadencji rozpoczął masę doskonałych rzeczy. A potem Chińczycy zorganizowali COVID i sterowali pandemią za pomocą tego swojego agenta z WHO. Niejaki Tedros, były członek marksistowskiej organizacji terrorystycznej z Etiopii. Gdyby nie chińska pandemia, Trump szedłby jak burza i odbiłby Amerykę z rąk Deep State. Tak nam się wtedy wydawało.

***

Potem czerwone czapki zagłosowały na Trumpa ponownie. Wybory ukradziono. Deep State się obronił i posadził w Białym Domu dziadka z demencją. Tak nam się wtedy wydawało – że ludzie systemu ukradli nam drugą kadencję Trumpa. I może to nawet była prawda, a Trump jeszcze wtedy był sobą i reprezentował czerwone czapki i ruch MAGA.

***

Zagłosowaliśmy po raz trzeci. Zwycięstwo – teraz ich pokonamy, a po upływie ostatniej kadencji postawimy Trumpowi pomnik i to będzie odlana z brązu scena z Butler w Pensylwanii, gdy on postrzelony przez zamachowca wstaje umazany krwią, unosi pięść i woła do nas: WALCZ, WALCZ, WALCZ.

Pierwsze kilka miesięcy obecnej kadencji to był karnawał zwycięstw. Granica zamknięta i zero nielegalnych przekroczeń, masowe deportacje imigrantów, obniżenie podatków, likwidacja debilizmów klimatycznych, boom gospodarczy, taryfy celne, które wbrew opowieściom ekspertów nie spowodowały wzrostu cen, lecz wzrost produkcji i inwestycji zagranicznych na terenie USA. Rozwój, rozwój, rozwój. Złoty wiek Ameryki.

Potem nadszedł pierwszy ZGRZYT: Trump powiedział, że mamy się przestać interesować sprawą Epsteina. Jak to przestać?! Przecież Deep State z całego świata jest w tę sprawę zamieszany i trzeba ich zacząć łapać i wsadzać do więzienia. Nie pokazano wszystkich dokumentów, ale widzieliśmy dość, by zacząć wsadzać kolejno przywódców całego tego parszywego systemu. Wystarczyło wysłać amerykańskie służby do Davos i wyprowadzić stamtąd w kajdanach setki umoczonych. W dokumentach, które upubliczniono, są ich nazwiska, a do aresztowania wystarczy podejrzenie. Podejrzanego się zamyka (aby nie mataczył, nie unikał, nie uciekł) i prowadzi się przesłuchania.

Z ujawnionych dokumentów wynika, że to była ogólnoświatowa sekta i nie chodziło o zwykłych zboczeńców – oni tam… mordowali małe dzieci. W oficjalnej dokumentacji zgromadzonej przez oficjalne organy śledcze USA są informacje o zjadaniu mięsa małych dzieci, a Trump nam nagle mówi, że to wszystko bzdury sfabrykowane przez demokratów i mamy się przestać interesować? He? Jak mamy się przestać interesować czymś TAKIM?

Zgrzyt bolesny, jak paznokciami po tablicy w szkole. Dostaliśmy gęsiej skórki – co się stało z Trumpem? A potem nagła wojna z Iranem i nagły lot dookoła Księżyca. W innych okolicznościach, czyli bez afery Epsteina w tle, patrzylibyśmy na obie te sprawy bez podejrzliwości; być może nawet bez specjalnego zainteresowania. Ale teraz WSZYSTKO NAM SIĘ NIE ZGADZA. Nawet sam Trump nam się nie zgadza w porównaniu z wcześniejszą wersją Trumpa. Ktoś go opętał czy omotał, czy coś mu dolewają do coli?

***

Oto résumé dziwnej wojny z Iranem: Pod koniec lutego Amerykanie atakują Iran, „aby zlikwidować jego zdolności nuklearne". Ale przecież w zeszłym roku po operacji „Midnight Hammer" Trump ogłosił, że „irański program nuklearny jest w 100 proc. zlikwidowany". Czyli teraz rozpoczyna się wojna, aby wykonać to samo, co już zostało wykonane w czerwcu? Eee? No dobra, ale zostały w Iranie te ich szaleńcze władze, które od 47 lat skandują hasło: „Śmierć Ameryce", dokonują zamachów, finansują terroryzm, więc dla pewności zabito ajatollaha i teraz już sprawa zamknięta – nie podniosą się, reżimowi odrąbano łeb. Niestety, po zabiciu ajatollaha Iran zaczął brać odwet na Ameryce, czyli reżim nadal żyje, gryzie, kopie, atakuje. Iran zamknął cieśninę Ormuz i zażądał okupu od każdego statku, który chce przepłynąć. Świat wpadł w panikę, ceny ropy skoczyły w górę.

W tej sytuacji, podkreślam: w tej konkretnej sytuacji, czyli z zablokowaną przez Iran cieśniną, Trump ogłosił „całkowite zwycięstwo Ameryki nad Iranem". Eee? Po tym wszystkim wojna trwała nadal, ale Trump ogłosił hucznie „zawieszenie broni z powodu rozpoczęcia negocjacji pokojowych".

Niestety, po rozpoczęciu tych negocjacji sojusznik USA (Izrael) zaczął zabijać irańskich negocjatorów, więc negocjacje pokojowe nie przyniosły skutku, bo ginęli kolejni negocjatorzy.

Pod koniec marca Trump ogłosił, że Irańczykom już nic nie zostało, bo cała ich flota została zatopiona, rakiety zostały zniszczone, radary rozwalone, lotnictwo przestało istnieć. Wtedy Iran zestrzelił dwa amerykańskie samoloty F-35 i F-15 za pomocą ręcznych wyrzutni przeciwlotniczych.

Po tym „incydencie" Trump zagroził, że jeżeli Iran nie odblokuje cieśniny Ormuz, to „Ameryka cofnie Iran do epoki kamiennej, rozwalając im wszystkie mosty i elektrownie". W odpowiedzi Iran nie otworzył cieśniny, a na mosty i do elektrowni wysłał dziatwę szkolną, której Trump raczej nie ośmieli się bombardować.

W odpowiedzi na irańską blokadę cieśniny Trump mnie zaskoczył – zachował się jak stary dobry Trump z pierwszej kadencji, którego nie kontrolują mroczne siły – oświadczył, że Iran nie będzie blokował cieśniny, bo cieśninę zablokują Amerykanie. I to akurat jest posunięcie doskonałe, bo wybija Iranowi broń z ręki. Jeżeli Ameryka blokuje cieśninę, to po pierwsze Iran nie zarabia na haraczu pobieranym za przepuszczanie pojedynczych statków, a po drugie żaden irański statek z ropą nie przepłynie, czyli Iran zarabia ZERO. Szach i mat w stylu Trumpa z najlepszych czasów. Niestety, są jednak inne poważne powody, by nadal palić czerwone czapki. © ℗

eprasa.pl 8823c38a33

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KS. PIOTR PAWLUKIEWICZ: „MIEJ SZCZĘŚLIWE DNI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~591 ZŁ~~

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 300 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

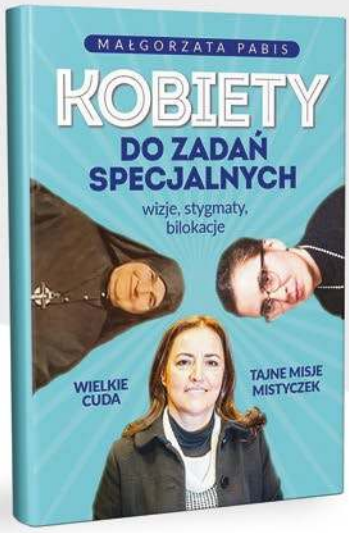
WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 8823c38a33

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MAŁGORZATA PABIS: „KOBIETY DO ZADAŃ SPECJALNYCH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~998~~ ZŁ

516,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 482 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 8823c38a33